



Robert Richardson

Brytyjskie odkrycie kryminatu

ZGODNY WYROK

C&T

**Robert
Richardson**

**ZGODNY
WYROK**

Przekład:
Izabela Pawlak

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału:

THE HAND OF STRANGE CHILDREN

Copyright © Robert Richardson 1993

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2003

Copyright © for the Polish translation by Izabela Pawlak

Opracowanie graficzne: MAŁGORZATA SOBECKA

Redaktor wydania: VILETTA DOBOSZ

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel./fax (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-35-9

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2003.

Wydanie I.

Ark. wyd. 13; ark. druk. 14.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne sp. z o.o.,

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

KSIĘGA
PIERWSZA

PROLOG

Wszyscy jesteście kłamcami, zaś najbardziej niebezpieczne są te kłamstwa, w które w końcu sami zaczynamy wierzyć. Kiedy opowiadamy o swojej przeszłości, ból, żal, a czasem nawet wstręt do tego, co zrobiliśmy, sprawia, że wzdragamy się i zmieniamy fakty na takie, które nam bardziej pasują; nasza opowieść staje się zlepkiem danych, które chcemy pamiętać, i oszustw, za którymi próbujemy się ukryć. Nawet gdy usiłujemy mówić prawdę, może nam ona umknąć. Potrafimy przypomnieć sobie rozmowy, niekiedy nawet przywołujemy je w pamięci za pomocą zapisków w pamiętnikach, ale prawdziwe motywy ukryte za tym, co zostało powiedziane, nikną w próżni, gdy próbujemy usprawiedliwić bądź uzasadnić nasze działania. Wspomnienia budzą duchy ludzi z przeszłości, którzy byli kiedyś częścią tego, co dawniej stanowiło nasze życie, zaś teraz stali się obcymi, których nie potrafimy rozpoznać – i wśród tych obcych z przeszłości mogą znaleźć się młodzi ludzie, którzy nosili nasze imiona.

Naomi, Timothy i Richard Barlow byli dziećmi przeciętnych rodziców należących do angielskiej klasy średniej, pochodzili z rodziny, która wydawała się bez skazy, może nawet nijaka. Jej członkowie byli szanowani, mieli dobre maniere, a na świecie żyją miliony ludzi do nich podobnych. Dorosli, założyli rodziny i sami dochowali się potomstwa. Ci, którzy znali ich od dziecka, później mówili, że Naomi i Richard bardzo dobrze poradzili sobie w życiu, a i Timothy nie miał powodów, by wstydzić się tego, co osiągnął. To, co się ostatecznie stało, dlatego wywołało taki szok, że zniszczyło ludzi przestrzegających konwencji społecznych, odnoszących sukcesy, a nawet wzbudzających zazdrość. Jednak percepcję osób postronnych fałszował powierzchowny blask, pod którym kryło się skażenie tajemnym grzechem, obrastającym w kłamstwa i siejącym ciągłe spustoszenie.

Nasza przeszłość jest rejestrowana bez naszej wiedzy. Wyszczerbiona ozdoba na półce lub element biżuterii przypomina nam o kimś, kogo znaliśmy; plik listów znalezionych niespodziewanie na samym dnie szuflady sieje delikatną woń, zwietrzała jak stary zapach perfum, który kiedyś był tak wyraźny; zdjęcia pokazują, jak dawniej wyglądali ludzie. Jednak wszystkie one są jak pradawne skamieliny,

a nie żywa rzeczywistość, która przestała już być naszym udziałem. Zdjęcie przedstawia tylko obraz krótkiej chwili jakiegoś dnia, moment pozowania i uśmiechu do obiektywu tak ulotny, jak pstryknięcie migawki, podczas gdy w głębi duszy być może wcale nie byliśmy weseli.

Gazety także stanowią zapis przeszłości, choć zdaje się, że najmniej adekwatny ze wszystkich. Nazwiska większości ludzi prawie nigdy się w nich nie pojawiają, z wyjątkiem sytuacji, kiedy sami opłacą jakieś ogłoszenie bądź też przypadkiem wezmą udział w wydarzeniu, które przykuje uwagę prasy. Wieść o narodzinach dzieci Barlowów nie ukazała się nigdzie drukiem, nie została nawet zamieszczona notatka w lokalnej gazecie, gdyż nie była to rzecz, na którą ich rodzice chcieliby wydać pieniądze, jednak po latach ich nazwiska pojawiały się tu i ówdzie, zwykle w związku z jakimś szkolnym osiągnięciem, sukcesem sportowym albo wynikami egzaminów. Te małe wycinki były przez czas jakiś przechowywane jak skarby, później żółkły i darły się, nim je gdzieś zapodziano lub wyrzucono.

Minęło już ponad trzydzieści lat, odkąd ich nazwiska zostały wydrukowane w związku z pewnym wydarzeniem, które okazało się przełomowym momentem ich życia. Pojawiły się one w *Wilmsford Messenger* 19 czerwca 1959 roku.

ZGONY

BARLOW – Harold Edward, lat 58, zmarł w szpitalu Wilmsford Cottage 17 czerwca 1959 po długiej i ciężkiej chorobie. Kochany mąż Florence i ojciec Naomi, Timothy'ego i Richarda. Nabożeństwo żałobne zostanie odprawione w kościele Świętego Łukasza w Wilmsford o godzinie 14.00 dnia 23 czerwca. Po nim nastąpi kremacja zwłok na cmentarzu Southern.

Informacji udziela dom pogrzebowy Williama Duncana i Synów, Birchwood Road 28a.

W tydzień później ukazało się następujące ogłoszenie:

PODZIĘKOWANIE

BARLOW – Florence, Naomi, Timothy i Richard pragną podziękować wszystkim przyjaciółom rodziny za ciepłe słowa współczucia, które otrzymali w związku z odejściem nieodżałowanego męża i ojca. Szczególnie pragną podziękować personelowi szpitala Wilmsford Cottage, a także zarządowi Coombes Bros Ltd.

A po roku w gazecie wydrukowano:

IN MEMORIAM

BARLOW – Harold Edward. Pamięci kochanego męża i ojca, który odszedł od nas 17 czerwca 1959 roku. Florence, Naomi, Timothy i Richard.

Podobne notatki ukazywały się przez dwa kolejne lata, a później ustały. Później nazwisko Barlow ukazało się drukiem, znów w *Wilmsford Messenger*, w związku z Naomi, a było to 4 stycznia 1967 roku, kiedy obwieszczono:

ZARĘCZINY

BARLOW – STANSFIELD – Ogłasza się zaręczyny pomiędzy panną Naomi Jean Barlow, jedyną córką pani Florence Barlow i nieżyjącego Harolda Barlowa, zamieszkałą przy Tattersall Close 17 w Wilmsford, a panem Charlesem Stansfieldem, jedynym synem państwa Stansfield z Temple Manor w Dollington, hrabstwo Buckingham.

Później w kolumnie „Śluby” w okręgowej gazecie *Buckinghamshire Courier* ukazało się zdjęcie z notatką z dnia 15 lipca 1967 roku:

BARLOW – STANSFIELD – W sobotę odbył się w kościele Świętego Michała w Dollington ślub panny Naomi Jean Barlow, jedynej córki pani Florence Barlow i nieżyjącego Harolda Barlowa z Wilmsford w Manchesterze, i pana Charlesa Roberta Stansfielda, jedynego syna państwa Stansfield z Temple Manor, Dollington.

Panna młoda, która miała na sobie długą satynową suknię o delikatnie różowym odcieniu i koronkowy welon, została poprowadzona do ołtarza przez brata, pana Timothy'ego Barlowa, zaś w dłoniach niosła bukiet z białych róż i konwalii. Jej druhami były: panna Daphne Booth-Wills, kuzynka pana młodego, i panna Helenę Staunton, które miały na sobie długie suknie z różowokremowej satyny i niosły bukietki z goździków. Rolę drużby pełnił kapitan marynarki wojennej Gerald St John Waterford.

Po ceremonii poprowadzonej przez wielebnego Jonathana Hartleya, pastora kościoła Świętego Michała, w domu rodziców pana młodego odbyło się przyjęcie weselne. Uczestniczyli w nim między innymi gubernator hrabstwa, generał Michael Bellamy i sir Peter Carey, urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wraz z żonami.

Para młoda, która spędza właśnie miesiąc miodowy w Stanach Zjednoczonych, zamieszka w Hertfordshire.

18 sierpnia 1969 roku notatka w *The Times* głosiła:

NARODZINY

STANSFIELD – Roberta Diane, 17 sierpnia, córka Naomi (z domu Barlow) i Charlesa, zam. w Brookmans Park, Hertfordshire.

Następnie, w tej samej gazecie, 9 listopada 1971 roku ukazało się:

NARODZINY

STANSFIELD – David Edward, 7 listopada, syn Naomi (z domu Barlow) i Charlesa, zam. w Brookmans Park, Hertfordshire, brat Roberty.

W międzyczasie w 1963 roku *Wilmsford Messenger* obwieścił zaręczyny i ślub Timothy'ego Barlowa z Claire Hopkins i narodziny ich syna Harry'ego w 1965 roku. Zgon Harry'ego obwieszczono trzy lata później. Zaślubiny Richarda Barlowa z Katherine Eastwood zostały opisane w *The Times* i w *Daily Telegraph* w roku 1970, a narodziny ich córek, Katherine i Emmy, w tychże gazetach w latach 1971 i 1975.

Tego rodzaju wycinki zbiera praktycznie każda rodzina, lecz po narodzinach Emmy nie opublikowano nic ważnego dotyczącego Naomi, Timothy'ego ani Richarda, aż do 27 grudnia 1992 roku. Tego dnia stali się oni bohaterami wszystkich programów informacyjnych w radiu i telewizji, a następnego poranka znaleźli się na pierwszych stronach większości gazet. Oto wycinki z materiałów Brytyjskiej Agencji Prasowej przekazanych do ogólnokrajowych i lokalnych gazet oraz stacji radiowych.

HSA589910 **PASNAPFULL** **AP** **09:03**

POLICJA Zwłoki

Policja prowadzi śledztwo w sprawie dwóch ciał znalezionych w domu w Hertfordshire.

HSA589914 **PASNAPFULL** **AP** **09:08**

POLICJA Zwłoki

W domu przy Devon Lane w Bookmans Park, Hertfordshire, znaleziono ciała mężczyzny i kobiety. Nie zostały jeszcze zidentyfikowane.

HSA589922 **PASNAPFULL** **AP** **09:20**

POLICJA Zwłoki

Rzecznik policji w Hertfordshire oświadczył, że śmierć tych osób budzi podejrzenia.

HSA589926 **AP** **09:29**

POLICJA Zwłoki – SPROSTOWANIE

W komunikacie drugim z godz. ok. 09:06 policja podała „Bookmans Park”. Powinno być: „Brookmans Park”.

HSA589947 **PAHOME** **AP** **09:54**

POLICJA Zwłoki

Wezwana przez telefon policja przybyła do domu o 8:30. Ciała znajdowały się w jednym z pokoi na parterze. Rzecznik twierdzi, że oba zgony traktowane są jako budzące podejrzenia.

Dom należy do Charlesa Stansfielda, bankiera z londyńskiego City, i jego żony Naomi. Mają oni dwójkę dorosłych dzieci.

HSA589966 **PAHOME** **AP** **09:59**

POLICJA Zwłoki – zalecenie

UWAGA REDAKTORZY INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

Nie podawać do wiadomości publicznej. Dwa ciała znalezione w Hertfordshire uznano za ciała członków tej samej rodziny. Próbuujemy uzyskać zdjęcia.

HSA589978 **PAHOME** **AP** **10:18**

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Nadkomisarz detektyw Michael Dundee z policji kryminalnej Hertfordshire powiedział: „Okolo godz. 8:15 rano otrzymaliśmy telefoniczne wezwanie i po przybyciu na miejsce w pokoju na parterze znaleźliśmy dwa ciała. Obie ofiary zmarły na skutek ran postrzałowych. Przesłuchujemy pozostałe osoby, które znajdowały się w domu w czasie zdarzenia”.

Nadkomisarz dodał, że policja ma nadzieję podać tożsamość ofiar jeszcze w dniu dzisiejszym. Broń najprawdopodobniej została zabrana z domu w celu wykonania badań laboratoryjnych.

HSA589999 **PAHOME** **AP** **10:32**

POLICJA Zwłoki

Roberta Stansfield, córka Charlesa i Naomi Stansfieldów, pracuje dla działu informacji Radia BBC. Syn państwa Stansfield, David, jest studentem architektury na uniwersytecie w Leeds.

HSA581013 PAHOME AP 10:37

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

UWAGA REDAKTORZY INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

Usiłujemy skontaktować się z Robertą i Davidem Stansfield w miejscach ich zamieszkania.

HSA581033 PAHOME AP 10:40

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Oba ciała zostały przewiezione karetką do policyjnej kostnicy w Hertfordshire.

Pani Jocelyn Harmer, lat 46, która mieszka w pobliżu domu Stansfieldów, powiedziała: „Bracia bliźniacy i matka pani Stansfield przyjechali na święta Bożego Narodzenia. W domu przebywali również inni członkowie rodziny. Wraz z mężem wybraliśmy się do nich na drinka wieczorem w drugi dzień świąt i wszystko wydawało się w najlepszym porządku. To potworna tragedia. Byli bardzo lubianą rodziną.”

Charles Stansfield jest ważnym udziałowcem banku handlowego Kennet Bolingbroke z siedzibą w City. Prezes firmy, Sir Malcolm Kilmartin, powiedział: „Jesteśmy wszyscy potwornie zszokowani tym, co się stało”.

Kilmartin dodał też, że pan Stansfield nie kontaktował się z nim jeszcze.

Policja przesłuchuje pozostałych członków rodziny, którzy przebywali w domu w czasie, gdy doszło do tragedii. Rzecznik oświadczył, że na tym etapie śledztwa nie poszukują jeszcze nikogo konkretnego, kto mógłby mieć związek z tym wydarzeniem.

HSA581111 PAHOME AP 10:51

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

UWAGA REDAKTORZY GRAFICZNI I REDAKTORZY PROWADZĄCY...

Za chwilę prześlemy kolorowe zdjęcie (w poziomie) domu przy Devon Lane w Brookmans Park, jako dodatek do informacji nt.: POLICJA Zwłoki.

HSA581165 PAHOME AP 10:58

POLICJA Zwłoki

Policja z Hertfordshire organizuje dziś w południe konferencję prasową dotyczącą dwóch ciał znalezionych w domu w Brookmans Park.

HSA581174

PAHOME

AP

11:00

POLICJA Zwłoki – zalecenie

UWAGA REDAKTORZY INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

Policja informuje, że podczas południowej konferencji dotyczącej dwóch ciał z Hertfordshire poda nazwiska ofiar. Usiłujemy zdobyć zdjęcie rodziny. W miejscach zamieszkania Roberty i Davida Stansfieldów nikt nie odpowiada. Więcej informacji wkrótce.

HSA581197

PAHOME

AP

11:14

POLICJA Zwłoki – dalsze informacje

REDAKTOR DZIAŁU INFORMACJI Z FLEET STREET* W MIEJSCU ZNALEZIENIA DWÓCH CIAŁ

* Fleet Street – dawna ulica w Londynie, gdzie mieściły się redakcje i drukarnie wielu tamtejszych gazet; obecnie mianem tym określa się prasę brytyjską ogółem (wszystkie przypisy od redakcji).

Redaktor działu informacji jednego z dzienników był wśród gości przebywających w domu, gdzie dziś we wczesnych godzinach porannych znaleziono zwłoki mężczyzny i kobiety. Policja, która jeszcze dzisiaj ma podać tożsamość ofiar, uważa okoliczności śmierci za podejrzane, jednak sprawa nie jest jeszcze traktowana jak morderstwo.

Policjanci, otrzymawszy telefoniczne wezwanie, przybyli o 8:30 do luksusowego, wartego 750 000 funtów domu przy Devon Lane w Brookmans Park, Hertfordshire, gdzie w jednym z pokoi na parterze zastali dwa ciała. Obie ofiary zmarły na skutek ran postrzałowych.

Dom należy do londyńskiego bankiera Charlesa Stansfielda i jego żony Naomi. Mają oni dwójkę dzieci: córka, Roberta, jest redaktorką działu informacji BBC; syn, David, studiuje architekturę na uniwersytecie w Leeds. Żadne z nich nie było dzisiaj w swoim domu.

Sąsiedzi twierdzą, że członkowie rodziny Stansfieldów przyjechali do nich na święta Bożego Narodzenia. Pośród gości był brat pani Stansfield, Richard Barlow, redaktor działu informacji gazety *Post*, i jego brat bliźniak Timothy, nauczyciel. Matka całej trójki, Florence Barlow, zamieszkała przy Tattersall Close w Wilmsford w Manchesterze, również przebywała u państwa Stansfield. Przybyła do nich wraz z Timothyem i jego żoną Claire.

Nadkomisarz Michael Dundee z policji kryminalnej w Hertfordshire oświadczył, że policja jak na razie nie poszukuje w związku z tym wypadkiem nikogo

spoza rodziny. Wszystkie osoby, które przebywały w tym czasie w feralnym domu, są przesłuchiwane.

Wielebny Piers Lumley, pastor kościoła parafialnego Świętego Mateusza w Brookmans Park, oznajmił: „Wszyscy są zdruzgotani tym, co się stało. Państwo Stansfield regularnie uczęszczają do naszego kościoła. Wraz z matką pani Stansfield uczestniczyli również we mszy wigilijnej. Rozmawiałem z nimi po nabożeństwie i wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku. Trudno uwierzyć w to, co zaszło”.

Rzecznik *Post* twierdzi, że Richard Barlow (lat 49) nie kontaktował się z redakcją od czasu, gdy poszedł na świąteczny urlop dnia 23 grudnia. Pan Barlow, ojciec dwóch córek, jest w separacji z żoną i mieszka przy Eagleton Mews, Paddington, Londyn W2.

HSA581239 PAHOME AP 11:26

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

UWAGA REDAKTORZY INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

Konferencja prasowa dotycząca zgonów w Hertfordshire została przełożona na godzinę 13:00.

HSA581287 PAHOME AP 11:47

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Katherine Barlow, żona Richarda Barlowa, została dziś wczesnym rankiem zabrana przez policję z domu w Chard, Somerset, i przewieziona do Hertfordshire.

„Była niezwykle przygnębiona, kiedy wychodziła – mówił sąsiad, który prosił o nieujawnianie tożsamości. – Wsiadła po prostu do radiowozu i nie odezwała się ani słowem.”

Pani Barlow mieszka sama, lecz na święta przyjechała do niej starsza córka, która również ma na imię Katherine. Towarzyszyła matce w podróży do Hertfordshire. Młodsza córka państwa Barlow, Emma, najprawdopodobniej przebywała w domu, w którym popełnione zostało morderstwo.

HSA581291 PAHOME AP 11:51

POLICJA Zwłoki – SPROSTOWANIE – PILNE

UWAGA REDAKTORZY INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

W raporcie z 11:48 usunąć frazę „popełnione zostało morderstwo” w trzecim akapicie. Na tym etapie policja traktuje ten przypadek jedynie jako śmierć w

podejrzanych okolicznościach, choć oczekuje się, że wszczęte zostanie śledztwo w sprawie morderstwa.

Pojawiło się o wiele więcej informacji, gdy do Brookmans Park zjechali się reporterzy z gazet i fotoreporterzy, ekipy telewizyjne i radiowe, zadając pytania policji, sąsiadom i każdemu, kto byłby w stanie cokolwiek powiedzieć. Przy tak sensacyjnej historii pojawiającej się w tradycyjnie martwy, jeśli chodzi o nowiny, dzień, wydawcy domagali się wszelkich informacji, choćby nie wiadomo jak niepewnych i w wielu przypadkach bardzo niedokładnych. Fakty, fikcja i fantazja mieszały się, tworząc niemożliwą do rozsąplania płataninę, podczas gdy media oczekiwały z niecierpliwością na konferencję prasową, która ujawniłaby tożsamość ofiar i potwierdziła, że zostały one zamordowane.

Ale była to historia, której żaden dziennikarz nie miał szans dobrze opowiedzieć, bo jak to najczęściej bywa w takich przypadkach, wszyscy oni zaczęli od końca i żaden nie wiedział, kiedy, jak i dlaczego wszystko wzięło swój początek. Poświęteczny poranek był bowiem dopełnieniem wydarzenia, które miało miejsce, gdy Naomi, Timothy i Richard Barlow byli nastolatkami, ponad trzydzieści lat wcześniej. Zdarzenie owo dokonało się w zupełnej ciszy i trwało mniej niż pięć minut, a jednak rzutowało niemal na wszystko, co potem robili, i wpłynęło na tych, z którymi związali swe życie. Historie takie nie powinny być opowiadane od końca, jednak tej akurat nikt nie potrafiłby opowiedzieć od początku. Gdzieś w dalszej części niniejszej opowieści kryje się prawda – a przynajmniej to, co osoby najbardziej bezpośrednio w nią zaangażowane uznały za wersję dla nich możliwe do przyjęcia, takie, z którymi byli w stanie żyć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY: NAOMI

Cale moje życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby wolno mi było po prostu obarczyć Richarda winą za fakt, że zabiliśmy naszego ojca, ale muszę pogodzić się ze świadomością, że mogę mu zarzucić jedynie, iż zasugerował to jako pierwszy. Był bardzo przebiegły, na początku spekulując jedynie mimochodem, jak to śmierć taty mogła rozwiązać wiele z naszych problemów, udając głęboko poruszonego faktem, że coś tak strasznego wydawało się jedynym rozwiązaniem. Później zaczął napomykać niejasno, że jeżeli nie stanie się to w sposób naturalny, może byśmy... Oczywiście powinnam była go wtedy przejrzeć; on zawsze ze wszystkiego, co robił, musiał wyciągnąć korzyści wyłącznie dla siebie. Jednak w tej sytuacji jego plany mogły się ziścić jedynie wtedy, gdybyśmy Tim i ja na nie przystali – i najgorsze jest to, że w końcu tak się stało. Dlaczego? Choć większość życia spędziłam, starając się wymazać tak wiele ze swej przeszłości, to pytanie wciąż mnie dręczy i sprawia ból, bo prawda jest taka, że nasza decyzja nie miała szczególnie mocnych podstaw, powody jej podjęcia zdawały się w tamtym czasie zaledwie dostateczne – jakkolwiek usprawiedliwione.

Był to okres, w którym wszyscy podświadomie zwróciliśmy się ku przeszłości, ponownie stając się dziećmi, jakimi byliśmy, nim nieuchronnie zaczęliśmy się od siebie oddalać. W chwili, gdy umierał nasz ojciec – było to dokładnie o trzeciej trzydziści po południu; słyszałam szpitalny zegar wybijający godzinę – byliśmy sobie tak bliscy, jak wtedy, gdy udawaliśmy, że szopa w ogrodzie jest zamkiem lub pirackim statkiem, albo jak wtedy, kiedy staliśmy w sklepiku pani Wolstenholme na rogu, zastanawiając się, jakie sztuczne ognie kupić ha piętego listopada*. Żeby go zabić, wróciliśmy do czasów naszego dzieciństwa, by móc działać jak jedna osoba, odkładając na bok różnice między nami, które dotąd nieustannie się pogłębiały: nierozłączni wcześniej bliźniacy stawali się indywidualistami, traktowali się nawzajem jak obcy, zaś ja utwierdzałam się w przekonaniu, że jestem już kobietą, nagle mądrzejszą od dwóch piętnastolatków chichoczących przy sprośnych rozmowach na temat seksu. Cokolwiek któryś z nich zasugerował, negowałam zwykle z niecierpliwością i pogardą typową dla osiemnastolatki. Tę

sugestię jednak potraktowałam inaczej.

* Piątego listopada obchodzony jest w Wielkiej Brytanii Dzień Guya Fawkesa, który to w 1605 roku usiłował wysadzić w powietrze gmach brytyjskiego parlamentu. Tradycyjnie w dniu tym rozpala się ogniska i urzęda pokazy sztucznych ogni.

Po zasianiu pomysłu w naszych głowach Richard z typowym dla siebie sprytem zostawił nas z tym samym; wiedział, że nie byłby w stanie nas do niczego zmusić i że każde z nas musiało przyjść do niego, znalazłszy własne uzasadnienie. Przez pewien czas nie dzieliliśmy się swymi przemyśleniami; później zaczęliśmy ostrożnie dyskutować, raz przekonując się nawzajem, by to zrobić, raz wycofując się z przerażeniem i poczuciem winy, że w ogóle coś takiego przyszło nam do głowy. Nadawaliśmy temu realny wymiar, nieśmiało przedstawiając sposoby, na jakie można by nasz zamiar wprowadzić w życie, a następnie odrzucając je jako niewyobrażalne i okrutne. W końcu zdecydowaliśmy się... Nie, chcę zacząć od *mojego własnego* uzasadnienia, a to oznacza, że muszę spróbować opisać uczucia, jakimi darzyłam mego ojca.

Być może będzie łatwiej, jeśli na początek go opiszę. Był o kilka lat starszy niż ojcowie moich przyjaciół, bo dobiegał czterdziestki, kiedy się żenił. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i w młodości był niesamowicie przystojny. Jego twarz była pociągła i miała z natury surowy wyraz, podkreślony jeszcze przez bardzo krótkie włosy i mały wąsik, który był modny przed wojną, ale w latach pięćdziesiątych wyglądał już trochę śmiesznie. To stwierdzenie z pewnością by go rozzłościło, jako że był nadęty i uparty, niezwykle dbały o swą godność.

Narzucał nam swoją wolę i miał ogromny wpływ na nasze życie, był dumny z naszych osiągnięć, zaś zjadliwie krytyczny wobec porażek. Traktował życie bardzo schematycznie, dzieląc wszystko na czarne i białe, dobre i złe, wykonane i nie wykonane – to ostatnie w szczególności. Nie było mowy o żadnym ulgowym traktowaniu ani o zrozumieniu; dla niego istniały tylko pewniki, a było to podejście do życia, jakie wyniósł jeszcze z własnego dzieciństwa. Oczywiście wtedy tego nie dostrzegałam. Dopiero potem zaczęłam rozumieć – a przynajmniej starałam się to pojąć – co to musiało być za życie jedynego syna rodziców, którym do głowy by nie przyszło, że dziecko może zostać skrzywdzone przez niewłaściwe wychowanie.

Mój ojciec urodził się w 1900 roku, w szczytowym okresie narastającej przez ponad sześćdziesiąt lat imperialistycznej pewności siebie. Wielka Brytania rządziła we wszystkich ważniejszych częściach świata – Ameryka była nadal utraconą kolonią, nie zaś liczącym się narodem rządzącym się własnymi prawami, a już z pewnością nie żadnym mocarstwem – a nieszczęsna królowa żyła tak długo, że

większość ludzi nie byłaby w stanie przypomnieć sobie czy nawet wyobrazić życia bez niej.

W rezultacie wiktoriańskie wartości trwały równie uparcie jak wiktoriańska architektura, stanowiąc antyczne pewniki w zmieniającym się świecie. Pamiętałam słabo mojego ojca, noszącego jeszcze sztywne kołnierzyki i fraki; pamiętałam, jak wdrapywałam się na jego kolana, a on pozwalał mi bawić się zegarkiem na łańcuszku. Wydawał się niewiarygodnie stary, o wiele starszy niż moi dzisiejsi przyjaciele, którzy też już są niekiedy dziadkami. Ale kiedy ja byłam dzieckiem, ludzie naprawdę *byli* starsi, a przynajmniej tak się zachowywali; nim osiągnęli czterdziestkę, byli już w podeszłym wieku. Mężowie zakładali, że będą pracować dla tej samej firmy aż do emerytury, żony były nauczone, by nie buntować się przeciw ograniczeniom swojej egzystencji; było to dziedzictwo społeczeństwa rządzonego przez kobiety, lecz całkowicie zdominowanego przez mężczyzn.

Kiedy jest się dzieckiem, nie ma sposobu na to, by porównać swoich rodziców z innymi. Byliśmy nakarmieni, odziani, otrzymywaliśmy prezenty na urodziny i Gwiazdkę, i potrafiliśmy pogodzić się z laniem, jakie zdarzało nam się dostać – zawsze od ojca – bo wiedzieliśmy, że coś zbroiliśmy i dlatego na nie zasługiwaliśmy. I gdy tylko minął ból, a łzy obeschły, kochaliśmy go na powrót tak bezwarunkowo, jak to potrafią tylko małe dzieci potrzebujące obiektu miłości. On nigdy nie przebaczał, zawsze tylko karał – z jak najlepszymi intencjami; nigdy nie postrzegał siebie jako okrutnego człowieka – gdyż to brutalne wymierzanie sprawiedliwości należało do jego obowiązków rodzica. Gdyby świat nie zmienił się tak bardzo, być może do końca życia akceptowalibyśmy jego standardy i nie stabilibyśmy się tacy, jacy teraz jesteśmy – lub nie zrobilibyśmy tego, co zrobiliśmy.

Urodziłam się w grudniu 1940 roku, tuż przed pierwszymi niemieckimi nalotami na Manchester. Moje pierwsze wspomnienie to wycie syren, które mnie zbudziło, widok białych szczebli łóżeczka w półmroku i moja mama biegnąca po schodach na górę. Wleczenie mnie z ciepła posłania do ceglanego schronu na końcu ulicy było integralną częścią mojego wczesnego dzieciństwa. Pamiętam też ojca w miedzianym hełmie – nie wojskowym, bo jako zdolny inżynier spełniał swój wojenny obowiązek, będąc na miejscu, konstruując karabiny maszynowe czy coś w tym rodzaju; mój ojciec nosił na głowie hełm strażnika, którego zadaniem było ostrzeganie Tattersall Close przed nalotami. Kiedy mama taszczyła mnie w ciemności, zawiniętą w koc, widziałam, jak poganiał naszych sąsiadów, przywdziewszy arcyważną minę, którą nauczyłam się rozpoznawać dopiero wiele lat później.

Gdy wojna się skończyła, w naszym domu jeszcze przez długi czas czuć było jej atmosferę, bo nie potrafiłam zasnąć w letnie wieczory, kiedy światło dzienne przenikało przez zasłony w moim pokoju. Byłam przyzwyczajona do mroku zaciemnienia, tak więc mama przyniosła ze strychu starą kotarę – w tamtych czasach nie wyrzucało się niczego – i zawiesiła ją dla mnie z powrotem. Dzięki Hitlerowi nigdy nie bałam się ciemności.

W każdym razie najważniejsze w związku z wojną było to, że wywołała ona przedśmiertne drgawki sztywnego i niepodważalnego systemu wartości mojego ojca. Oczywiście cenił on Churchilla, żywy symbol dziewiętnastego wieku, który wziął udział w ostatniej wielkiej światowej szarży kawaleryjskiej, rozkazując szwadronom bombowców atak na Drezno i Berlin; ale później nastąpiły czasy pierwszego powojennego rządu laburzystów z Attleem na czele. Pamiętam, że bawiąc się lalkami (nadal w ubrankach z lat trzydziestych), byłam świadkiem tego, jak notował wyniki wyborów w 1945 roku, kiedy ogłaszano je przez radio, i psioczył do mamy, że to koniec Wielkiej Brytanii, koniec Imperium, koniec całego świata, że tylko patrzeć, jak do Londynu wmaszerują bolszewicy, że jeszcze wspomnimy jego słowa. Nacjonalizacja kolei i kopalni, opieka społeczna i początki państwowej służby zdrowia tylko pogłębiły jego uprzedzenie – mimo iż był dość zadowolony z faktu, że nie musiał już płacić za lekarzy. Przez kilka lat żył w gderliwym nastroju i pełnym zadowolenia z siebie pesymizmie, posępnie ostrzegając, że Partia Pracy zmusi najpierw Jerzego VI, a później Elżbietę II do abdykacji i na rozkaz swych przywódców z Moskwy zamieni królewskie zamki i pałace na mieszkania komunalne. Jednak Rosjanie się nie pojawili, Attleemu powinęła się noga, a w 1951 roku Churchill i Partia Konserwatywna powrócili do władzy. Ojciec powiedział wszystkim, że o mały włos stało się to, co przewidywał; gdyby wynik głosowania był inny, demokracja w przeciągu jednego roku przepadłaby na wieki.

I jakimś cudem wszystko w jego oczach zmieniło się na lepsze. Na kartki zaczęły przysługiwać większe racje żywności, społeczeństwo miało więcej pieniędzy w kieszeni i to, co pozostało z porządku i bezpieczeństwa świata mego ojca, jeszcze przez kilka lat płonęło słabym światłem, nim zgasło zupełnie. Jak na ironię, nie stało się to za sprawą żadnej zdradzieckiej rewolucji zapoczątkowanej przez nikczemnych komunistów, lecz za przyczyną Ameryki, którą po tym, jak stała się jednym z naszych powojennych sprzymierzeńców, ojciec łaskawie uznał za specyficznego członka Wspólnoty Brytyjskiej. I nie dokonało się to przy pomocy karabinów, ale za sprawą opętańczego jazgotu gitar.

Musiałam mieć jakieś czternaście lat, kiedy usłyszałam pierwszą rockandrolową płytę. Próbowalam wytłumaczyć moim dzieciom, co to był dla mnie za

przejmujący dźwięk, jednak w obecnych czasach stał się on tak naturalną częścią ich życia, że nie potrafiły tego zrozumieć. Nagle pojawiła się muzyka, która należała wyłącznie do nas, do naszego pokolenia, nie zawdzięczała niczego przeszłości, temu, co było wcześniej. Była głośna, buntownicza, bezwstydnie prowokacyjna – i znieawidzona przez mojego ojca. Już jazz był dla niego wystarczająco paskudny. „Przeklęty zgiełk z dżungli rodem!” – zlorzeczył, gdy przypadkowo trafił nań, szukając w radio dawnego Programu Trzeciego BBC. Jazz nie wtargnął jednak do jego domu, nie skaził jego rodziny. Nie zagroził mu. Ja jednakże skrycie wielbiłam wczesne rockowe płyty słuchane w domach moich przyjaciół, których rodzice wydawali się niewiarygodnie tolerancyjni i liberalni. I też zapragnęłam jedną z takich płyt posiąć, jako część mojego małego buntu, mimo że wtedy jeszcze tego tak nie postrzegałam.

Przez trzy tygodnie oszczędzałam część kieszonkowego, wynoszącego pół korony na tydzień, by pewnego dnia po szkole wybrać się wreszcie do sklepu muzycznego. Kiedyś to były sklepy muzyczne z prawdziwego zdarzenia: sprzedawały instrumenty i nuty różnych piosenek rozpisanych na fortepian; na okładce znajdowało się zdjęcie piosenkarza, coś, co było wówczas chyba najbardziej podobne do współczesnych plakatów. Pan Prendergast, który prowadził ten sklep, widział, co się działo, i zainstalował wzdłuż jednej ze ścian boksy, w których można było posłuchać płyty, zanim się ją kupiło. Spędziłam w jednym z takich boksów dwadzieścia minut, przesłuchując całą kolekcję, by odrzucić „Blue Suede Shoes” (nie byłam pewna dlaczego, lecz teraz uświadamiam sobie, że nie dorosłam wtedy jeszcze do niczym nie skrepowanej zmysłowości Presleya); wszyscy moi znajomi mieli „Rock Around the Clock”, ale ja tak na prawdę chciałam mieć „Rockin' through the Rye” Billa Haleya and the Comets. Nawet kiedy już zdecydowałam się na tę płytę, chciałam poprosić, żeby wymieniono mi ją na Frankie Lymon and the Teenagers śpiewających „Why do Fools Fall in Love?”, jednak Bill Haley ostatecznie wygrał. Oczywiście był to winylowy krążek, na 78 obrotów, gruby, kruchy i ciężki, w gładkiej, brązowej kopercie z otworem pośrodku, ukazującym naklejkę i cenę... Wydaje mi się, że kosztowała około dwóch szylingów.

Istotnym punktem mej konspiracji był wybór odpowiedniego dnia, tak żeby dom był pusty. Była czwarta trzydziści, kiedy otworzyłam drzwi i weszłam; Richard i Tim byli jeszcze w szkole na próbie przedstawienia, mama miała wrócić tuż po piątej po cotygodniowej wizycie u cioci Eleonory, tata przychodził nie wcześniej niż o szóstej. Rzuciłam moją torbę i kurtkę na podłogę w korytarzu i pobiegłam do pokoju dziennego. W rogu stał nasz przedwojenny gramofon – nie adapter, jako że nasza rodzina trwała wciąż w epoce kamienia łupanego –

drewniana szafka większa niż dzisiejsze pralki, ze zniszczonym wzorem na drzwiczkach, za którymi znajdował się obity materiałem głośnik. Urządzenie posiadało obrotową platformę obitą szarym filcem i metalowe ramię w kształcie znaku zapytania, umocowane zawiasami z jednej strony i Bóg wie ile ważące. Otworzyłam małą niebieską puszczykę, którą trzymaliśmy w środku, i umieściłam w ramieniu stalową igłę – dla informacji osób, które mają mniej niż trzydzieści pięć lat: wyglądała ona jak końcówka igły do cerowania i siała spustoszenie na powierzchni płyty. Wreszcie wyciągnęłam mój bezcenny krążek Billa Haleya i włączyłam machinę, zamykając pokrywę, by zagłuszyć trzaski. Nasz gramofon nigdy nie odtwarzał nic żywszego niż wybrane utwory z musicalu *Oklahoma!*, ale po kilku sekundach syczenia eksplodował muzyką na cały pokój, a ja w łańcuchach śpiewałam jako morze* (Wiersze Dylana Thomasa należały do lektur obowiązkowych w mojej szkole, lecz dopiero w tej chwili poczułam, że pojęłam wreszcie sens tego wersu.)

* Nawiązanie do wiersza Dylana Thomasa „Fern Hill”, przekł. Janusz A. Ihnatowicz.

Och, ależ to było wspaniałe, ta cudowna obecność czegoś nowego, co unosiło się triumfalnym wrzaskiem ponad antycznym zestawem wypoczynkowym, odbijając się od lustra wiszącego nad kominkiem, gdzie na gzymsie stała para słoni z kości słoniowej przesądnie ustawionych trąbami w stronę drzwi. Brzmiało to dla mnie jak radosny krzyk młodości i niezależności zdzierający ze mnie warstwy kolejnych lat podporządkowania. No dobrze, oczywiście wiem, że była to tylko płyta pop i nie stała się nawet klasyką – lecz ja przy niej po raz pierwszy się zbuntowałam, powoli zaczynając rozumieć, że istnieją pewne wartości, które mogłabym odkryć sama, i że życie niekoniecznie toczy się zgodnie z zasadami ustalonymi przez mojego ojca.

Rzecz jasna, w tamtej chwili o tym wszystkim nie myślałam. Po prostu zamknęłam oczy, czując, że się uśmiecham, i pozwoliłam, by moje ciało poruszało się w rytm muzyki. Po raz pierwszy byłam zupełnie sama i nieśmiało zaczynałam czuć, jak by to było być sobą. Płyta skończyła się i włączyłam ją od nowa. I jeszcze raz... I jeszcze... Zegar pokazywał za dziesięć piątą: miałam czas na jeszcze dwie zmiany, nim musiałabym ukryć płytę w swoim pokoju. Zaczęłam koncentrować się na słowach, tak bym mogła sobie śpiewać aż do następnego razu, kiedy to miałabym szansę znów włączyć płytę. Były banalne i powtarzały się, ale po prawie czterdziestu latach nadal je pamiętam, bo oznaczały dla mnie coś, co instynktownie wiedziałam, lecz byłam zbyt młoda, by to zrozumieć: od tej pory bowiem miałam wreszcie coś, co było tylko i wyłącznie moje. Śpiewałam razem z płytą, pstrykając palcami, kiwając głową, aż gumka zsunęła mi się z włosów, a

te opadły mi na twarz. Bujałam w obłokach. To było takie głupie i dziecinne, ale ach, jakie cudowne. To była wolność. To byłam ja.

I wtedy wszedł mój ojciec. Nie słyszałam, jak otwierał drzwi, i nie pamiętam już, dlaczego wrócił wcześniej. Wniósł do pokoju potworną, miażdżącą ciszę, tak że Comets jakby nagle wycofali się w głąb gramofonu z obawy przed nadciągającym wrogiem. Wciąż trzymał w ręku swoją teczkę i patrzył tak, jak gdyby zastał młodzieżowy gang pustoszący jego dom. Podszedł do gramofonu i aż skrzywiłam się, słysząc skrzek, gdy podnosił ramię gramofonu. Następnie zwrócił się w moją stronę, trzymając „Rockin' through the Rye” tak, jakby płyta cuchnęła.

– Kto ci to dał?

– Nikt. Sama kupiłam.

Powinłam była powiedzieć to buntowniczo, ale okazało się to niemożliwe. Mamrotałam zaczerwieniona i zawstydzona. Byłam sobą przez dwadzieścia minut; teraz na powrót stałam się jego córką.

– Za co?

– Za moje kieszonkowe.

– Nie po to dostajesz kieszonkowe, żeby wydawać je na śmieci. Nie dostaniesz ani grosza przez następne trzy tygodnie. – Złamał płytę na pół. – A teraz chodź ze mną do tylnego pokoju.

Tak, by nikt przechodzący koło domu tego nie widział, przełożył mnie przez swoje kolana i sprawił mi lanie; nie zdarzyło się to, odkąd skończyłam dziesięć lat, a potworne upokorzenie zostało jeszcze spotęgowane przez złe samopoczucie i wstyd, bo właśnie miałam jedną z moich pierwszych miesiączek (ojciec nie miał o tym zielonego pojęcia, inaczej z pewnością odepchnąłby mnie, zde gustowany). W jego oczach byłam krnąbrnym dzieckiem, które musiało dostać nauczkę, a nie czternastolatką, niepewnie wchodzącą w wiek kobiecości i zdeorientowaną tym, co działo się z jej ciałem. W miarę jak każdy wymierzony mi gniewny klaps raził w moją godność i nieśmiałą indywidualność, krzyki mojej duszy przeradzały się w dławiący goryczą szloch. To było poniżające, zawstydzające i niewybaczalne. To było maltretowanie dziecka, a w jego przekonaniu – jedyna właściwa rzecz, jaką należało zrobić. Wreszcie przestał.

– Teraz idź do swojego pokoju – powiedział. – Możesz zejść na dół, jak już sobie wszystko przemyślisz i będziesz gotowa przeprosić.

Wyprostowałam się, dysząc w rozgoryczeniu. Boże drogi, gdybym wtedy miała gdzieś pod ręką nóż... Łykając łyzy bólu, który znacznie dotkliwiej dokuczał mej duszy niż ciało, pobiegłam na górę i rzuciłam się na łóżko, tłumiąc krzyki jaśkiem.

Wtedy nie potrafiłam okazać mu tego, co czułam, za to mogę to zrobić teraz. Ty okrutny, zawzięty, bezlitosny, nieczuły, głupi, bezmyślny... Jednak spod pokładów całej mej wściekłości i pogardy nadal dobywał się ten natarczywy, niewidzialny głos mówiący, że nie wolno sprzeciwiać się rodzicom, że oni wiedzą, co dla ciebie najlepsze. Sztywna skorupka mojego posłuszeństwa zaledwie nadpękła tego popołudnia.

Przekręciłam się na plecy i zaczęłam patrzeć w sufit, pociągając nosem i ocierając łzy. Myślałam o wszystkich innych dziewczynach, które znałam, a których rodzice nie byli skamielinami z przeszłości, i pytałam Boga, dlaczego moi nie mogli być tacy. Przypominałam sobie ojców, których poznałam, którzy starali się rozumieć, którzy rozmawiali ze swoimi dziećmi, których łączyło z nimi coś, czego ja pragnęłam... uczuciowa więź była wówczas conceptem absolutnie mi nie znanym, więc nie potrafiłam nawet znaleźć słowa. Chciałam uciec, ale życie poza domem było czymś niewyobrażalnym; nie miałam dokąd pójść. Byłam jak Rozspunka w swojej wieży, lecz dokoła nie było żadnego księcia, który wspiąłby się po moich włosach. Za siedem lat miałam uzyskać pełnoletność, a wówczas nawet on musiałby uznać moją dorosłość; czy w związku z tym jeszcze przez siedem lat miałam dostawać lanie?

Słyszałam, jak wróciła mama, wyrażając swoje zdziwienie, że tata jest w domu. Nie zrozumiałam, co jej powiedział, ale jego głos był wciąż gniewny. Następnie usłyszałam jej kroki na schodach. Odwróciłam się plecami do drzwi, skupiając się na małych buziach, których można się było dopatrzeć w kwiecistym wzorze na tapecie. Mama weszła i stanęła koło łóżka, ale nie usiadła i nie przytuliła mnie, nawet mnie nie dotknęła.

– Naomi, twój ojciec bardzo się na ciebie gniewa. Czeka, aż zejdziesz na dół i przeprosisz. – Po czym odeszła.

Leżałam bez ruchu i płakałam w rozpacz. Tego już było za wiele. Byłam fizycznie i emocjonalnie poturbowana przez ojca, byłam zagubiona i wściekła, a ona tak mnie potraktowała. Kocham ją – naprawdę – ale nie mogę zapomnieć, że zawsze była przede wszystkim ję żoną, a dopiero potem naszą matką.

Zostałam w pokoju do czasu, aż wrócili moi bracia, i usłyszałam, jak ojciec mówi im, że mają zostawić mnie samą, jednak po kilku minutach do pokoju zakradł się po cichu Tim.

– Nimmy, co zrobiłaś?

„Nimmy” było imieniem, którym ochrzcił mnie jako malutkie dziecko, nie mogąc wymówić „Naomi”; zresztą nadal tak na mnie mówi.

– Odejdź.

– Nie, dopóki nie powiesz mi, co zrobiłaś.

Gdyby to był Richard, kazałabym mu się wynosić. On chciałby się tego dowiedzieć tylko po to, by przekonać się, czy sam może na tym w jakiś sposób skorzystać. Ale Tim mi współczuł.

– To nie ma znaczenia – wymamrotałam.

– Nieprawda, ma, bo jesteś zdenerwowana. Płakałaś.

Boże, on zawsze jest taki *miły*. Bezradny, nieudolny, niezdecydowany, pomiatany przez każdego, kto tylko chce go jakoś wykorzystać, ale zawsze dobry, zawsze pełen zrozumienia. Nigdy nie potrafiłabym go odtrącić; to by było tak, jakby odmówiło się przyjęcia błogosławieństwa od jakiegoś cholernego świętego.

– Kupiłam płytę Billa Haleya.

– Rockandrollową? – Był zaszokowany, a jednocześnie pod wielkim wrażeniem. – O Boże. Którą?

– Nieważne. I tak ją połamał. – Nie miałam najmniejszego zamiaru przyznać się do lania.

– Dlaczego mu powiedziałaś, że ją kupiłaś?

– Nie powiedziałam! Wrócił, akurat gdy ja... – Psychiczny ból, który powoli ustępował, powrócił, a ja skuliłam się na łóżku, odwracając się do brata plecami. – Zresztą zostaw mnie w spokoju!

– Tata mówi, że czeka, aż zejdiesz na dół i go przeprosisz.

– Niech sobie czeka. – Skuliłam się jeszcze bardziej. – Nienawidzę go!

To wydarzenie spadło na Tima w niewłaściwej chwili. Miał tylko jedenaście lat, a do tego zarówno on, jak i Richard zawsze postrzegali ojca zupełnie inaczej niż ja. Zabierał ich na mecze krykieta i piłki nożnej, gdy mama i ja chodziłyśmy na zakupy; pozwalał im pomagać przy naprawie samochodu, po czym wracali razem i czekali, aż zrobię im herbatę; kupował im wspaniałe modele żaglowców i puszczał je z nimi na stawie w Llandudno, gdzie zawsze jeździliśmy na wakacje, podczas gdy ja bawiłam się sama na plaży nad morzem, a mama czytała, wyciągnięta na leżaku. Tim nie mógł nienawidzić ojca, który go tak traktował.

– Na pewno tak nie myślisz. – Powiedział to takim tonem, jak gdyby nie chciał, bym rzeczywiście tak myślała, bo nie potrafiłby sobie z tym poradzić. Delikatnie położył rękę na moim ramieniu. – Zejdź na dół i...

– Nie! – Wierzgnęłam gwałtownie nogami i Tim spadł z łóżka. – Ona była moja! Kupiłam ją. Za swoje własne pieniądze. I chciałam ją mieć, bo...

Bo? Bo byłam nastolatką zrzucającą skórę i prawdziwa Naomi Barlow chciała już wreszcie ujrzeć światło dzienne. Nie wiedziałam, kim ona była, ale na wpół ukształtowana myśl, że nie muszę być skazana na to, by żyć jako posłuszna córeczka Harolda

Barlowa, zaczynała nabierać barw.

Porzucenie kojarzonego z dzieciństwem bezpieczeństwa jest pewnie trudne dla każdego człowieka, dlatego też wielką pomocą mogą okazać się rodzice, którzy zauważą, co się dzieje, i sami przyczynią się do poluznienia więzów krępujących ich pociechy. Reakcją mojego ojca było natomiast wtłoczenie mnie z powrotem w ramy jego uprzedzeń.

– Zostaw mnie w spokoju – powtórzyłam. – Zaraz zejść na dół.

Wyczuwałam dezorientację i troskę Tima, kiedy wychodził, by zostawić mnie znowu samą, tym razem bez magicznego poczucia własnej indywidualności, które wniósł Bill Haley; teraz była to samotność kapitulacji i porażki. Brzmi strasznie rzewnie, nieprawdaż? Nie śmieście się ze mnie z tego powodu. Jeżeli nie mieliście takiego ojca jak ja, nigdy nie będziecie wiedzieć, jak się wtedy czułam. I był to początek zakrętu na drodze mojej nauki, którą musiałam przebyć, początek procesu, dzięki któremu miałam się dowiedzieć, jak powinni zachowywać się rodzice; oczywiście mój ojciec nigdy nie poznał moich dzieci, jednak oddał im całe mnóstwo przysług.

Siedział w salonie, czytając *Manchester Evening News*, kiedy zeszałam na dół. Zmyłam z twarzy ślady łez, uczesałam włosy i związałam je ponownie gumką; mała buntowniczką, którą zastał w domu, zmieniła się ponownie w potulną uczennicę; jasnoniebieska bluzka i granatowa spódniczka, czarne buty i białe skarpetki.

– Słucham, Naomi? Co masz mi do powiedzenia? – Nie oderwał wzroku od gazety.

Dotarło do mnie, że w kuchni mama przerwała szykowanie kolacji, i wiedziałam, że słucha, co powiem. Tim i Richard byli w swoich pokojach na górze. Spuściłam głowę i zauważyłam zadrapanie na czubku jednego z butów, myśląc zupełnie bez związku, że będę musiała zapastować je jutro przed szkołą. To z kolei spowodowało, że przypomniałam sobie o zadaniu domowym z matematyki i ni stąd, ni zowąd równanie kwadratowe wypełniło mój umysł... x równa się minus b dodać pierwiastek z b do kwadratu odjęć $4ac$, wszystko przez $2a$. Wzbraniając się przed tym, co wiedziałam, że muszę powiedzieć, mój umysł jakby starał się skupić na czymś innym. *J'ai, tu as, U a, nous avons, vous...*

Gazeta delikatnie zadrzała. – Naomi! Czekam.

– Przepraszam. – Już samo wypowiedzenie tego słowa bolało.

– I nigdy więcej tego nie zrobisz.

Nie było to bynajmniej pytanie, lecz zwykłe stwierdzenie prostego faktu. Stojąc wciąż ze schyloną głową, pokręciłam nią, ale nic nie powiedziałam.

Teraz gazeta została opuszczona. – Spójrz na mnie, Naomi. Powiedz, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

Przez jedną szaloną chwilę miałam ochotę wrzasnąć i znów od niego uciec. Ile upokorzenia musiałam jeszcze znieść? Zdławiłam w sobie zalewającą mnie złość i podniosłam głowę.

– Nie zrobię. Obiecuję. Bardzo mi przykro.

Za plecami skrzyżowałam palce obu rąk. Ten dziecinny gest był jedyną bronią, jaką posiadałam.

– Mam nadzieję. A teraz idź odrobić zadanie domowe.

Chyba nie spodziewaliście się żadnego ciepłego gestu? Pełnego wybaczenia uśmiechu, kilku ciepłych słów, które osłodziłyby jad i gorzkie poniżenie? Jeśli tak, to najwidoczniej nie potrafiłam precyzyjnie sportretować mego ojca. A może po prostu teraz wydaje się on tak niesamowity, że nie da się zrobić nic poza przedstawieniem pewnego szkicu i poproszeniem, byście wyobrazili sobie resztę. Postępował zgodnie ze swym systemem wartości, sumiennie wypełniał obowiązki męża i ojca. Zapewniał nam dobrobyt, uczył nas manier i posłuszeństwa, i wielu innych rzeczy, z których mieliśmy później korzystać. Jednak chociaż był przekonany, że kształtuje idealnie posłuszne dzieci, za których zalety będzie podziwiany, to ponosił klęskę za klęską w zrozumieniu nas w chwilach, gdy go najbardziej potrzebowaliśmy.

Obecnie, gdy tylko usłyszę w radio starą piosenkę Billa Haleya, nieważne jaką, muszę ją wyłączyć, a i tak zaczynam płakać niezależnie od tego, jak szybko uda mi się dosięgnąć odbiornika. Rzecz jasna, miało miejsce jeszcze wiele innych sytuacji, ale to wspomnienie pozostaje najsilniejsze i najbardziej jaskrawe, bo później zaczęłam uznawać to zdarzenie za pierwszy krok, który doprowadził do śmierci ojca. Natychmiastowy efekt był taki, że przestałam go lubić, nadal pozostając bezradnie uwikłana w emocjonalną sieć miłości do rodziców; ale w miarę jak stawałam się bardziej świadoma i krytyczna w stosunku do typu człowieka, jaki reprezentował, ta miłość zaczęła niszczyć. Albo z nim było coś nie tak, albo ze mną, a żeby nie zwariować, musiałam wierzyć, że to on jest potworem. Tego popołudnia zapoczątkował się proces, który doprowadził do ostatecznej akceptacji faktu, że Timothy, Richard i ja powinniśmy go zabić. Zdołałam nawet przekonać samą siebie, że była to jego własna wina. Ale teraz wiem, że to nieprawda; winna byłam ja.

ROZDZIAŁ DRUGI: RICHARD

Rzecz nie w tym, że nie lubię mówić o ojcu; prawda jest taka, że nie chcę go w ogóle pamiętać. Tak czy inaczej, jeżeli już mam o nim mówić, jedną rzecz muszę wyjaśnić na samym początku – nie byłem tym, który zaproponował jego uśmiercenie. Wszystko inne mogłem zapomnieć, ale to będę pamiętał zawsze. W porządku, możecie mnie oskarżyć o współudział, bo byłem tam, kiedy to się stało, możecie nawet sugerować, że powinienem był temu zapobiec, ale nic tak naprawdę *nie zrobiłem*. Siedziałem na swoim krześle, dopóki nie było po wszystkim. Nawet nie patrzyłem. A zatem kto z mojego rodzeństwa rzucił to hasło? Nie mógł to być Tim, on by na to nie wpadł, tak więc pewnie była to sprawka Naomi. Czy to ważne? Tak czy siak, ojciec nie żyje, nikt się o niczym nie dowiedział i żadna z tych rzeczy nie ma nic wspólnego z tym, jaki teraz jestem.

Moje dzieciństwo również nie ma tu nic do rzeczy, ale jeśli już musicie wiedzieć, to płaczą mi się po głowie te same wspomnienia co innym i oczywiście stary gdzieś tam się w nich przewija. Jak mi nie mam, kiedyś musiałem go podziwiać jako pewien rodzaj męskiego wzorca, który akceptuje się bez zastanowienia. Nauczył nas wygrywać w kręgle, a nawet pozwolił kupować stary komiks zatytułowany *Eagle*, jak tylko dowiedział się, że wydaje go pastor kościoła anglikańskiego, a głównym bohaterem jest pilot Spitfire'a z RAFu. No i wpoił nam poczucie, że mężczyźni są lepsi od kobiet; feminizm byłby dla niego tym samym co spisek KGB. Czy podzielał jego zdanie? Lepiej zapytajcie mojego redaktora naczelnego – to kobieta. Rano szedł do pracy, wracał wieczorem, spędzał z nami weekendy, kiedy nie grał w golfa, dokonywał drobnych napraw w domu, pokazał nam, jak reperować zabawki, gdy coś było z nimi nie tak, kupował choinkę, organizował letnie wakacje... Takie tam zwykłe rzeczy. Nie było na co narzekać – ani czym się podniecać.

Naomi zdaje się mieć obsesję na punkcie kar, jakie stosował wobec nas, gdy byliśmy dziećmi; jak czasem rozpuści język, można pomyśleć, że byliśmy maltretowani. No i co z tego? Ja sam dałem obydwu moim córkom parę klapsów, gdy się o to prosiły, ale to nie znaczy, że ich nie kocham. Wyrosły przynajmniej na

porządnych ludzi – o Emmę może czasem głowa nas trochę boli, za to Kathy studiuje w Oksfordzie. Bystra dziewczyna, ma w głowie poukładane. W każdym razie to nie przez wymierzane nam kary stary zrobił się nie do zniesienia; nikt jeszcze od lania nie umarł, co więcej, niekiedy taki klaps może nawet dobrze podziałać. Mnie dobijały te jego cholerne zasady dotyczące zachowania. Można by pomyśleć, że otrzymał je od samego Pana Boga, spisane na kamiennych tablicach. Miał paranoję na punkcie tego, by robić wszystko według ściśle określonych reguł. Idąc ulicą z kobietą, trzeba było zawsze kroczyć po zewnętrznej; dowiedziałem się później, że zasada ta sięgała czasów, kiedy kobiety nosiły krynoliny, a mężczyźni mieli w ten sposób chronić je przed ochlapaniem przez przejeżdżającą dorożkę. Twierdził, że to kwestia grzeczności, ale moim zdaniem chciał po prostu, by na ulice wróciły konne powozy. W rozmowie zawsze mówił o ludziach „pan Taki”, „pani Taka” albo „panna Owaka”; Barracloughowie byli naszymi sąsiadami przez lata, ale nigdy nie powiedział na nich „Donald i Cicely”. Jego dyrektor był zawsze panem Douglasem, w odróżnieniu od jego syna, pana Franka, lub kuzyna, pana Arthura. Jak daleko można posunąć się w swej staroświeckości? Jednak przy tym wszystkim ojciec był hipokrytą. Odkryłem to dość wcześnie, ale najpierw chciałbym wyjaśnić parę rzeczy.

Aby oddać mu sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, że stary nieźle się ustawił. Zaczynał jako praktykant w Coombes Brothers, chodził do technicznej szkoły wieczorowej, nikomu nie podskakiwał i nie zadzierał nosa, aż dochrapał się do średniego szczebla kierowniczego stanowiska. Pomogła mu wojna, jako że jego profesja znajdowała się na liście zawodów potrzebnych w kraju (znając go, pewnie wcześniej zwietrył pismo nosem), a ponieważ kilku pracowników z tych, którzy stali mu na drodze do kariery, z frontu nie powróciło, już na początku lat pięćdziesiątych został dyrektorem do spraw technicznych – a może dyrektorem do spraw badań, nie pamiętam – i miał pod sobą czterdziestu ludzi, którymi mógł dyrygować. Pieniądze nigdy tak naprawdę nie stanowiły problemu, niezależnie od tego, jak bardzo utyskiwał na podatki i rujnujące go koszty utrzymania. Pewnie żyłby sobie wygodnie do czasu, aż dostałby złoty zegarek z okazji przejścia na emeryturę i pięknie oprawiony dyplom do powieszenia na ścianie.

Jednak najbardziej nienawidziłem w nim tego, że zawsze, w każdej jednej kwestii musiał mieć rację. W miarę jak dorastałem, usiłowałem z nim dyskutować, ale ani razu nie udało mi się wygrać. Klasycznym przykładem była sytuacja, kiedy, w Coombes Brothers pojawiła się groźba strajku.

– Oczywiście stoją za tym komuniści – powiedział pewnego wieczora mamie.

– Zarząd powinien po prostu zwolnić całą tę hordę. To by ich przywołało do porządku.

– Oni chcą tylko zarabiać o pięć szylingów na tydzień więcej – wtrąciłem. Niektórzy chłopcy z mojej szkoły mieli ojców, którzy byli w to zaangażowani, i czasem rozmawialiśmy. – Zarząd i administracja właśnie dostali podwyżkę, nieprawdaż?

Spojrzał na mnie tak, jakbym rzucił jakieś niewyobrażalne przekleństwo. – Kto ci to powiedział?

– Kolega ze szkoły. On mówi, że...

– Jak się nazywa?

– Stuart Campbell. Jego ojciec jest...

– Campbell! – Myślałem, że wybuchnie. – Czy on jest synem tego przeklętego związkowca?

– Tak, i mówi, że...

– A teraz mnie posłuchaj. Campbell to wichrzyciel. Chce zniszczyć firmę, dla której pracuję. Jesteś zbyt młody, by cokolwiek z tego zrozumieć, ale od tej pory nie będziesz miał więcej do czynienia z jego synem. Czy to jasne?

– Kiedy on jest moim przyjacielem – zaprotestowałem.

– W takim razie znajdź sobie innego. Nie po to posłałem cię do szkoły, żebyś przyjaźnił się z dziećmi anarchistów.

– Przed chwilą mówiłeś, że to komuniści.

– To jedno i to samo, a...

– Wcale nie! Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że...

– *To samo!* Nie sprzeczasz się ze mną. Anarchiści, komuniści, faszyci, socjaliści. Oni wszyscy chcą zniszczyć kraj, w którym masz szczęście mieszkać. Zapamiętaj sobie to. Toczyliśmy wojnę przeciwko takim jak oni.

– Ty nie walczyłeś.

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie była to zbyt inteligentna uwaga, ale byłem tak wzburzony tym, co on wygadywał, że sama mi się wymknęła. Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Ale byłem wyrosnięty jak na swój wiek, a on najwyraźniej wziął to pod uwagę; był więc także tchórzem.

– Jutro porozmawiam z dyrektorem i zapytam go, jak oni was tam wychowują, młody człowieku. Zaproponuję, by dodał wam kilka lekcji z dobrego zachowania.

Jakiś rok wcześniej odkryłem jego hipokryzję. Jedną z najważniejszych rzeczy w naszym życiu było chodzenie do kościoła, przy czym on najprawdopodobniej modlił się w sekrecie, by Partia Pracy uległa zagładzie, tak jak Sodoma i Gomora.

Tuż przed kazaniem dla dorosłych wszystkie dzieci dreptały do szkółki niedzielnej, a kiedy szliśmy do domu – mieszkaliśmy jakieś półtora kilometra od kościoła, ale najwyraźniej dzięki pieszym wędrownikom stary czuł się bardziej pobożny – byliśmy przepytywani z tego, czego się dowiedzieliśmy.

Ojciec znał Biblię – poprawka: czytał Biblię, ale nigdy nie zastanawiał się nad jej treścią – i kiedy jedno z nas zaczynało opowiadać, którą przypowieść słyszeliśmy, przerywał nam i rzucał kilka wybranych cytatów, wplatając je w jakąś lekcję moralną, dzięki której mieliśmy stać się święci i skromni. Jezus oczywiście był Supermanem w białej szacie. Synem Bożym, pokornym i łagodnym, Zbawicielem ludzkości (wyłączając zeń socjalistów). Przysięgłbym, że zniżał głos, gdy wymawiał jego imię.

Ale jeden fakt nigdy nie został wspomniany – że Jezus był Żydem. Zaś staruszek był członkiem Klubu Golfowego Wilmsford, który do swego grona Żydów nie przyjmował.

Odkryłem tę małą sprzeczność zupełnie przypadkowo. Pewnej niedzieli czytaliśmy fragment Pisma Świętego, w którym ktoś zwrócił się do Jezusa „rabbi”. Słuchając, trzymaliśmy Biblię na kolanach, więc zobaczyłem to słowo i natychmiast zacząłem chichotać, bo przywidziało mi się, że na końcu jest „t”³*; szturchnąłem Naomi siedzącą koło mnie i powiedziałem jej o swojej pomyłce, a ona też się roześmiała. Nauczycielka – musiała to być panna Simpkins, która pachniała kamforą – kazała nam być cicho, ale w końcu podniosłem rękę i zapytałem, kto to jest rabbi. To nauczyciel, odparła panna Simpkins. Nie, nie taki w szkółce niedzielnej, Richardzie, nauczyciel głoszący prawdy wiary. Nie, nie pastor... a właściwie ktoś w tym stylu. Dobry Człowiek. Miałem wrażenie, że lawiruje, nie chcąc mi czegoś powiedzieć, a już szczególnie podpadła mi, kiedy celowo zmieniła temat. Oglądając się wstecz, dochodzę do wniosku, że musiała to być jedna z pierwszych chwil, kiedy zaczęła we mnie kiełkować dziennikarska docieklivość. Zadałem pytanie, zostałem zbyty i czułem się nieusatysfakcjonowany.

* rabbit (ang.) – królik.

Po drodze do domu poruszyłem ten temat ze staruszkiem. Zupełnie nieświadomie zabrałem się do tego całkiem sprytnie (kolejna lekcja dziennikarza w zarodku), pytając po prostu, kim jest rabbi, bez nawiązania do Jezusa. Ojciec nie był zadowolony. Gdzie usłyszałem to słowo? Od panny Simpkins? Dlaczego o tym wspominała? To nie miało nic wspólnego z kościołem, będzie musiał z nią porozmawiać. Teraz, rzecz jasna, zdaję sobie sprawę, że podejrzewał ją o karmienie naszych umysłów syjonistycznymi herezjami, ale wtedy byłem po prostu zaintrygowany. Oto w szkółce niedzielnej wypłynęło coś, a dwoje dorosłych zbywało

moje pytania na ten temat. Już w domu sprawdziłem to hasło w słowniku. Nadal do mnie nie dotarło, nawet po przeczytaniu definicji nie mogłem zrozumieć, co to było takiego, że oboje usiłowali wymigać się od odpowiedzi. I tego samego wieczora stary otrzymał telefon od sekretarki klubu golfowego, a ja usłyszałem, jak mówi:

– Jak nazwisko? Goldstone? Diabelna czelność, żeby ubiegać się o przyjęcie. Oczywiście, że będę głosował przeciw. Jeśli Synowie Abrahama chcą grać w golfa, to niech sobie kupią własne pole golfowe. Spójrzmy prawdzie w oczy, mają na to wystarczająco dużo pieniędzy. Byle tylko nie osiedli zbyt blisko naszego klubu.

Poskładanie wszystkich fragmentów zabrało mi kilka tygodni, a wtedy coś we mnie pękło. Byłem zbyt młody, by rzucić ojcu wyzwanie, ale zapamiętałem to sobie i nigdy już nie postrzegalem starego w ten sam sposób.

Tamtym razem hipokryzja nie miała dla mnie aż takiego znaczenia, ale następnym już tak. W pewne letnie wakacje załatwił mi sezonową pracę w Coombes Brothers; stanowiło to część jego cudownego planu, bym poszedł w jego ślady i został inżynierem – nikłe szanse – skutkiem czego spędziłem trzy tygodnie, parząc herbatę, latając po zakupy i przynosząc różnym ludziom papierosy. Sami wiecie, jak to jest; po zakończeniu praktyki miałem cały ten interes po prostu w małym paluszku. Jedną z osób, które przykuły moją uwagę, była sekretarka, Megan Williams, wypacykowana jak dziwka blondyna z cyckami wielkości Mount Everest każdy; spełnienie marzeń każdego chłopaka w moim wieku. Tuż przed odejściem z Coombes Brothers byłem na lunchu z innymi pracownikami w kantine.

W pewnej chwili weszła ona. Jeden z facetów rzucił komentarz, co miałby ochotę jej zrobić, a wtedy odezwał się George, brygadzysta:

– Marnujesz czas. Ta lubi facetów na kierowniczych stanowiskach.

Spojrzał na mnie z drugiego końca stołu. – Ty chyba coś o tym wiesz, co, Dick?

– Słucham? – Nie zrozumiałem go.

– Nie udawaj głupiego, chłopcze. – Skinął głową w stronę, gdzie sekretarka płaciła przy kasie. – To przydupnica twojego tatuśka. I to już od dawna.

– Nieprawda – odparłem odruchowo.

Nabijali się ze mnie, odkąd tylko zjawiłem się w firmie – jeden z nich, na przykład, wysłał mnie do sklepu, żebym poszukał śrubokrętu dla leworęcznej osoby – i nauczyłem się jakoś sobie z tym radzić.

– Możesz wierzyć albo nie, jak sobie chcesz, chłopcze. – George przełknął to, co zostało mu w kubku. – No dalej, czas wracać do pracy.

Gdy wychodziliśmy z kantyny, spojrzałem jeszcze raz na Megan Williams stawiającą jedzenie na stole i rozmawiającą z innymi dziewczętami. Nie mogłem uwierzyć, że mój ojciec mógłby mieć coś wspólnego z kimś takim, ale George był jedynym facetem, który nigdy ze mnie nie żartował. Następnym razem, kiedy zostałem z nim sam na sam, zapytałem, czy mówił poważnie.

– Nie odzywałbym się w ogóle, gdybym nie mówił poważnie... Możesz mi podać klucz francuski? Dzięki. – Poprawiał coś przy jakiejś części maszyny.

– Skąd wiesz?

– Mam oczy.

Najwyraźniej chciał na tym poprzestać, ale ja nalegałem: – Co widziałeś?

– To i owo.

– Na przykład, co?

Skończył z kluczem francuskim i zaczął skręcać sobie papierosa. Pewnie zastanawiał się nad tym, co powinien powiedzieć.

– Mam psa i co wieczór zabieram go na spacer po parku – zaczął w końcu. – Pewnego wieczora zauważyłem samochód twojego ojca zaparkowany pod drzewami w pobliżu torów. Musiało być gdzieś około dziewiątej. Było jeszcze na tyle jasno, że mogłem zobaczyć, kto z nim był. I rozpoznałem ją.

– Ale co oni robili?

– Na pewno nie dyktował jej listu. – Zamilkł, zapalając papierosa. – Przykro mi, Dick. Widziałem jeszcze kilka innych rzeczy, a skoro trwa to już tak długo, pomyślałem, że na pewno wiesz. Powinienem być trzymać gębę na kłódkę, ale teraz już za późno. Po prostu zapomnij, że to mówiłem, dobrze?

Na początku chciałem mu nie wierzyć. Czułem się okropnie ze świadomością, że tata zdradzał mamę, gardziłem nim za to, że głosił nam morały, podczas gdy sam posuwał panienkę, która mogłaby być jego córką; być może mój własny nie zaspokojony popęd seksualny sprawiał, że czułem zazdrość. Najgorsze było to, że nie mogłem nic poradzić. Gdybym otwarcie go o to zapytał, zaprzeczyłby, urządziłby mi piekło i prawdopodobnie doprowadził do zwolnienia George'a; w żadnym razie nie mogłem powiedzieć mamie, nie mogłem też zdobyć się na to, by porozmawiać o wszystkim z Naomi albo z Timem. Musiałem uporać się z tym sam. I jakoś mi się udało; dostałem lekcję, jak sobie radzić z różnymi rzeczami, a ojciec nagle stał się w moich oczach godny pogardy. Tak więc gdy przyszło nam go zabić, miałem już gotowy powód, mimo że nie byłem tym, który to zaproponował.

Kiedy o nim rozmawiamy – a nie robiliśmy tego przez wiele lat po tym, jak umarł – Naomi i Tim wywlekają tysiąc różnych sytuacji z naszego dzieciństwa, ale ja prawie nic nie pamiętam. Pamiętam tę bójkę z Grubym Keyem, kiedy wszystkie dzieciaki stały w kółku na boisku i zagrzewały nas do walki, a ja sprąłem go na kwaśne jabłko, mimo że był ode mnie o rok starszy. Pamiętam, jak strzelałem z wiatrówki w srokę siedzącą na dachu szklarni. Pamiętam, jak złapałem Susan Young – a może to była Jill Maitland? – za cyci, kiedy chodziła z Ianem Barkerem. Pamiętam, jak wygrałem międzyszkolny bieg na półtora kilometra i zdobyłem puchar. Tim twierdzi, że raz się rozpląkałem, kiedy dano mi reprimendę na oczach całej szkoły po tym, jak przyłapano mnie na paleniu za parkingiem dla rowerów, ale ja przestałem płakać, gdy miałem jakieś osiem lat. Podobnie Naomi upiera się, że posikałem się w majtki, kiedy nakłamałiśmy, że jesteśmy starsi, i poszliśmy do kina na horror; mówiłem jej przecież, że rozlałem tylko sok pomarańczowy.

No, ale miało być o naszym starym. Musiałem go kochać, kiedy byłem mały, tak jak wszystkie dzieci kochają swoich rodziców; później zacząłem nim gardzić i nie mam zamiaru udawać, że było mi przykro, kiedy umarł. Był poniekąd jak informacja w gazecie – interesująca przez chwilę, szybko zapomniana. Oczywiście gdyby prawdziwa historia kiedykolwiek wyszła na jaw, to jego śmierć znalazłaby się na pierwszych stronach gazet, byłyby wywiady, zdjęcia, wspaniałe cytaty, nagłówki pisane wielką czcionką. „NADAL KOCHAM MOJE DZIECI”, SZLOCHA WDOVA PO ZAMORDOWANYM... TWARZ CÓRKI, KTÓRA ZAMORDOWAŁA WŁASNEGO OJCA... ZABILIŚMY GO I DALIŚMY BUZI NA POŻEGNANIE... BYŁ NASZYM OJCEM, ALE MUSIAŁ UMRZEĆ... DZIECI Z PIEKŁA RODEM.

Ale gdyby to wszystko wyszło na jaw i zaczęłoby się śledztwo, nikt nie znalazłby odcisków moich palców tam, gdzie ich być nie powinno. A zatem które z mojego rodzeństwa właściwie było mordercą? Czasami zdaje mi się, że Naomi, lecz zaraz potem myślę, że musiał to być Tim, a może oboje. Na litość boską, minęło już ponad trzydzieści lat. Może on po prostu umarł. Lekarze mówili przecież, że może to nastąpić w każdej chwili. I to ja wybiegłem, wołając pielęgniarkę. Nie bałem się, po prostu wiedziałem, że szybko trzeba kogoś zawiadomić. I płakałem – no dobrze, przyznam się – płakałem. Ale nie dlatego, że było mi przykro, tylko dlatego, że... Ech, cholera, nie ma to teraz żadnego znaczenia.

A jeżeli zamierzacie podnosić argumenty, że istnieje różnica pomiędzy śmiercią ojca z przyczyn naturalnych a śmiercią, w której spowodowanie jest się

zamieszanym, to... Och, mam tego serdecznie dość! On nie żyje od 1959 roku. Nabożeństwo pogrzebowe odbyło się w kościele Świętego Łukasza, a kremacja na cmentarzu Southern. Co to wszystko ma, u licha, wspólnego z terażniejszością?

Ponieważ Naomi mieszka w Hertfordshire, mogę się z nią spotkać, kiedy tylko mam na to ochotę, ale Tim nadal tkwi w Manchesterze; nigdy nie ruszył się dalej niż jakieś dziesięć kilometrów od miejsca, w którym się urodziłem. Teraz wszyscy razem widzimy się jedynie w święta Bożego Narodzenia, kiedy Tim przywozi mamę do Brookmans Park, dokąd i ja wpadam się z nimi spotkać. Problem ze świętami polega na tym, że człowiek na głowie staje, usiłując zebrać razem wszystkich członków rodziny, których przez resztę roku stara się trzymać jak najdalej od siebie, a potem zastanawia się, dlaczego wszystko idzie nie tak, jak powinno. Kilka lat temu po raz pierwszy zabrałem ze sobą Stephanie i podслуchałem Robertę – córkę Naomi – jak mówi swojej matce, że moja dziewczyna nosi chyba mózg w biustonoszu. Następnie w wieczór Bożego Narodzenia Tim wypił za dużo i zaczął się rozczulać. Wszyscy poszli już spać i zostaliśmy tylko we trójkę.

– Tata skończyłby w przyszłym tygodniu dziewięćdziesiąt lat – rzucił ni z tego, ni z owego.

– Nigdy nie dożyłby tego wieku – odparłem.

– Postaraliśmy się o to, nieprawdaż?

Naomi, która zbierała naczynia na tacę, przystanęła i spojrzała na nas obu.

– Czy wy nadal o tym myślicie? – spytała.

– Co dzień – odpowiedział Tim.

– Pieprzysz. – Gdybyśmy byli tam tylko we dwójkę, chyba bym go uderzył.

– Nikt nie wspomina co dzień czegoś, co stało się tak dawno.

– A ja wspominam. I mama też.

Naomi szybciej wyłapała tę nutę w jego głosie. – Co masz na myśli, Tim?

– Nie zdarza się to tak często jak kiedyś, ale wciąż napomyka o nim od czasu do czasu. To wszystko przez Robertę.

– Robertę? – Naomi popatrzyła, zdziwiona. – Jak to?

– Wiesz, że ma hopla na punkcie rodziny. Chce znać całą historię i...

– Chciała ją poznać, gdy zamierzała zostać pisarką – przerwała Naomi. – Wyrosła z tego wiele lat temu.

– Może i tak. Ale wiesz, mama traktuje ją jak pępek świata. Jak tylko Roberta przywołała wspomnienia o ojcu, mama zaczęła do nich wracać. – Spojrzał na

nas niespokojnie. – Czasami myślę, że ona wie.

– Że niby co wie? – zapytałem.

– Nie udawaj głupiego, Richard. – Naomi usiadła obok Tima na sofie. – Co powiedziała?

– Rzuci czasem jakieś zdanie. A to, że martwiła się, jak sobie z tym poradzi-
my, a wszystko poszło jak z płatka. A to, że ojciec zmarł akurat w tym dniu, kie-
dy jedyny raz poszliśmy go odwiedzić sami. A to znów, że lekarze dziwili się, iż
stało się to tak nagle... – Jego głos załamał się.

– Ale nigdy... – Naomi zawahała się – ...nigdy nie dała ci do zrozumienia, że
coś podejrzewa?

– Nie dosłownie. – Tim przełknął resztki swojej czwartej, zdaje się, podwój-
nej whisky. – Ale zdarza jej się myśleć na głos.

– No to niech się jej zdarza. – Wstałem. – Tylko bądź cholernie ostrożny z
tym, co jej mówisz. Idę spać. Dobranoc... i wesołych świąt.

Musiałem zjeść coś, co mi zaszkodziło, bo kiedy się położyłem, zrobiło mi się
gorąco i dostałem dreszczy. Następnego dnia musiałem być w pracy, więc nie
miałem czasu na chorowanie. Stephanie spała, ale obudzenie jej nie sprawiło mi
większych trudności; przekonałem się, że nic mi nie jest.

ROZDZIAŁ TRZECI: TIMOTHY

Przez kilka pierwszych lat życia pozwalano mi zdmuchiwać świeczki na torcie urodzinowym siedem minut przed Richardem, bo o tyle jestem od niego starszy; skończyło się to w nasze szóste urodziny, kiedy on wpadł w szał i zaczął tak się wydzierać, że w końcu zrobiliśmy to jednocześnie. Potem byliśmy wychowywani dokładnie tak samo. Kiedy bawiliśmy się z Nimmy, zawsze przebierała nas identycznie za bliźniaczych żołnierzy, lekarzy czy cokolwiek innego. Żaden z nas nie był faworyzowany, mama ubierała nas tak samo do czasu, gdy skończyliśmy siedem czy osiem lat, a w miarę jak dorastaliśmy, zawsze pilnowała, by żaden nie był pokrzywdzony: jeśli jeden dostał jakąś rzecz, drugi musiał mieć taką samą lub podobną. Kiedy tata uczył nas grać w krykieta, zawsze tak wszystko organizował, że każdy miał po tyle samo kolejek w ataku i obronie, a na mecze piłki nożnej i latem, i zimą zabierał nas zawsze razem.

Dziś nikomu nie przysłoby do głowy, że jesteśmy braćmi, a co dopiero, że bliźniakami. Różnimy się od siebie wyglądem: Richard przypomina ojca, ja jestem jak gdyby męską wersją mamy, tak że w porównaniu z nami ogień i woda wydają się mieć ze sobą więcej wspólnego. Richard stał się karykaturą twardego redaktora, typem, który zwalnia od czasu do czasu jakiegoś dziennikarza tylko dlatego, że ni z gruszki, ni z pietruszki jego twarz mu nagle przestaje pasować; tragedia i ludzki ból stanowią jedynie surowy materiał do obróbki, na skutek czego ma powstać informacja, i nie ważne, jak bardzo ktoś przy tym będzie cierpiał. Liczy się tylko to, by artykuł w *Post* był lepszy niż ten w *Daily Mail* czy *Daily Express*; ścisłość nie jest taka istotna, a prawo do prywatności stanowi zamach na wolność prasy. Co do tego ostatniego, potrafi być skończonym hipokrytą. Kiedy Emma, jego młodsza córka, była zamieszana w aferę narkotykową w prywatnej szkole, do której uczęszczała, jej nazwisko nigdy nie ukazało się w żadnym z szokujących reportaży. Oczywiście nie było problemu z niezamieszczeniem go w *Post*, a kilka telefonów do znajomych dziennikarzy wystarczyło, by nie wydrukowały go także inne gazety. W zamian dał im kilka cytatów z wypowiedzi jednej z dziewcząt, którą *Post* namówił do zwierzeń; pokonanie konkurencji przestawało

się liczyć, gdy w grę wchodziła ochrona kogoś ze swoich. W kilka tygodni później, kiedy zadzwoniła do niego spanikowana żona umierającego na raka pastora, powiedział jej, że w żaden sposób nie może zaniechać zamieszczenia informacji o jej synu, który okradał sklepy, mimo iż chłopak poddawany był leczeniu psychiatrycznemu. Opinia publiczna miała prawo to wiedzieć.

Oto cały Richard, a osoba, jaką miał się stać, zaczęła się ujawniać już w dzieciństwie. Z nas dwóch to on stał się naturalnym przywódcą, zaś ja podążałem jego śladem, dopóki nie zostawił mnie w tyle. Wykazywał się chytrą tam, gdzie ja byłem naiwny; znał wartość kłamstwa, podczas gdy ja instynktownie mówiłem prawdę, choć nie zawsze wychodziło mi to na dobre. Nimmy zauważyła te różnice w naszych osobowościach i zaczęła traktować każdego z nas inaczej. Richarda trzeba było obserwować jak kota, który niespodziewanie mógł się rzucić i podrapać; ja byłem nadal jej młodszym braciszkiem, którym należało się opiekować. Do dziś niezbyt wiele się zmieniło, choć wszyscy jesteśmy już w średnim wieku. Jednak choćbyśmy nie wiem jak bardzo się od siebie oddalili, to już na zawsze jesteśmy powiązani śmiercią ojca. Widzicie, jak staram się, by brzmiało to lepiej, mówiąc „śmierć ojca”? Ta przytrafia się przecież w każdej rodzinie. A tak naprawdę mam przecież na myśli, choć tak trudno to sobie uświadomić nawet teraz, gdy mam o tym napisać, morderstwo taty. Morderstwo, które popełniliśmy.

Chcę być możliwie jak najuczciwszy (już słyszę, jak Nimmy mówi: „Odezwał się pan Świątoszek”), ale prawda jest taka, że nie pamiętam teraz wielu ważnych szczegółów, bo wkrótce po tym, jak to się wydarzyło, wyrzuciłem je z pamięci. Lecz jednego jestem pewien – to był pomysł Richarda, rzucony na kilka miesięcy przed tym, jak go zrealizowaliśmy. Kolejność zdarzeń miesza mi się teraz, ale najpierw obmyślił sobie argumenty, a potem zaczął napomykać o swej idei Nimmy. Kiedy zobaczył, że ona mu ulega, zabrał się za mnie, wiedząc, że jeśli Nimmy go poprze, to i ja się zgodzę. Byłem akurat w tym trudnym wieku – głupie określenie: każdy wiek jest trudny, trwa całymi latami i ciągnie się aż do dorosłości, może nawet przez całe życie – w wieku pomiędzy chłopięctwem a męskością, kiedy to człowiek bez przerwy ogląda swoją twarz w lustrze i usiłuje siebie przekonać, że powinien się zacząć golić. Jednak pozostawałem młodszym braciszkiem Nimmy i ogłupiałym podkomendnym Richarda. Nie zamierzam obwiniać ich o to, że przekonali mnie wbrew mojej woli, muszę przyjąć na siebie moją część odpowiedzialności, jednak byłem z naszej trójki najbardziej niechętny całemu przedsięwzięciu.

Najcięższym argumentem, jaki wytoczyli – poprawka: jaki wytoczył Richard – była mama. Ojcu wkrótce mieli przestać wypłacać pensję, a było nie do pomyślenia, żeby

ona musiała pracować. Tata zawsze się nią opiekował i chciałby, żeby nie musiała się o nic troszczyć, ale jeśli jego życie miało się teraz sprowadzać jedynie do funkcjonowania niektórych organów... Żebranie o jałmużnę byłoby dla niej potwornym poniżeniem... Musiałaby sprzedać dom, który tak bardzo kochała i w którym spędziła wszystkie lata swojego małżeństwa... Wyprowadzić się z dala od swoich przyjaciół. Może nawet skończyłaby w mieszkaniu komunalnym. Kiedy mój pierwszy opór został złamany, drobne emocjonalne wahania nie były już w stanie go odbudować. Jednak ostateczną decyzję podjąłem sam pewnej nocy, leżąc w ciemnościach, kiedy zacząłem myśleć o tacie i zdałem sobie sprawę, że o wiele bardziej kocham jednak mamę.

Ten proces zachodził tak łagodnie, że aż do tamtej chwili nie byłem go nawet świadomy. Nie chodziło o to, że tata zaczął faworyzować Richarda, mimo że mieli ze sobą o wiele więcej wspólnego niż ze mną; po prostu przepaść pomiędzy typem człowieka, jaki reprezentował, a dziećmi, którymi sami byliśmy, stała się tak wielka, że zupełnie straciliśmy kontakt. Moje rodzeństwo także zdawało sobie z tego sprawę i gdyby nie jego choroba, zaczęłoby się buntować, kwestionując zasady i przekonania, które akceptowaliśmy przez tak długi czas, zaczęłoby sprzeczać się i podważać jego autorytet. Zaś ponieważ sam bardzo się od nich różniłem, byłbym zdezorientowany zarówno ich zachowaniem, jak i tym, co sam chciałbym zrobić. Jako że nie mógłbym się ojcu przeciwstawić, konflikt stworzony przez tę niemożność byłby łagodzony długimi rozmowami z mamą, jej współczuciem i zrozumieniem, ochroną, może nawet pomocą. Ostatecznie byłem przecież jej ulubieńcem.

Skoro już zabrnąłem tak daleko, musiałem poważnie przyjrzeć się ojcu i zdecydować dokładnie, co z niego za człowiek. W szkole omawialiśmy *Wieże Barchesteru* Trollope'a* i pewnego dnia w ramach zadania domowego mieliśmy wypisać zalety i wady różnych postaci; pan Harding był dobry, ale naiwny; arcydiaakon Grantly uczciwy, ale nie miał zrozumienia dla słabości innych; Obediah Slope cechowała jedynie pracowitość; Signora Neroni była fałszywa, ale bardzo spozstrzegawcza. Uderzyło mnie, że tata był prawie jak Trollope; pod wieloma względami zdawał się prawie należeć do czasów pisarza, tak więc... najpierw zalety. Uczciwy, pracowity, godny szacunku, odpowiedzialny, skrupulatny... Tworzyłem listę, która spodobałaby się pracodawcy, ale co z rodziną? Jeszcze raz. Był... wszystko, co przyszło mi na myśl, zaczynało się od „nie”: nie pił ani nie uprawiał hazardu, nie zdradzał mamy i nigdy nie pozwolił nam zaznać głodu. Spodziewałem się znaleźć więcej. Wady? To było trudniejsze, bo po raz pierwszy spróbowałem spojrzeć na niego z tej strony. Z uporem trwał przy swoich zasadach, miał

skłonności do bigoterii, nie posiadał wyobraźni i nie umiał się bawić; był staromodny i nadęty. Uderzył mnie fakt, że gdyby nie był moim ojcem, byłby dokładnie tym typem dorosłego, który uważałbym za nudny i którego starałbym się unikać. Nie znalazłem nic, za co mógłbym go potępić, ale nie odkryłem też nic, co mógłbym podziwiać... i nic, co mógłbym kochać. Na tym etapie przestałem o tym myśleć i postanowiłem spróbować zasnąć, bo poczułem się, jakbym go zdradzał; zrobiłem jednak tym samym kolejny krok w stronę Richarda i Nimmy, i tego, co według nich powinniśmy zrobić.

* Anthony Trollope (1815-1882) – pisarz angielski.

Przez kolejne tygodnie miotalem się pomiędzy przerażeniem i odrzuceniem tego pomysłu a troską o mamę. Wiedzialem, że rozmawiała z dyrektorem banku i martwiła się o pieniądze i o to, jak sobie poradzimy; Nimmy chciała studiować na uniwersytecie, ale byłoby to strasznie trudne. Czulem się rozdarty, desperacko szukając kompromisu pomiędzy zagmatwanymi uczuciami do ojca a strachem przed tym, jak jego stan wpływa na nas wszystkich. Wreszcie któregoś popołudnia, w jakiś rok po tym, jak zachorował, mama posadziła nas wszystkich w salonie, gdy wróciliśmy ze szkoły, i oznajmiła, że lekarze stwierdzili, iż nie mogą już nic więcej zrobić. Istnieje nikła szansa na wyzdrowienie, ale... jakoś udało jej się powstrzymać płacz i zasugerowała, byśmy się wszyscy za niego pomodlili. Chyba mniej więcej tydzień później Richard znów wspomniał o morderstwie; on zawsze wiedział, jak wybrać moment, by wyrzeć maksymalne wrażenie. Tej nocy płakałem tak długo, aż z rozpacy zasnąłem, a następnego dnia usłyszałem, jak mama i Nimmy rozmawiały w kuchni.

– Twój ojciec nie poczynił żadnych przygotowań w tym kierunku – mówiła mama. – Takich rzeczy nie sposób przewidzieć.

Nimmy powiedziała coś, co nie całkiem zrozumiałem, ale dosłyszałem nazwę Coombes Brothers, firmy, w której pracował tata.

– Widziałam się z panem Douglasem – odparła mama. – Zarząd dyskutuje na ten temat i wszyscy bardzo nam współczują, ale firma nie może nadal wypłacać jego pensji. Mówią, że stałoby się to podstawą do roszczeń dla innych pracowników, choć po tylu latach człowiek myślał, że mogliby uczynić wyjątek. Wszystko, co mogą zrobić, to wypłacić jego wkład na emeryturę, a nie ma tego zbyt wiele.

W jej głosie słyhać było urazę, co było zupełnie do niej niepodobne. Zarówno ją, jak i tatę cechowało coś, co teraz jest raczej niespotykane – nieco służalczy, bezwzględny szacunek dla pracodawcy; działania Coombes Brothers nigdy nie

podlegały dyskusji. Czułem się okropnie nie tylko z jej powodu, ale także z powodu swej bezpośredniej reakcji. Jeżeli Nimmy nie mogła pójść na uniwersytet, to jaką ja miałem szansę na zostanie nauczycielem? Powiedziałem sobie, że to samolubne, ale przyszło mi do głowy, że skoro mnie jest źle, to mamie musi być jeszcze gorzej. Minęło już tyle czasu, odkąd tata ostatnio był w domu, że nasze życie zdążyło zmienić się do tego stopnia, iż jego powrót byłby jak inwazja, musielibyśmy na nowo się do niego przyzwyczajać. Mimo iż będąc z nami obecny, wydawał się ważny, odkryliśmy teraz, że możemy dać sobie radę bez niego – nawet mamie na swój sposób się to udawało – ale tylko tak długo, jak trafiały do nas środki finansowe, które zawsze nam zapewniał. Richard wytłumaczył mi, co oznacza ubezpieczenie na życie i jak to tata zawsze w nie wierzył; miałem trochę problemów ze zrozumieniem warunków polisy i zasad wypłacania renty, ale zrozumiałem, że ojciec podjął pewne kroki, byśmy w razie jego śmierci nie zostali bez środków do życia. Warunkiem był jednak jego zgon, a nie to trwanie w przedśmionku śmierci, które trudno było nazwać życiem. Słyszałem, jak Nimmy pocieszała mamę, która zaczęła płakać, jak mówiła, że uniwersytet jest nieważny, że może znaleźć pracę i że chłopcy wkrótce skończą szkołę i też będą mogli dorzucić parę groszy, i że jakoś sobie poradzimy. Wiedziałem, że kłamie, przynajmniej wtedy, gdy twierdziła, że uniwersytet jest nieważny; desperacko pragnęła iść na studia.

Po cichu wyszedłem z salonu i poszedłem na górę, żeby znaleźć Richarda. Kiedy wszedłem, czytał coś, co szybko zamknął i schował pod stosem papierów. (Później odszukałem to z ciekawości. Był to egzemplarz *Zdrowia i Sprawności*, magazynu z czarno-białymi zdjęciami nagich kobiet, który w latach pięćdziesiątych chyba najbardziej był zbliżony do *Tylko dla mężczyzn* czy *Rustiera*; gazeta była bardzo pognieciona, najwyraźniej krążyła po szkole od wielu tygodni.)

- Chcę z tobą porozmawiać – rzekłem.
- O czym?
- O... o tym, co wspomniałeś. O czym ty i Nimmy rozmawialiście, o... o... no wiesz... o tacie.

Richard jest niesamowicie inteligentny. Wie dokładnie, jak manipulować ludźmi, sprawiając wrażenie osoby pełnej zrozumienia i współczucia, kiedy służy to jego celom. Natychmiast spostrzegł, jak blisko byłem podjęcia decyzji i genialnie poprowadził mnie przez ten ostatni etap. Wstał i dodał mi otuchy, obejmując swym braterskim ramieniem.

- Ejże, spokojnie. Nie ma sprawy, możemy o tym porozmawiać.

Cierpliwie słuchał – do niczego mnie bynajmniej nie przymuszając – jak powoli ubieram jego pomysł we własne słowa, od czasu do czasu wtrącał jakąś uwagę, która miała mnie zachęcić do kontynuowania lub subtelnie zniwelować dręczące mnie wątpliwości. Kiedy wspomniałem, jak bardzo martwi mnie fakt, że Nimmy nie będzie mogła studiować na uniwersytecie, ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Masz rację – stwierdził, jak gdyby nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Zresztą pewnie rzeczywiście nie przyszło, jako że zawsze myślał wyłącznie o własnym interesie. – Wszyscy nauczyciele mówią, że powinna iść na studia, i sam wiesz, jak bardzo chce tego tata. Ale jeżeli nie będzie pieniędzy... Jeśli chodzi o mnie, to nie ma problemu. Mogę rzucić szkołę choćby teraz i znaleźć pracę w gazecie, ale Nimmy... No i ty, ty też chcesz przecież iść do kolegium nauczycielskiego, nieprawdaż?

– Tak.

Pytanie to zaskoczyło mnie, bo nikomu o tym nie wspominałem. Ale powinienem był wiedzieć, że Richard się domyśli i wykorzysta to, by mną manipulować.

– Uważam, że powinieneś się uczyć. Zawsze byłeś ode mnie mądrzejszy.

Tylko na lekcjach, Richardzie, bo nigdy nie można było zmusić cię do pracy. Ale poza szkołą, w prawdziwym świecie, gdzie potrafiłeś kręcić i oszukiwać, gdzie liczył się tak zwany życiowy spryt, gdzie mogłeś naginać zasady i ukrywać swoje kłamstwa, byłeś genialny, a ja kompletnie bezradny.

W każdym razie w taki właśnie sposób do nich dołączyłem, może tego dnia jeszcze nie tak na sto procent, ale przekroczyłem pewną granicę, zza której nie było już powrotu, i od tej pory Richard mógł nade mną panować, od czasu do czasu pociągając za smycz, na której mnie trzymał. Wydawało się, że on i Naomi bardzo zbliżyli się do siebie w tych dniach. Mieli wspólny cel, mimo iż działali z różnych pobudek, i musieli jedynie dopilnować, żebym nie uległ swoim wątpliwościom. Tak łatwo mogłem ich powstrzymać; rzecz w tym, że mieliśmy zrobić to albo wszyscy razem, albo wcale. Gdybym odmówił i zagroził, że opowiem o wszystkim, jeśli coś się stanie, musieliby swego pomysłu zaniechać. Ten jeden raz w życiu miałem nad nimi władzę, lecz nie odważyłem się jej użyć. Nie znalazłem w sobie dzielności, by ocalić własnego ojca, więc koniec końców pomogłem go zabić.

Jest mi bardzo trudno mówić o samym zabójstwie. Staram się o tym nie myśleć, ale to tak, jakby się miało trwale uszkodzoną nogę, przez którą się kuleje, i choćby nawet człowiek się do tego przystosował i nauczył z tym żyć, podświadomie i tak zawsze będzie wiedział, że jest kaleką. Jednakże moje kalectwo nie objawia się w żaden fizyczny, wywołujący współczucie sposób, stało się jedynie

formą zniekształcenia osobowości, którego nikt nie widzi i które trzeba utrzymywać w tajemnicy.

Bez trudu mogę natomiast opowiedzieć, co stało się zaraz po tym, jak zrealizowaliśmy nasz pomysł, bo to akurat nadal żyje w mej pamięci. Ja byłem zwyczajnie sparaliżowany. Nimmy wydawała się kompletnie nieobecna, uśmiechała się do taty, jak gdyby bardzo go kochała. Za to Richard wpadł w panikę, co było do niego tak niepodobne, że wciąż jeszcze mam przed oczami jego twarz, bladą i przerażoną. Przez chwilę wyglądał, jakby miał wybuchnąć płaczem, nie z żalu, lecz ze strachu, po czym wypadł z pokoju i usłyszeliśmy, jak się wydziera, wołając pielęgniarkę.

– Wszystko w porządku, Tim – rzekła cicho Nimmy. – Dokładnie tak zachowały się jedno z nas, gdyby tata...

Odrzuciła się i spojrzała za okno na teren szpitala, nie kończąc zdania.

Chwilę później wbiegła pielęgniarka w towarzystwie Richarda, a za nią siostra oddziałowa. Wysoka i szczupła, zawsze sprawiała wrażenie, jakby zarządzała tym miejscem jak prywatną szkołą o bardzo surowych zasadach, i jakby do jej obowiązków należało dopilnowanie, by tych zasad przestrzegano. Odwiedziny dzieci pana Barlowa bez opiekuna nie były mile widziane – nieletni zawsze powinni być pod pieczę kogoś dorosłego, zwłaszcza odwiedzając śmiertelnie chorego – ale tym razem nie udało jej się temu zapobiec. Zerknęła tylko na ojca przelotnie i bez ceregieli wyprowadziła nas z pokoju, z tą szczególną serdecznością osoby sprawującej władzę.

– Chodźcie ze mną – powiedziała. – Lekarz już idzie, a my zadzwonimy do waszej mamy.

Lekarz wbiegł z korytarza na oddział w chwili, gdy pospiesznie wprowadzała nas do swojego gabinetu. Szedłem ostatni, a ona omal nie wepchnęła mnie do środka, po czym kazała nam chwilę poczekać. Richard natychmiast się rozryczał i choć nie pamiętam wszystkiego, o czym mówiliśmy, wiem, że nagle zaczął przeżywać, jakoby miał z tym cokolwiek wspólnego. Naomi powiedziała mu, żeby nie był głupi i żeby przestał płakać.

Spojrzał na nią z wściekłością. – Przecież nie płaczę.

Choć oszołomiony i jakoś tak dziwnie obojętny wobec tego, co się stało – co zrobiliśmy – byłem jednak w stanie zapamiętać dziwne zachowanie Richarda. Jego siorbanie nosem, pełne oburzenia zaprzeczenie było jak udawanie małego chłopca. Wtedy nie potrafiłem tego zrozumieć, taką reakcję mogłem jedynie złożyć na karb szoku, który sam odczuwałem, jednak w tamtej chwili mój brat odsłonił coś, co przez resztę życia usiłował potem ukryć. Odsłonił, że pod całą tą

pozorną siłą, głęboko pod powierzchowną bezwzględnością kryje się tchórzstwo. Richard jest świadom swojej słabości, a cała jego siła i pewność siebie to blaga, którą prezentuje innym, do prawdziwości której usiłuje sam siebie przekonać. Przez kilka tygodni po morderstwie największym dla nas zagrożeniem było to, że załamię się i wszystko wypapla.

Gdy pielęgniarka wróciła, odniosłem wrażenie, że czuje się nieswojo. Na pewno miała doświadczenie w przekazywaniu informacji o śmierci dorosłym, ale gdy chodziło o trójkę nastolatków, wydawała się kompletnie zagubiona. Naomi ułatwiła jej zadanie, pytając wprost, czy tata nie żyje, i siostra najwyraźniej odczuła ulgę. Mówiła coś, że to była spokojna śmierć i że ojciec nie cierpiał. Wtedy Naomi rzekła, że przykro jej, iż mama nie była z nami. Pamiętam, jak wtedy pomyślałem, że dokładnie to należało powiedzieć. Odpowiedzialni. Smutni. Pograżeni w żalu. Czegóż innego można by się spodziewać po dzieciach – zwłaszcza po będącej najstarszą z nich córce – które od zawsze uczono, jak się zachowywać stosownie do sytuacji? Tworzyliśmy zapewne idealny wizerunek stoickiej młodzieży: drżące, lecz zaciśnięte usta, akceptacja nieszczęścia, którego od jakiegoś czasu się spodziewaliśmy. Kiedy później opuszczaliśmy szpital, słyszałem, jak siostra po cichu mówiła do mamy, jaki dumny byłby pan Barlow ze swoich dzieci i jaka ona musi być z nich dumna. To była kolejna z niezliczonych ran odniesionych tego dnia, ale najgorszy był moment, gdy przyjechała mama i zaczęła nas pocieszać, po czym powiedziała, że powinniśmy się pomodlić. Już samo to było fatalne, ale kiedy wszyscy poszliśmy go zobaczyć... Co dziwne, nie poczucie winy było dla mnie najgorsze, ale fakt, że człowiek, który był naturalną częścią całego mojego życia, odszedł na zawsze. Podobało mi się moje dzieciństwo z poczuciem bezpieczeństwa i tatowymi zasadami, na których zawsze można było polegać; nie potrafiłem sobie wyobrazić, jakie by ono było bez niego, tłumaczącego różne rzeczy, pomagającego zrozumieć. Wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie istnienie wyrwy w moim wnętrzu, której już nigdy nie byłem w stanie wypełnić.

Jadąc taksówką do domu, nie zamieniliśmy ani słowa. Mama siedziała z przodu z kierowcą, a my we trójkę z tyłu, z Richardem pośrodku. Minęliśmy ulicę, którą jechało się do Coombes Brothers, a mnie przed oczami stanęło wspomnienie tego, jak tata wioził mnie i Richarda, kiedy mieliśmy jakieś dwanaście lat, bo postanowił zabrać nas do firmy i pokazać coś, nad czym pracował. Nie jestem całkiem pewien, dlaczego to zrobił; może, żeby pokazać swoich synów kolegom z pracy. Nagle zdałem sobie sprawę, że był z nas dumny, i w tej samej chwili poczułem się najokropniej i najpodlej w całym swoim życiu. Nie był idealnym

ojcem – tacy nie istnieją – ale nigdy nie zrobił nam niczego, co w jego przekonaniu nie byłoby słuszne. Był zbyt praktyczny, by marzyć, ale gdyby marzył, to o tym, że osiągniemy sukces, że przekażemy naszym dzieciom te wartości, których on nas nauczył, że jako stary człowiek będzie zadowolony z tego, iż wywiązał się z ważnego obowiązku tak, jak należało. Wydało mi się to całkiem sensowną ambicją.

Ale nigdy nie poznam go jako starego człowieka, przynajmniej nie starszego niż pięćdziesięcioośmiolatka. Przyszła mi do głowy straszna myśl, że mógł wyzdrowieć, jakkolwiek nieprawdopodobne się to wydawało, że jakiś cud mógł go nam przywrócić. Ale teraz, kiedy nie żył, było to już niemożliwe. Niemożliwe, bo... Wciąż się zmuszam, by to powiedzieć... Niemożliwe, bo go zamordowaliśmy.

Richard znowu zaczął płakać, a Naomi złapała go za rękę, gdy mama, zatro-skana, obejrzała się do tyłu.

– Za kilka minut będziemy w domu – powiedziała na pociechę i uśmiechnęła się, mimo że nie wyplakane łzy nadal lśniły w jej oczach.

Jej smutek miał zająć drugie miejsce, zaraz za troską o nas; miała przejąć obowiązki ojca związane z naszym wychowaniem i dołożyć je do swoich. I przez jakiś czas rzeczywiście szukaliśmy u niej ukojenia w żalu, jak jej się zdawało, który tak naprawdę płynął jedynie z poczucia winy.

ROZDZIAŁ CZWARTY: FLORENCE

Nawet teraz, po tylu latach, od czasu do czasu natykam się na pamiątki po Haroldzie. Oczywiście jest to poniekąd konsekwencją faktu, że ciągle mieszkam w tym samym domu i nadal posiadam przedmioty nabyte za jego życia. Pozbyłam się niektórych muzealnych gratów i zastąpiłam je nowoczesnymi meblami, ale starodawny zegar, który należał do jego rodziców, nadal tyka i wybija godzinę w korytarzu, wciąż mam jego przepiękny sekretarzyk i kolekcję ptasich obrazów, przedstawiających jakby przekroje biednych stworzeń, które wiszą wzdłuż schodów, mimo że Roberta, moja wnuczka, udaje, iż chce jej się wymiotować za każdym razem, gdy koło nich przechodzi. W ogrodzie jabłoń, którą zasadził rok przed śmiercią, daje kosze wspaniałych owoców każdej jesieni, a ja naprawdę nie mam co z nimi zrobić. I zawsze sadzę nagietki wzdłuż podjazdu, tak jak on zwykł był to robić. Ale czuję się dziwnie, jak gdybym żyła w upiornym towarzystwie kogoś zupełnie obcego. Znam jego imię i twarz, wiem o nim tak wiele, ale czy on naprawdę przez dwadzieścia lat był moim mężem? Czy był ojcem moich dzieci?

Byliśmy uważani za dobre małżeństwo, choć nie sądzę, by wiele z dzisiejszych żon je za takie uznało, a i sama wiedząc to, czego nauczyłam się od tamtej pory, z pewnością nie zaakceptowałabym takiego układu, gdybym mogła cofnąć czas. Jednak posłusznie chyliłam głowę przed ówczesnymi standardami i zasadami Harolda, nie kwestionując ich; wtedy tak to już było. Teraz o czasach mojej młodości dzieci uczą się w szkole na lekcjach historii, przez co czuję się jak prawdziwy antyk, może więc powinnam zacząć od kilku słów o sobie, o tym, jak poznałam Harolda i jaki on był.

Moja rodzina składała się z rodziców, mojej starszej siostry Eleanor i mnie. Ojciec chciał mieć syna, ale kiedy się urodziłam, lekarz powiedział, że mama nie będzie mogła już więcej rodzić. Ojciec był zastępcą kierownika banku mającym na utrzymaniu tylko dwójkę dzieci, co czyniło go człowiekiem stosunkowo zamożnym. Nie będę was nudzić opowieściami o dzieciństwie; spędziłam je zupełnie zwyczajnie w należącej do klasy średniej rodzinie na północy Anglii. Mieszkaliśmy w domku jednorodzinny w Wilmsford, w południowej dzielnicy Manchesteru, i mieliśmy służącą; było to normalne wśród ludzi o naszym statusie

społecznym w tamtych czasach. Zakończyłam naukę w wieku szesnastu lat i choć nie chciałabym, żeby wyglądało to teraz na chępliwość, śmiało mogłam startować na uniwersytet. Jednak ta myśl nigdy nie przyszła mi do głowy, bo nie była to rzecz, jaką robiły młode kobiety w mojej sytuacji. Zostałam wychowana tak, że wydawało mi się naturalne, iż moją jedyną ambicją winno być poślubienie odpowiedzialnego mężczyzny, który zapewni mi dom, a ja będę rodziła jego dzieci. Przez kilka lat po szkole można było trochę popracować, ale nie należało w żadnym razie dążyć do zrobienia kariery; istniały posady dla kobiet *zmuszonych* zarobić na swoje utrzymanie, jednakowoż zgodnie z wszelkimi zasadami powinno to być rolą mężczyzny.

Firma Coombes Brothers miała konto w oddziale ojca, dzięki czemu znał on kilka ważnych osób z kierownictwa. Pewnego dnia obwieścił, że powiedziano mu o wolnej posadzie stenografistki i że umówił mnie na spotkanie w następnym tygodniu. Teraz brzmi to niewiarygodnie, że młoda, inteligentna kobieta nie miała nic do powiedzenia w tej sprawie, jednak wówczas przystałam na to bez słowa sprzeciwu. Gdybym miała znaleźć sobie odpowiednią pracę, nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć, pozwoliłam więc, by ktoś załatwił to za mnie – podobnie zresztą jak prawie wszystko w moim życiu. Potrafiłam pisać na maszynie, a krótko przed tym zaczęłam brać lekcje stenografowania (co ciekawe, była to sugestia ojca) i oto nadarzyła się okazja, by to wykorzystać. Rozmowa kwalifikacyjna była formalnością i zaczęłam pracować za łącznie królewską pensję dwunastu szylingów i sześciu pensów tygodniowo, a drugiego dnia w firmie poznałam Harolda. Pomyślałam wtedy, że jest nieuprzejmy, a do tego, mając trzydzieści pięć lat, niesamowicie stary. Pracował w dziale badań i projektów i z maszynistkami nie miał w zasadzie w ogóle do czynienia – nie pamiętam już, dlaczego się pojawił, ale stał w drzwiach i patrzył niepewnie, nim odezwał się do mnie tylko dlatego, że moje biurko znajdowało się najbliżej.

– Gdzie mogę znaleźć pannę Butterworth?

Oblałam się rumieńcem. Ponieważ widziałam go pierwszy raz, przyszło mi do głowy, że może być jakimś kierownikiem, a tata wpoił mi, że Coombes Brothers to firma o bardzo surowych zasadach. Do wszystkich mężczyzn – nie licząc robotników z warsztatów, z którymi i tak nie miałam do czynienia – należało zwracać się „sir” lub ewentualnie „panie Jakiśtam”, jeżeli status danego pracownika pozwalał na taką zażyłość, co oczywiście mnie nie dotyczyło.

- Nie wiem – wybełkotałam. – Bardzo mi przykro.
- Przecież pani tu pracuje?
- Tak, ale...

– Zapytam kogoś innego.

Niezbyt obiecujący początek znajomości, która zaowocowała dwudziestoletnim małżeńskim stażem i trójką dzieci. Ale po tym kiepskim początku sprawy zaczęły toczyć się lepiej. Stałam się bardziej biegła w swojej pracy, a dzięki pochlebstwom ze strony kierownika działu zyskałam też więcej pewności siebie. Byłam kimś w rodzaju dzisiejszego gońca, biegałam wszędzie, na początku gubiąc się beznadziejnie, roznosząc różnym osobom rozmaite dokumenty i listy do podpisu. Kiedy przechodziłam koło warsztatów, zdarzało się, że któryś z robotników zagwizdał, ale to było tyle, gdy chodzi o to, co Roberta nazywa teraz molestowaniem seksualnym. Zresztą nigdy nie myślałam o tym w takich kategoriach; seks nie był dla mnie nawet zamkniętą księgą, był tomiskiem, o którego istnieniu w ogóle nie miałam pojęcia. Kolejne spotkanie z Haroldem – wtedy jeszcze panem Barlowem, rzecz jasna – było nieuniknione, lecz przy jego okazji odczułam ulgę, bo wyglądało na to, że zapomniał o naszej pierwszej rozmowie. Był zawsze nieskazitelnie poprawny, ale po jakimś czasie zaczął zadawać mi pytania nie związane z pracą, co złożyłam na karb jedynie zwykłej grzeczności. Podczas ploteczek z innymi dziewczętami w kantine od czasu do czasu któraś rzuciła jego nazwisko i zaczęłam dowiadywać się o nim coraz więcej. Kawaler o nieskazitelnej reputacji – nawet najbardziej wścibskie z moich koleżanek nie słyszały o żadnym skandalu z nim związanym – który mieszkał z rodzicami niedaleko ode mnie. Trochę sztywny najwyraźniej, ale gentleman w każdym calu. Nie interesował mnie specjalnie i nigdy nie myślałam, że to się zmieni.

Wkrótce jednak nadszedł grudzień 1936 roku i bal gwiazdkowy dla pracowników w niezwykle eleganckiej restauracji Miliona w Parade. Oczywiście tylko dla pracowników biurowych; ci, którzy rzeczywiście wytwarzali sprzedawane przez nas maszyny, nie otrzymali nic poza premią, życzeniami świątecznymi i zbiorowym podziękowaniem od dyrekcji za ich całoroczny trud. Tak to wtedy było: pracownicy umysłowi mieli swój świat, fizyczni – swój. Poszłam na to przyjęcie wraz z trzema koleżankami z działu i z narzeczonym jednej z nich w roli naszego opiekuna. Zajęliśmy stolik przy parkiecie, a on zapytał, czego się napijemy. Naturalnie on płacił, więc każda z nas poprosiła o sok owocowy, jako że był: a) najtańszy; b) bezalkoholowy. Później siedziałyśmy i czekałyśmy, aż ktoś poprosi nas do tańca, rozmawiając i nie robiąc nic, co mogłoby zostać uznane za nieprzyzwoite, jak na przykład zbyt długie przyglądanie się samotnemu mężczyźnie. Nasze zachowanie było równie nienaturalne jak siedemnastowieczny menuet, choć orkiestra grała fokstroty i quickstepy. Mniej więcej po półgodzinie wodzirej

zachęcił panów, by poprosili swe partnerki do tańca przy jednej z modnych melodii tamtych czasów, i nagle stanął przede mną Harold, kłaniając się lekko i pytając uprzejmie, czy zatańczę. Byłam zszokowana, ale nie mogłam odmówić. Dawno już minęły czasy, kiedy obowiązywały karneciki i rezerwacja tańca, więc jego zaproszenie było jak najbardziej na miejscu. Zgodziłam się, a on usunął się lekko, tak bym mogła wejść na parkiet przed nim.

Tańczył okropnie, widać było, że brał lekcje, by dobrze wypaść w towarzystwie, i nauczył się kroków, ale nie miał w sobie ani odrobiny gracji. Był sztywny, niepewny siebie i, jak mi się zdawało, czuł się nieswojo, robiąc coś poniżej swojej godności; okazało się później, że oceniłam go całkiem trafnie. Obdarzył mnie komplementem dotyczącym mej sukienki, który zabrzmiał dość szczerze, i powiedział coś o wspaniałej orkiestrze, co z kolei było zwykłym frazesem. Kiedy skończyliśmy, odprowadził mnie do stolika i zapytał, czy mógłby się dosiąść. Zawahałam się, jako że był o wiele starszy niż którekolwiek z nas, ale odmowa oznaczałaby brak uprzejmości. Jedna z dziewcząt podniosła brwi ze zdziwienia, gdy wróciła ze swym partnerem do stolika i zobaczyła nas razem, a kiedy Harold poszedł kupić napoje, pochyliła się i wyszeptwała:

– Nie wiedziałam, że znasz pana Barlowa. – Wydawało się, że jest pod wrażeniem.

– Nie znam – zaoponowałam. – Poza tym, że widuję go w pracy.

– Hm, wygląda na to, że on chce cię poznać bliżej.

Przez te kilka minut, nim Harold wrócił z napojami, nerwowo próbowałam ocenić sytuację. Na pewno poprosił mnie do tańca wyłącznie z grzeczności, ale dlaczego akurat mnie? Było mnóstwo innych samotnych młodych kobiet, spośród których mógł wybierać, a wiele z nich na pewno znał dłużej niż mnie. Przypomniało mi się, jak ktoś mówił, że on nigdy nie robi niczego spontanicznie, co mogło oznaczać... Tak, Florence Metcalfe, lepiej pomyśl. Widziałam go z miejsca, gdzie siedziałam, i zaczęłam mu się baczniej przyglądać. Był wysoki i miał bardzo ciemne włosy, obcięte krótko i błyszczące od brylantyny; włosy wszystkich mężczyzn wyglądały w tych czasach mniej więcej tak samo. Nosił mały wąsik, podobny jak u Ronalda Colemana, który był jednym z moich kinowych bohaterów, i choć nie był przystojny na tyle, by rzucać się w oczy, to miał szczerą twarz, która dawała poczucie bezpieczeństwa i budziła zaufanie. Zauważyłam też, że miał bardzo zdrowe zęby – była to stosunkowo istotna dodatkowa zaleta w czasach, gdy usługi dentystyczne nie były objęte darmową opieką zdrowotną. Jakie żywiłam w stosunku do niego odczucia? Nie byłam pewna, ale zdecydowanie

nie było to nic negatywnego. Był starszym mężczyzną, lecz nie był przecieźnie-
dołączniałym inwalidą. Kiedy powrócił do stolika, stwierdziłam, że miło byłoby
dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia,
nic nawet z grubsza podobnego do kołatania zakochanego serca; ani wtedy, ani
nigdy później. Harold adorował mnie w ten sam sposób, w jaki projektował ma-
szyny: pedantycznie, krok po kroku; miało minąć wiele lat, nim do mego życia
zawitały bardziej romantyczne uczucia.

Tańczyliśmy jeszcze kilka razy tego wieczora, a ja byłam świadoma, że mówią
o tym ludzie na całej sali. Po ostatnim walcu odprowadził mnie do stolika i poże-
gnał się; popełniłby niestosowność, proponując, że odwiezie mnie do domu w
sytuacji, gdy nasza znajomość trwała tak krótko. Pomyślałam o nim przelotnie
przed zaśnięciem, ale następnego dnia w pracy wydawało się, że nic się między
nami nie zmieniło, mimo iż inne dziewczęta bezustannie mnie o niego wypytywa-
ły. Powiedziałam im, że to na balu to nie było nic ważnego, i wtedy zdałam sobie
sprawę, że czuję zawód, co zaskoczyło nawet mnie samą. Odniosłam wrażenie, że
mu się spodobałam, i nie zrobiłam nic, co mogłoby go do mnie zniechęcić, dla-
czego więc nie podejmował żadnych dalszych kroków? Wówczas to zdałam sobie
sprawę, że czekał teraz na posunięcie z mojej strony. Musicie pamiętać, że nie
mógł ot tak po prostu wejść do pokoju maszynistek i zaprosić mnie na randkę;
być może inni mężczyźni zrobiliby to w owych czasach przemian, ale nie Harold.
Poza Coombes Brothers nic nas nie łączyło i nie mogłam czekać aż do Bożego
Narodzenia 1937, kiedy znów bylibyśmy razem nie skrępowani biurową atmo-
sferą. Okazję stworzyło Amatorskie Towarzystwo Operowe w Wilmsford; śpiewa-
łam w chórze w *Pannie z gór**, a moi rodzice mieli przyjść na ostatni występ.
Delikatnie zasugerowałam mamie, że jest ktoś, znajomy z pracy – podkreśliłam
fakt, że to stuprocentowy gentleman – kto być może również miałby ochotę to
zobaczyć, i zapytałam, czy mogłabym zaprosić go w charakterze ich gościa...
Kiedy patrzę wstecz, wiem, że niepotrzebnie się martwiłam, że mama zacznie
zadawać krępujące pytania; wydaje mi się, że zaczęła planować, w co się ubierze
jako matka panny młodej, w chwili, gdy tylko poruszyłam tę kwestię. Tata też nie
miał nic przeciwko i jestem niemal absolutnie pewna, że przeprowadził dyskretny
wywiad na temat Harolda, jak tylko wymieniłam jego nazwisko.

* *Panna z gór* (w oryginale: *Maid of the Mountains*) – musical z 1917 roku autorstwa Harolda
Fraser Simsona (1872-1944).

Tak więc pan Barlow przyjął zaproszenie i zachował się jak na gentlemana
przystało, ofiarowując mamie mały bukietek kwiatów, gdy tylko pojawił się w
naszym domu, i rozmawiając o Coombes Brothers i swoim stanowisku z moim

tatą przy kieliszku sherry i papierosie, zanim wyszliśmy na przedstawienie. Oczywiście nie spędziłam tego wieczoru z nimi, ale mama powiedziała mi później, że Harold wywarł na nich bardzo dobre wrażenie i że zaprosili go na herbatę w przyszłą niedzielę. Szczerze mówiąc, moi drodzy, po tym wydarzeniu nie miałam już żadnych szans; nie wiem, jak to się stało, ale moi rodzice i Harold natychmiast doszli do cichego porozumienia. Kiedy się ocknęłam, było już za późno; wszyscy w Coombes Brothers rozmawiali tylko o tym – fakt, że pan Barlow się żenił, sam w sobie stanowił sensację, nie wspominając już o tym, że jego wybranką była młodsza o osiemnaście lat stenografistka – a ja nie miałam odwagi i nie potrafiłam znaleźć powodu, by przed tym uciec. Ba, nie wiedziałam nawet, że mogłabym tego chcieć; tak zostałam wychowana. Znacie ten cytat z *Bądźmy poważni na serio**? Lady Bracknell mówi tam do swojej córki: „Kiedy się zaręczysz, twój ojciec, o ile zdrowie mu na to pozwoli, poinformuje cię o tym fakcie”. Okropieństwo, ale mniej więcej tak to wtedy wyglądało.

* *Bądźmy poważni na serio* – napisana w 1895 roku komedia Oscara Wilde'a.

Wzięliśmy ślub z całą pompą w kościele parafialnym Świętego Łukasza 16 sierpnia 1938 roku. Harold miał na sobie frak i cylinder, a ja jedwabną sukienkę zamówioną specjalnie dla mnie w eleganckim salonie Kendal Milne's w Manchesterze. Przyjęcie weselne odbyło się w restauracji Milтона – tam, gdzie pierwszy raz ze sobą rozmawialiśmy. *Wilmsford Messenger* na pierwszej stronie zamieścił szczegółową relację z naszego ślubu, wyliczając nawet prezenty, które otrzymaliśmy, ze szczególnym uwzględnieniem kompletu sztućców od Coombes Brothers (firma była ważnym reklamodawcą gazety); opisano też zasługi dla społeczeństwa ojca Harolda (był akurat radnym, a wiele lat wcześniej burmistrzem Wilmsford) oraz pozycję mojego ojca w banku i klubie rotariańskim (redaktor naczelny również do niego należał). Wspomniano także o nieszczęsnej pannie młodej. Wszystko wydawało się jak najbardziej znośne, nawet czułam się szczęśliwa – wtedy, chociaż teraz... Hm, powiedzmy, że żałuję, iż nie dorastałam w czasach, gdy mogłabym być trochę bardziej asertywna, by nie powiedzieć krnąbrna. Później nastąpiła noc poślubna, spędzona w hotelu Great Orme w Llandudno, do której to mama we własnym mniemaniu dobrze mnie przygotowała. Wprawdzie nie powiedziała mi, że „grzeczne dziewczynki leżą po prostu spokojnie”, ale też nie okazała się w swym wywodzie szczególnie postępową. Najpierw musiałam się dowiedzieć, że każda szczęśliwa para ma dzieci, a dalej nastąpiło krótkie kazanie o tym, że Bóg ustanowił na tym świecie małżeństwo z wielu powodów,

między innymi po to, by dzieci te przychodziły na świat w porządnym chrześcijańskich rodzinach.

Jednak potomstwo, rzecz jasna, nie zjawiało się ni stąd, ni zowąd, istniały pewne sprawy... I w tej chwili zaczęła mówić ogródkami. Istniały pewne sprawy... sprawy natury fizycznej; mężczyzna posiadał naturalny instynkt – i nie było to nic złego, oczywiście pod warunkiem, że przestrzegał pewnych zasad – a zadaniem kobiety było temu instynktowi ulegać. Wspomniała krótko, że na początku nie jest to przyjemne, i dość wyraźnie zasugerowała, że choć powinno unikać się rozwiązłości, to jednak w końcu może się to zacząć podobać. Jedno wszak było pewne – to mąż musiał być zawsze inicjatorem zbliżenia. Gdyby moja matka nadal żyła, miałaby prawie sto lat; to niezwykle, jednak nie niemożliwy do osiągnięcia wiek. I musiałyby pogodzić się z faktem, że jej prawnuczka mieszka teraz z trzecim z kolei mężczyzną i naprawdę dobrze się bawi w łóżku, a już z pewnością nie czeka, aż partner ją do tego zachęci. Co więcej, mama musiałaby się jakoś pogodzić także z moim stylem życia.

Zagubiona i przestraszona tym, co miało nastąpić, wsiadłam do pociągu na stacji Exchange, skąd pojechaliśmy do Północnej Walii. Taksówka zawiozła nas do hotelu. Uśmiechnęłam się nieśmiało, gdy Harold zameldował nas jako „państwo F. H. Barlow”, i podążyliśmy za portierem niosącym nasze bagaże do pokoju z widokiem na estuarium rzeki Conway. Portier zamknął za sobą drzwi i po raz pierwszy, odkąd ksiądz dał mu na to przyzwolenie podczas zaślubin, Harold mnie pocałował. Spodziewałam się poniekąd, że pocałunek ten będzie inny po ślubie, ale nie był; jego wąsik łaskotał delikatnie jak zawsze i nie stało się nic nowego. Żadnych pieszczot, żadnego gwałtownego zwarcia się ciał, żadnego pożądania. Tylko krótki, choć bardzo czuły pocałunek, po którym Harold zauważył, że powinniśmy się rozpakować. Wyciągnęłam swoją koszulę nocną (także z Kendal Milne's) i stałam zwrócona przodem do łóżka; nie miałam pojęcia, po której stronie powinnam ją położyć. Harold dostrzegł przynajmniej to moje zakłopotanie i położył swoją pidżamę na lewym brzegu; mógł na przykład zażartować, żeby przełamać lody, ale nie powiedział nic. Po rozpakowaniu naszych rzeczy poszliśmy na spacer nadmorską promenadą, rozmawiając o minionym dniu, po czym wróciliśmy do hotelu na kolację.

Wśród doniczkowych palm kwartet smyczkowy grał wybrane utwory Sigmunda Romberga oraz Gilberta i Sullivana, a my jedliśmy. Po posiłku poszliśmy na kawę. Był to szczyt sezonu i hotel był pełen, tak więc musieliśmy dzielić stolik

z jakąś parą z Birmingham. Ona i ja rozmawiałyśmy o rozrywkach, jakie miało do zaferowania Llandudno, podczas gdy jej mąż i Harold dyskutowali na temat sportu. Żadne z nas nie zdradziło się ani słowem z tym, że jesteśmy nowożeńcami. W tamtych czasach miodowy miesiąc był czymś bardzo intymnym – krótkim interludium pomiędzy hucznym ślubem a całymi latami godnego małżeńskiego pożycia, które powinny nadejść. Teraz wydaje się to takie dziwne...

A zatem do łóżka – cóż to było za przeżycie! Uśmiechnęliśmy się i powiedzieliśmy wszystkim dobranoc, wychodząc z kawiarni, wspięliśmy się po szerokich schodach i ruszyliśmy korytarzem. Harold otworzył drzwi i przepuścił mnie pierwszą. Podeszłam do okna i ujrzałam księżycowy blask rozproszony na powierzchni morza, które falowało lekko u ujścia rzeki. Myślałam, jak pięknie wyglądało na tle ciemnych gór Penmaenmawr i Llanfairfechan po drugiej stronie zatoczki – nie miałabym nic przeciwko temu, by podziwiać ten widok do samego śniadania. Nagle Harold podszedł i zaciągnął zasłony.

– Sądzę, że już czas, by pójść do łóżka. Ty pierwsza skorzystaj z łazienki.

Przeszedł do małego pokoju dziennego, skąd nie mógł mnie widzieć. Wzięłam nocną koszulę i poszłam do łazienki, gdzie przez długą chwilę wpatrywałam się w swą ślubną obrączkę, nim wreszcie się rozebrałam. Znajdowało się tam lustro w drewnianej oprawie, w którym mogłam przejrzeć się cała, i po raz pierwszy w życiu spojrzałam na swoje nagie ciało, to znaczy, tak naprawdę mu się przyjrzałam. Nie miałam wtedy żadnego porównania, ale teraz wiem, że prezentowało się całkiem nieźle: wąska talia, dobrze zbudowana górna część tułowia (nie piersi, słowo to zawierało w sobie zbyt wiele fizyczności, było nieprzyzwoite), zgrabne nogi. Moje włosy były wtedy koloru blond i u fryzowane do ślubu, a jedną z największych zalet mojej urody były oczy, wielkie i jasnofiołkowe. Miałam przed sobą, choć nie byłam tego świadoma, atrakcyjną kobietę; czułam zaś jedynie pragnienie, by cokolwiek teraz miało nastąpić, skończyło się jak najszybciej. Nocna koszula z błyszczącego, brzoskwiniowego jedwabiu uczyniła mnie jeszcze bardziej pociągającą, lecz nie spojrzałam już w lustro. Gdy popędziłam do łóżka, Harolda nadal nie było widać.

– Łazienka jest wolna – zawołałam, podciągając koldrę pod samą brodę.

Uśmiechnął się do mnie, przechodząc, a ja leżałam, wpatrując się w sufit i zadając sobie pytanie, czy powinnam się pomodlić. O co? Pokój na świecie wydawał się niezłą intencją; nawet ja domyślałam się, że w Europie źle się działo, mimo iż tata uważał, że kobiety nie powinny wtykać nosa w męski świat polityki.

Pomyślałam o mojej siostrze Eleanor, nadal niezamężnej i pewnie mi zazdroszczącej, siedzącej bezpiecznie w domu. Mój pokój będzie pusty... tylko że to już wcale nie był mój pokój. Prawdę mówiąc, już nigdy nie miało istnieć coś takiego jak „mój pokój”, odtąd wszystko miało być nasze – moje i Harolda. Mojego męża. Miłość, wierność i posłuszeństwo... Zesztywniałam w łóżku, gdy wyszedł z łazienki. Miał na sobie nową pidżamę, a moją uwagę przykuł biały pas przewiązany na biodrach. Tuż pod nim niebieskie paski wydeły się i wyglądało to tak, jakby miał coś pod spodem. Czułam nerwowe podniecenie, a mój lęk przemienił się niemal w panikę. Gdyby tylko mama podała mi trochę więcej konkretów dotyczących pewnych rzeczy... Po naszej rozmowie zajrzałam do ilustrowanej książki o sztuce włoskiej w bibliotece w Wilmsford, przyglądając się ilustracji przedstawiającej rzeźbę Dawida i próbując porównać to, o czym napomykała, z tym, co tam zobaczyłam. Harold jednak z pewnością w niczym nie przypominał Dawida... Teraz oczywiście śmieję się na to wspomnienie, ale naprawdę byłam tak niewinna i przerażona. Wyłączył światło i położył się obok mnie, obejmując me drżące ramiona.

– Chyba nie był to zbyt męczący dzień, prawda?

Pewnie gdybym powiedziała, że owszem, był, odłożyłby to na następny wieczór, jednak wyszeptałam, że nie, skądże. Chcąc już mieć to wszystko za sobą i desperacko pragnąc okazać mu swoje uczucia, objęłam go i pocałowałam; w głowie przez cały czas miałam obraz Clarka Gable'a i Jean Harlow w... nie pamiętam już teraz, w jakim filmie, ale kiedy się całowali, robili to z uczuciem. Rzecz jasna, trudno było uznać gwiazdy Hollywoodu za wzorce zachowania dla przedwojennych grzecznych dziewcząt, jednak był to jedyny przykład, jaki miałam. Celowo przedłużałam pocałunek, częściowo dlatego, że chciałam mu pokazać, jak go kocham (zdołałam sobie wmówić, że na pewno tak jest), a częściowo po to, by odwlec wszystko, co miało za chwilę nastąpić. Jego dłoń powędrowała w dół i podciągnęła moją koszulę nocną aż do wysokości talii – tak, tego się spodziewałam – i Harold jęknął cicho, co było bardzo do niego niepodobne. Po chwili zaczął gmerać pod koldrą i poczułam jego nagą nogę tuż przy swojej; zaskoczyło mnie to, ale było dość przyjemne. Jego dłoń powróciła, tym razem masując moje ciało (górną część tułowia) i poczułam, że coś, czego nie potrafiłam zidentyfikować, gniecie mnie w biodro. Pocałowałam go ponownie, po czym prawie się uduśliłam z braku tchu, gdy położył się na mnie, dysząc szybko; był ciężki i czułam się jak w pułapce. To, co gniotło mnie w biodro, bynajmniej nie wyparowało, a Harold bezwzględnie, acz nieporadnie usiłował tym manipulować; musicie wiedzieć, że pomimo swych trzydziestu siedmiu lat też był prawiczkim. Nagle

krzyknęłam, gdy rozwarł moje nogi i zaczął się pchać, i raptem wszystko stało się lepkie; wytrysnął w chwili, gdy we mnie wchodził. (Tego, oczywiście, dowiedziałam się dużo później. Teraz, rzecz jasna, wiem, co się działo – wiem nawet bardzo dobrze – jednak wtedy byłam cała obolała, przerażona, oszołomiona.) Najbardziej zaskakująca była jego bezpośrednia reakcja. Całe napięcie z jego ciała ustąpiło i stoczył się ze mnie. A wtedy zawstydzonym głosem przeprosił. Nie pamiętam dokładnie, co mówił, ale wiem, że nie pomogło to wiele.

Za chwilę zasnął – przynajmniej nie chrapał – a ja leżałam, słuchając odległego szumu fal. Czy już byłam w ciąży? Czy tyle wystarczyło? Czy to właśnie było małżeństwo? Gdzieś na granicy świadomości czaiło się wrażenie chwili fizycznej rozkoszy, ale było ono tak ulotne, że pomyślałam, iż sobie to wyobraziłam. Odwróciłam głowę i spojrzałam na mojego męża. W zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i biedzie, na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Wcześniej tego dnia stałam w kościele i składałam tę przysięgę przekonana, że naprawdę w nią wierzę.

Mieliśmy dwa tygodnie wspaniałej pogody; jednego wieczora poszliśmy na koncert, innego na przedstawienie na molo, a poza tym spacerowaliśmy po miasteczku, spędzaliśmy popołudnia w tamtejszej Dolinie Szczęśliwości, gdzie Harold robił mi zdjęcia swoim nowoczesnym aparatem; byliśmy na dwóch wycieczkach, najpierw wspięliśmy się na Snowdon, a potem pojechaliśmy przez Menai Straits do Anglesey; byliśmy w kinie na *Zaulku Świętego Marcina* z Charlesem Laughtonem i Vivien Leigh, a kiedy wracaliśmy do hotelu, nuciłam sobie melodie grane przez Larry'ego Adlera i Carroll Gibbons Orchestra, choć Haroldowi wydawało się to wszystko puste i bez znaczenia. Para z Birmingham była z nami w Anglesey, a Harold i tamten mężczyzna – nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywali – nawet się zaprzyjaźnili. Ku mojej radości jego żona, mimo iż na pewno odgadła, że to nasz miodowy miesiąc, nigdy nic na ten temat nie wspominała. Nie licząc jednego razu, gdy czekałyśmy w autokarze na naszych mężów. Zadawała uprzejme pytania dotyczące mojej rodziny i mimochodem sięgała głębiej, niż zdawałam sobie z tego sprawę, wyciągając ze mnie informacje na temat mojej osoby.

– Nie będziesz za nimi tęsknić, teraz, kiedy jesteś mężatką? – zapytała. – Za rodzicami i za siostrą?

– Słucham? – zaskoczyła mnie tym pytaniem. – Och, nie. Nasze domy znajdują się bardzo blisko siebie, więc będziemy mogli często się widywać. – Od razu się spostrzegłam, że się wygadałam, i oblałam się rumieńcem.

Pogładziła moją dłoń, żebym się tak nie denerwowała. Ona i jej mąż byli w wieku Harolda, tak więc ja musiałam wydawać im się jeszcze dzieckiem.

– Jestem pewna, że będziecie bardzo szczęśliwi – dodała mi otuchy. – Na początku trzeba się przyzwyczaić do wielu rzeczy, ale potem wszystko się układa... Ach, spójrz! Czyż góry w tym słonecznym blasku nie wyglądają przepięknie?

Nigdy więcej nie czyniła już żadnych aluzji, ale zawsze potem uśmiechała się do mnie ciepło, dodając odwagi, gdy wieczorem szliśmy wszyscy spać. Powinnam przynajmniej pamiętać, jak się nazywała, przecież była moją tajną sojuszniczką.

Ostatniego wieczora naszej podróży poślubnej Harold wypił po kolacji dwa dodatkowe drinki. Nie zrozumcie mnie źle, nie był pijany i z pewnością nie był odpychający, ale kiedy znaleźliśmy się tego wieczora w naszym pokoju, pocałował mnie naprawdę namiętnie i po raz pierwszy kochaliśmy się z jakąś dozą przyjemności. Po wszystkim wtuliłam się w niego z poczuciem ciepła i spełnienia, którego nie potrafiłam wytłumaczyć, ale które mi się spodobało, i szybko zasnęłam. Wczesnie rano ostrożnie zsunęłam z siebie nocną koszulę i położyłam się na nim, gładząc go po twarzy, aż się obudził... i doznał szoku. Już wtedy zaczęłam zostawiać go w tym względzie daleko w tyle.

Mimo to zostałam jak najbardziej przykładną panią Haroldową Barlow. Gotowałam mu, cerowałam skarpetki, prałam jego ubrania, dbałam o dom, opiekowałam się nim w tych rzadkich przypadkach, gdy zdarzyło mu się zachorować. W miarę jak piął się po szczeblach kariery w Coombes Brothers, uczestniczyłam w coraz większej ilości spotkań i łąpałam dla niego dodatkowe punkty. Przytakiwałam posłusznie, gdy dywagował na temat polityki, i nigdy nie podważałam jego opinii. Wieczorami słuchaliśmy BBC lub Harold odtwarzał płyty z muzyką poważną, podczas gdy ja haftowałam albo robiłam na drutach. Urodziłam mu dzieci i posłusznie stosowałam się do jego zasad dotyczących ich wychowania. A wszystko to dlatego, że był dobrym mężem, wiernym i pracowitym, odpowiedzialnym i szanowanym, niewzruszonym jak skała. Wybrałam, a raczej pozwoliłam wybrać sobie mężczyznę, który zastąpił mi ojca, i zdołałam przekonać samą siebie, że jestem zadowolona, co więcej, że miałam niezwykle szczęście. Przez dwadzieścia lat rosło we mnie coraz bardziej usilne przekonanie, że akceptuję coś, co mi nie wystarcza, ale nikt niczego nie podejrzewał. Dopóki śmierć nas... Harold zmarł 17 czerwca 1959 roku, kiedy moje dzieci były z nim same w szpitalu. Naomi – niesforna i ambitna, Richard – trudny i Tim – delikatny. Wyrośli na tak różnych od siebie ludzi, że każde z nich muszę kochać w odmienny sposób. Jednak są ze sobą związani, bo byli tam tego popołudnia i widzieli, jak umiera ich

ojciec. I pomimo ich całego smutku w tamtym czasie, wiem, że ta chwila była dla nich jak wybawienie i nadal czują się w związku z tym winni. Mówiłam im, że to nie ma najmniejszego sensu, ale moje słowa niewiele im pomagają, co bardzo mnie martwi. Widzicie, nigdy nie potrafiłam przyznać im się do jednego, mianowicie do tego, że nie umiem wzbudzić w sobie wyrzutów sumienia z powodu tego, co poczułam, gdy odłożyłam słuchawkę po telefonie ze szpitala. Poproszono mnie, bym natychmiast przyjechała, nie mówiąc, co się stało, ale ja od razu wiedziałam. A gdy dzwoniłam po taksówkę, ogarnęła mnie wręcz bolesna świadomość wolności i ulga, że mój drogi, wierny, nudny Harold nigdy się nie dowie, jak go zdradziłam.

ROZDZIAŁ PIĄTY: TRAGEDIA RODZINNA

Harold Barlow upadł podczas pracy przy desce kreślarskiej 14 marca 1958 roku, kiedy nanosił jakiś szczegół na nie dokończony projekt. Ołówek, który trzymał, wykonał zamasyztą, krzywą linię, po czym wyjechał poza arkusz i złamał się, zahaczając o drewnianą ramę. Harold był nieprzytomny, kiedy pielęgniarka zatrudniona w Coombes Brothers wbiegła do pracowni, a gdy podniesiono mu powieki, źrenice miał rozszerzone i jedynie wolny puls i płytki oddech wskazywały na to, że wciąż jeszcze żył. Karetka pogotowia zabrała go do szpitala Wilmshford Cottage, gdzie zdjęcie rentgenowskie wykazało, że pęknięte naczynie krwionośne utworzyło guz na oponie mózgowej, to jest na błonie pomiędzy czaszką a mózgiem, czego nikt wcześniej nie podejrzewał.

Umieszczono go w izolatce na oddziale neurologicznym, w pokoju z wysokim, otwieranym pionowo oknem wychodzącym na teren szpitala. Na podłodze leżało linoleum o barwie niemal identycznej jak jasnooliwkowe ściany; na meble składały się trzy metalowe krzesła – czerwone sztuczne tworzywo, jakie pokrywało jedno z nich, było podarte – i metalowy stolik, na którym stał wazon z zawsze świeżymi kwiatami, jakie przynosiła z własnego ogrodu jego żona Florence. Były tam też kartki od jej siostry, od zarządu i pracowników Coombes Brothers, od rady parafialnej, oraz fotografia jego dzieci. W nogach żelaznego łóżka wisiała karta z wykresem temperatury i pulsu. Po jednej stronie łóżka stał stojak z odwróconą do góry dnem butelką, z której wychodziła rurka biegnąca przez prawą dziurkę w nosie do żołądka; wolno płynące krople dostarczały Haroldowi pokarmu. Po drugiej stronie inna, grubsza rurka prowadziła z czarnego metalowego cylindra do maski nałożonej mu na usta. Coś, co wyglądało jak piłka z różowej gumy, zwisało z cylindra, kurcząc się i rozszerzając w rytm jego sztucznie kontrolowanego oddechu. W ciszy pokoju jedynym dźwiękiem był cichy syk respiratora.

Leżał bez ruchu pod prześcieradłem i beżowym kocem z wyhaftowaną czerwoną nicią nazwą szpitala w narożniku. Gdy odwiedzała go żona, zwykle unosiła delikatnie jego prawą rękę i trzymała ją, opowiadając cicho o życiu codziennym, o tym, co robiły dzieci, przekazywała ploteczki z sąsiedztwa. Dwa razy w tygodniu

dwie pielęgniarki zdejmowały koc i myły gąbką jego ciało, a następnie kładły go na bok i smarowały mu odleżyny. Raz na dwa tygodnie obcinano mu paznokcie, a raz w miesiącu włosy. Co tydzień pan Hardcastle, ordynator, zaglądał podczas obchodu i pytał siostrę Poole, czy pacjent reagował w jakiś sposób na dźwięk, światło lub inne bodźce; odpowiedź zawsze brzmiała: nie. Guz był barierą nie do przebycia, która odcięła go od świadomości. Po upływie roku, podczas którego jego stan się nie zmienił, jeden z chirurgów poprosił Florence Barlow do gabinetu siostry oddziałowej.

– Pan Hardcastle poprosił mnie, bym raz jeszcze z panią porozmawiał – rzekł. – W zeszłym tygodniu wybitny specjalista w dziedzinie chirurgii zbadał pani męża i doszedł do tych samych wniosków co my. Operacja jest zbyt ryzykowna. Podejmowano próby jej wykonania w podobnych przypadkach, ale zawsze kończyło się to tak samo: albo zgonem pacjenta, albo śpiączką.

– Mój mąż już teraz jest w śpiączce.

– Oczywiście, ale... pani Barlow, nie chciałbym dawać pani złudnej nadziei, jednak zdarzały się przypadki, w których tacy pacjenci przynajmniej w pewnym stopniu odzyskiwali zdrowie. Ostatnio w *Lancecie* pojawił się artykuł o pewnej Amerykance, która częściowo odzyskała mowę.

– Po jak długim czasie?

Lekarz popatrzył z zakłopotaniem. – Niestety po *bardzo* długim. Po siedmiu latach, jeżeli dobrze pamiętam.

– Na dodatek jedynie częściowo.

– Tak, ale mózg jest organem, o którym jeszcze wciąż musimy się wiele nauczyć. W przypadku pani męża... hm, nie mogę niczego prognozować, ale wszystko jest możliwe.

– Także to, że jego stan już nigdy się nie zmieni.

Kiedy chirurg szpitalny po raz pierwszy spotkał się z Florence Barlow, okazało się, że nie jest to osoba, jaką spodziewał się zobaczyć. Jej mąż miał prawie sześćdziesiąt lat, podczas gdy ona nie dobiegła jeszcze czterdziestki, była atrakcyjna i najwyraźniej inteligentna. Od razu się domyślił, że nie da się zwieść, jeśli spróbuje podsunąć jej tylko frazesy lub fałszywe nadzieje, więc nigdy tego nie robił.

– W tej sytuacji możemy jedynie podtrzymywać pani męża przy życiu, pani Barlow. Nic więcej nie mogę obiecać.

– A jak długo możecie to ciągnąć?

– Tego nie da się określić. Nie licząc tego guza, pan Barlow jest w doskonałej formie jak na swój wiek. Ma zdrowe serce i nie znaleźliśmy objawów żadnych innych chorób.

– Tak więc może dożyć... ilu lat? Siedemdziesięciu, osiemdziesięciu?
– Szczerze mówiąc, tak, pani Barlow. Ale może też umrzeć choćby jutro. Po prostu nie wiemy. Jednak nic więcej nie możemy dla niego zrobić.

Spuściła wzrok i przez chwilę patrzyła na torebkę na swoich kolanach, po czym podniosła głowę i skinęła. – Dziękuję, panie doktorze. Doceniam pańską szczerłość. Teraz chciałabym spędzić z nim kilka chwil.

– Oczywiście.

Już dawno zniesiono czasowe ograniczenia odwiedzin dla rodziny.

– Czy możemy wyjaśnić jedną rzecz? – spytała, gdy oboje wstali. – Czy twierdzi pan, że istnieje szansa, choćby znikoma, że mój mąż mógłby zupełnie wyzdrowieć?

Lekarz rozłożył ręce. – Pani Barlow, w pewnych okolicznościach lekarz musiałby się wykazać brakiem odpowiedzialności, prognozując takie rzeczy. Nigdy nie słyszałem, by coś takiego miało miejsce, ale nie mogę kategorycznie stwierdzić, że jest to niemożliwe. Może zechciałaby pani porozmawiać o tym z panem Hardcastlem?

– Czy on powie mi coś innego?

– Nie... Bardzo mi przykro.

– W takim razie nie będę zwracać mu głowy. Ma dość pracy.

Florence siedziała przy mężu ponad godzinę. To, co właśnie jej powiedziano, nie zaszokowało jej ani nie przestraszyło. Już od dawna zdawała sobie sprawę ze swojej sytuacji i w zasadzie zdołała się z nią nawet pogodzić. Ale teraz, skoro uzyskała potwierdzenie, musiała zmierzyć się z perspektywą trwałej i całkowitej niesprawności Harolda w kategoriach reszty swojego życia. Zawsze była kobietą praktyczną, posiadającą umiejętność oddzielenia emocji od codziennych, domowych obowiązków żony i matki.

Będzie musiała umówić się na spotkanie z panem Douglasem, prezesem Coombes Brothers, i wytłumaczyć mu sytuację; należało to zrobić choćby z uprzejmości, a także po to, by przekonać się, jakie stanowisko zajmie teraz firma. Pensja Harolda wciąż była wypłacana, ale... konto było wyłącznie na niego, co oznaczało, że będzie musiała spotkać się też z kierownikiem banku i najprawdopodobniej adwokatem. Trzeba będzie zawiadomić wychowawców w szkołach dzieci, mimo że oczywiście wszyscy byli już świadomi tego, co się stało. Należałoby też napisać listy do kierownika klubu golfowego, przyjaciół, kuzyna Harolda w Toronto, tego mężczyzny – jak on się nazywał? Summers czy Summerville – z Southampton, z którym zaczął korespondencyjnie grać w szachy i który okazał jak dotąd tyle współczucia i zainteresowania. Były jeszcze te wakacje, które

zarezerwowała parę miesięcy wcześniej, częściowo po to, by wnieść trochę normalności w tę nienormalną sytuację, a częściowo dlatego, że marzyła, iż Harold wyzdrowieje równie niespodziewanie, jak zachorował. Nie było jeszcze za późno, by je odwołać... Ale nie, to tylko utwierdziłoby dzieci w przekonaniu, że w ich życiu zapanował chaos. Mogła przecież z nimi pojechać, pod tym tylko warunkiem, że szpital wiedziałby, gdzie się z nią skontaktować; musiała żyć tak normalnie, jak to tylko możliwe.

Różne praktyczne kwestie zaczęły piętrzyć się tak, że nie sposób było myśleć o nich wszystkich naraz. Odsunęła je od siebie na jakiś czas, wyciągając dłoń i gładząc męża po czole, podczas gdy nieme lzy płynęły po jej policzkach. Często czuła, że wyszła za mąż – wydano ją za mąż – w pośpiechu, ale Harold był odpowiedzialny i wierny, przewidywalny i nudny oczywiście, ale przy tym zawsze do przesady obowiązkowy. Nie zapewniał żadnych podniet, ale też nigdy nie przysporzył jej cierpienia. Nigdy nie podzielał jej zaangażowania w amatorską operę – choć z poczucia obowiązku uczęszczał na każdy jej występ – ale też nigdy nie próbował jej od tego hobby odwieść. Jak na ironię, tuż przed tym, jak zachorował, zagrała główną rolę w *Wesołej wdówce* Lehara – z Donaldem Barracoughem u boku. Drogi Donald, tak bardzo się zmartwił i okazał tyle zrozumienia, gdy usłyszał o chorobie Harolda, i jakże taktownie trzymał się na uboczu, mimo iż mieszkał po sąsiedzku...

Och, była niepewność uczuć. Były wyrzuty sumienia, był żal, były nęcące obietnice, tak kuszące, że w ogóle nie powinny były zostać wypowiedziane, bo teraz jeszcze tym bardziej dręczyły. Gdyby Harold nie zachorował, co by się stało? Co się właściwie *stało*? Wszystko zaczęło się tak niewinnie od miłych pogaduszek i śmiechu, nim rozwinęło się coś głębszego, nieznanego i porywającego nowego. Jego wzmianki o Cicely, na początku tylko zdawkowe aluzje prowadzące ostatecznie do pełniejszego zwierzenia o nieszczęśliwym związku małżeńskim. Jej gesty sympatii, w które coraz bardziej się angażowała, nie zdając sobie z tego sprawy aż do wieczora, gdy ją pocałował w swoim samochodzie. Kiedy znowu się spotkali, przeprosił ją i powiedział, że muszą powrócić do poprzedniego etapu przyjaźni, jednak ich związek trwał i rozwijał się (i to Florence czuła się za to odpowiedzialna), tak że podczas każdej próby – przygotowywali wtedy *Jolantę* Czajkowskiego – jednym uchem słuchała producenta i reżysera muzycznego, czekając, aż się to wszystko skończy i Donald odwiezie ją do domu. Był to romans, którego Harold nigdy nie był w stanie jej ofiarować, jak operetkowe zaloty, których cudowność niwelowała nerwowe napięcie wywoływane poczuciem, że robią coś niewłaściwego. Fizycznie początkowo nie było to nic poza uściskami,

w których wyrażała się ulga i swego rodzaju spełnienie, jednak każdy z nich był cieplejszy i bardziej namiętny od poprzedniego, każdy kolejny stanowił krok w stronę tego, co nieuniknione, czego Florence, w miarę jak godziła się na każdy następny etap tej znajomości, coraz bardziej pragnęła. Donald uwolnił w niej potrzebę, potrzebę, której istnienia dotąd nie była świadoma.

Florence wetknęła rękę męża ponownie pod pościel i pocałowała go w czoło. Najpierw musi spotkać się z panem Douglasem, później z kierownikiem banku, a jeszcze później... nie. Najpierw musi powiedzieć dzieciom, że po wielu miesiącach budzenia nadziei, rozprawiania o dalszych badaniach, wybitnych specjalistach, „interesujących” symptomach, o wyzwaniu, jakie stawiała przed nimi medycyna, lekarze w końcu się poddali. Została im tylko szansa, że ojciec wyzdrowieje, jeśli jakiś tajemniczy, niewytłumaczalny czynnik uwolni go z tego osobistego więzienia. Przypadek i ślepy los, które zredukowały go do tego, czym się stał, mogły być teraz jego jedynym wybawieniem.

Siedząc na ławce w warsztacie swojego ojca, Naomi wyglądała przez okno szopy na róże na trejażu, za którym znajdowała się część warzywna ogrodu – zaniedbana, odkąd ojciec zachorował. Szopa pachniała oliwą i trocinami, ale była nieskazitelnie czysta, zadbana, narzędzia wszystkie leżały na przeznaczonych im miejscach; w jednym rogu znajdowały się deski, które były pozostałością z różnych przeróbek w domu; gwoździe, śruby i podkładki zebrane były w puszkach opisanych zgodnie z rozmiarem i ustawionych na półkach; grabie, szpadel, widły i motyka wisały na hakach. W czasach, gdy ona i jej bracia byli mali, wolno im było bawić się w szopie pod warunkiem, że obiecali niczego nie dotykać. Naomi nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni byli w szopie razem. A jednak teraz instynktownie wszyscy tam wrócili. Tim i Richard siedzieli obok siebie na starym, czarnym kufrze podróżnym, w którym ich ojciec przechowywał napoczęte puszki z farbą. Popołudniowe słońce wpadało przez otwarte drzwi, mgiełka powoli zapadającego zmierzchu lśniła delikatnie w jego promieniach.

- Kiedy on umrze? – spytał cicho Tim.
- Mama powiedziała, że według lekarzy równie dobrze może nagle wyzdrowieć – odparła Naomi.
- Ale mówiła też, że może już nigdy się nie obudzić.

Tim zaczął płakać, a do Naomi nagle dotarło, że jest najstarsza; odpowiedziała, naśladując swoją mamę odgrywającą pocieszycielkę dla swojego męża.

– No już dobrze, Tim. – Zeszła z ławki i uklękła na podłodze obok niego, podciągając spódniczkę, żeby jej nie zabrudzić (wszyscy wciąż mieli na sobie szkolne mundurki) i wzięła go za rękę. – Nie jest przecież gorzej, niż było do tej pory.

– Ale nie jest też lepiej. Kwestia jest tylko taka, kiedy w końcu coś z tym zrobimy?

Naomi ostrzegawczo spiorunowała Richarda wzrokiem: – Nie teraz.

Wzruszył ramionami. – Tim wie, o czym mówię.

Jego brat ryknął i skoczył na równe nogi, wybiegając z szopy z powrotem do domu, zanim Naomi zdołała go zatrzymać. Zamknęła oczy i westchnęła ze znużeniem, wstając.

– Czy ty naprawdę nie wiesz, kiedy siedzieć cicho? Wiem, o czym mówiliśmy, i wiem, że rozmawiałeś o tym z Timem, ale wspominać o tym teraz... – Odwróciła się do niego plecami, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała, wściekła.

Richard nie zważał na jej nastrój. Gdy tylko matka przekazała im nowiny ze szpitala, natychmiast uznał, że warto ten moment wykorzystać.

Teraz, skoro lekarze porzucili wszelką rzeczywistą nadzieję, chwila stała się odpowiednia, by ożywić dyskusję na temat śmierci ojca. Jak tylko Naomi stanie po jego stronie – a wiedział, że wszystko do tego zmierza – Tim nieuchronnie podąży za nimi.

– Ja tylko jestem realistą – bronił się. – Teraz wydaje się to nabierać tym większego sensu... nie uważasz?

– To nie jest odpowiednia chwila, żeby o tym rozmawiać – powtórzyła. – Sama nie wiem, co myśleć.

– Więc się na to nie pisziesz? – zapytał.

– Po prostu... po prostu nie pytaj...

Richardowi tak zależało na tym, by nie stracić okazji, na którą czekał przez tyle tygodni, że teraz popełnił błąd. – Rzecz w tym, że nie chcesz się przyznać nawet sobie samej, że go nienawidzisz.

Krzyknął, gdy Naomi, dysząc szybko i głęboko w furii i przygnębieniu, kopnęła go z całych sił w goleń.

– Nie waż się nigdy tego mówić, Richard! – Skulił się, gdy cofnęła stopę, jakby chciała go ponownie kopnąć, po czym skinął głową. – Zrozumiałeś?

– W porządku – wymamrotał.

Przez krótką chwilę, nim pochylił głowę, widziała łzy zbierające się w jego oczach.

– Zapamiętaj to sobie. Teraz musimy się skupić na tym, by pomóc mamie.

– Jak? – Wytarł twarz ręką, nim znów na nią spojrział. – Tak naprawdę może

jej pomóc tylko jego śmierć. Wszyscy o tym wiemy. A jeżeli będzie żył w tym stanie przez ileś tam lat...

– Już ci powiedziałam, Richard – przerwała mu ostro. – Nie dzisiaj.

– W takim razie jutro? W przyszłym tygodniu? Chyba że masz jakąś inną propozycję, jak możemy pomóc mamie.

– Po prostu daj temu na razie spokój. Być może w końcu... Idę zobaczyć, co z Timem.

Kiedy wyszła, Richard potarł gołeń, a drugą ręką wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów; było mało prawdopodobne, by ktoś przyszedł do szopy i zdybał go na paleniu. Niecierpliwiło go wahanie rodzeństwa, jako że sam już dawno był gotów to zrobić. Z ojca nie było w tej chwili więcej pożytku, niż gdyby już nie żył; w chwili, gdy przestał im zapewniać finansową stabilność, jego bezsensowne istnienie stało się wręcz zagrożeniem. Matka nie powiedziała nic na temat jego firmy poza tym, że zamierza porozmawiać z szefostwem Coombes Brothers, ale Richard już dawno domyślił się, że nie będą płacić mu w nieskończoność. Teraz musi się postarać, by Tim i Naomi też to zrozumieli. Naomi chciała iść na studia, Tim martwił się, jak poradzi sobie mama. Richard zaczął się zastanawiać, jak najlepiej wykorzystać swą umiejętność manipulowania ludźmi.

Kiedy Naomi weszła do pokoju, Tim leżał na brzuchu na łóżku, płacząc. W rękę trzymał pluszowego królika, którego uszy były niewiarygodnie wymiętoszone, a tułów dawno stracił kształt na skutek wielu lat odwzajemniania dziecięcej miłości; nawet naigrzanie się Richarda nie było w stanie zmusić Tima, by pozbył się zabawki. Usiadła obok niego i uspokajająco pogładziła po głowie.

– No już dobrze – mówiła, chcąc dodać mu otuchy. – Przecież od dawna się tego spodziewaliśmy.

– To niczego nie zmienia – wymamrotał.

– Wiem... ale płacz nie pomoże mamie, a dla niej akurat moglibyśmy coś zrobić.

– Na przykład, co?

– Powinniśmy po prostu przy niej być. Wspierać ją. Bez względu na to, jak okropnie się czujemy, dla niej musi to być... no dobrze, może nie gorsze, ale równie przykre. Nie wolno nam jej zawieść.

– A co z... – Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią. – A co z tym, o czym mówi Richard?

Naomi zawahała się; nie była pewna, co Richard powiedział Timowi.

- Co masz na myśli?
 - Chodzi o... o... Nie mogę tego powiedzieć. No ale wiesz. Rozmawiał przecież z tobą.
 - Chodzi ci o to, żeby skrócić tacie cierpienie?
 - Tak... żeby pomóc mamie. Pomogłoby jej to chyba, co? Jeżeli Coombes Brothers przestaną płacić, ona sama nie da rady. Będzie musiała sprzedać dom i przeprowadzić się do komunalnego mieszkania albo czegoś w tym rodzaju. Nie zniósłbym tego.
 - Nie mamy pewności, że przestaną mu płacić.
 - Richard mówi, że tak będzie – myślisz, że nie?
 - Nie wiem... być może... – Naomi nagle zaczęła płakać. – Tim, dlaczego to się musiało stać?
 - Nie wiem. – Wziął jej dłoń i ścisnął mocno. – Boję się, Nimmy. Co z nami będzie?
 - Jakoś sobie poradzimy – zapewniła go.
 - Jak? Jeśli nie... no wiesz.
- Patrzyli na siebie przez długą chwilę, aż wreszcie Naomi odezwała się:
- Zrobiłbyś dla mamy wszystko, prawda? Ja zresztą też.

Chciała przez to powiedzieć tylko tyle, że docenia troskę swego brata, jednak było to zdanie tego typu, które wypowiedziane przez jedną osobę, na zawsze zostaje zapamiętane przez drugą, bo wydaje jej się, że ma ono jakieś szczególne znaczenie. Stanowiło ono zaledwie fragment jednej z wielu rozmów, jakie dzieci prowadziły w tamtym okresie, jednak okazało się ono punktem zwrotnym, jako że najbardziej oporny z konspiratorów zaczął podejmować decyzję. W samotności Timowi wciąż kołatały się po głowie te słowa. „Zrobiłbyś dla mamy wszystko, prawda?” Tak, zrobiłby wszystko.

Florence stała przy szafce kuchennej z rękoma skrzyżowanymi na piersi tak daleko od Donalda Barraclougha, jak to tylko było możliwe.

- Jak to znoszą dzieci? – zapytał.
- Nie najgorzej. Zostawiłam je same, by mogły o tym porozmawiać.
- A kiedy wybierasz się do Coombes Brothers?
- Jutro rano. Sekretarka pana Douglasa umówiła mnie na spotkanie natychmiast.
- Jestem pewien, że zrobią wszystko, co w ich mocy.
- Zobaczymy. Nie chcę robić sobie nadziei. Mój ojciec zawsze powtarzał, że w interesach nie ma miejsca na sentymenty.

– Ale Harold pracował dla nich przez tyle lat. Na pewno...
– Nie chcę robić sobie nadziei – powtórzyła twardo. – Harold zawsze wierzył, że zarząd powinien na pierwszym miejscu troszczyć się o udziałowców.

Zagryzła wargi, kiedy się odwrócił. Chwilami Donald wyglądał tak niesamowicie przystojnie, bardziej jak gwiazdor filmowy niż przedstawiciel firmy farmaceutycznej. Pragnienie znalezienia się w jego ramionach wywoływało u niej wręcz fizyczny ból.

– Gdybym mógł ci jakoś pomóc, proszę, o co zechcesz – powiedział.

Florence zeszywniała, gdy poruszył się, jakby zamierzał do niej podejść. – Nie, proszę nie dotykaj mnie, Donaldzie. W tej chwili to by było zbyt okrutne. Zatrzymał się. – Dobrze. Przepraszam, Florence. Minęło już tyle czasu, odkąd szczerze ze sobą rozmawialiśmy, i chciałem... Nie powinienem był przychodzić.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Tylko daj mi czas, bym mogła poukładać sobie pewne sprawy, a wtedy... Po prostu daj mi trochę czasu. A na razie chciałabym, żebyś sobie poszedł.

Odwróciła się i przez długą chwilę ciszy zaciskała powieki; otworzyła je dopiero wtedy, gdy usłyszała, jak zamknęły się drzwi po jego wyjściu. Przez matowe szyby w drzwiczkach kuchennych szafek widać było zamazany rys nowej zastawy stołowej, którą kupiła dzień przed tym, jak Harold zachorował. Nie zdążył zjeść z tych naczyń i nigdy nie będzie miał ku temu okazji. Tak jak nigdy już nie włączy płyt Bacha czy Brahmsa, nie udoskonali swych umiejętności gry w golfa, nie będzie psioczył na rachunki, krytykował Partii Pracy, zbierał na tacę podczas mszy, nie będzie śmiał się z czegoś w telewizji, pisał nigdy nie publikowanych listów do Timesa, nie będzie wyrywał chwastów w ogrodzie, sprawdzał wyników meczy krykieta... Można by tak wyliczać w nieskończoność. Niektóre z tych rzeczy drażniły ją, ale wszystkie składały się na mężczyznę, który był jej mężem. Można było na nim polegać, był odpowiedzialny, porządny... a pod koniec swego życia ostatecznie zdradzony i oszukany.

I leżał teraz bezsilny, umysł zamknięty w ciele, które równie dobrze mogłoby być martwe. Nie był już ojcem, bo nie mógł wykonywać tego, co uważał za swe rodzicielskie obowiązki; nie był kierownikiem działu badań w Coombes Brothers, bo guz pozbawił go zdolności myślenia; nie był już graczem w golfa, bo nie mógł się poruszać; nie był melomanem, bo niczego nie słyszał. Nie był już... powstrzymała się. Owszem, nadal był jej mężem. Być może nie będzie mogła już liczyć na jego zarobki i nigdy nie poczuje ciężaru jego osoby przy swoim boku w łóżku, nie będzie mu prac ani gotować, ani niewolniczo zgadzać się z jego zdaniem. Mimo wszystko nadal był jej mężem – i mógł nim pozostać jeszcze przez długie lata.

Na ścianie za biurkiem Douglasa Coombesa wisiał portret pana Thomasa, jego ojca, który założył firmę w 1902 roku. Syn zaczynał się do niego upodabniać, jego falowane włosy posiwiały, rumiana twarz zaokrągliła się, tak że tym bardziej rzucał się w oczy długi, wąski nos charakterystyczny dla rodziny Coombesów. Kiedy słuchał, jego oczy były skupione i pełne współczucia. Gdy Florence skończyła, ze smutkiem pokręcił głową.

– Pani Bar... mogę mówić do pani Florence? Dziękuję. Przede wszystkim pragnę powiedzieć w imieniu własnym i całego zarządu, jak zszokowani jesteśmy i jak bardzo nam przykro. Harold był... Przepraszam. Harold *jest* po prostu częścią Coombes Brothers. Kiedy zacząłem pracować w firmie, mój ojciec zawsze wyrażał się o nim jak najlepiej, choć wtedy pani mąż oczywiście pracował na znacznie niższym stanowisku niż obecnie. Pan Thomas z ogromną przyjemnością śledził jego postępy.

– Harold zawsze dobrze się tutaj czuł. Firma przez cały czas stanowiła niezmiernie istotną część jego życia.

– Wszyscy o tym wiemy, Florence, proszę mi wierzyć... A zatem lekarz powiedział pani, że istnieje jeszcze szansa na wyzdrowienie?

– Tak, choć jest ona dość nikła. I nawet gdyby do tego doszło, powrót do zdrowia może być jedynie częściowy. Dlatego też muszę poznać stanowisko firmy.

– Oczywiście. – Przynął sobie notatnik i wyciągnął złote wieczne pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Bardzo przypomina mi pani Harolda. Jest pani taka rzeczowa... Mogłaby mi pani coś przypomnieć?

Kiedy dokładnie zachorował?

– Czternastego marca zeszłego roku.

– Czternastego. – Pisał i mówił jednocześnie. – Nieco ponad rok temu. Jak pani wie, zarząd regularnie wypłacał jego pensję, mimo że już dawno upłynął umowny okres sześciu tygodni.

– Tak. – Spuściła głowę, nie mogąc znieść poniżającej sytuacji, w jakiej się znalazła. – Jestem bardzo wdzięczna.

Douglas Coombes rozparł się w swym dyrektorskim fotelu, obracając go delikatnie bokiem do niej.

– Jakkolwiek rozumie pani chyba, że będziemy musieli zweryfikować nasze stanowisko w świetle tego, co właśnie usłyszałem – tłumaczył. – Mamy to już zaplanowane na następne zebranie zarządu, którego członkowie zechcą zapewne dokładnie poznać sytuację. Wszystko im wyjaśnić – oczywiście mamy nadzieję,

że Harold wyzdrowieje – jednak w międzyczasie...

Ręce Florence zacisnęły się na złożonym zapięciu torebki na jej kolanach, kiedy otworzył szarą tekturową teczkę z aktami.

– Pięć lat temu, awansując na kierownika działu badań, Harold nabył prawo przystąpienia do naszego systemu emerytalnego. Wybrał średni próg płacowy. W normalnych okolicznościach dałoby to... hm, to nieistotne. Rzecz w tym, że rozmawialiśmy z naszym ubezpieczycielem, który twierdzi, iż jeśli Harold nie odzyska zdolności do pracy, to towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaci pani jego wkład. W całości.

– A ile to będzie?

– Coś około dwustu funtów... Jeżeli pani sobie życzy, poproszę sekretarkę, by to dokładnie sprawdziła.

– Nie, dziękuję, panie Douglasie. Mam się dziś jeszcze spotkać z kierownikiem banku i jestem pewna, że ta szacunkowa kwota wystarczy mi, by mógł stwierdzić...

– Ponownie spuściła wzrok. – Przepraszam, to jest dla mnie takie trudne.

– Rozumiem. – Na chwilę Douglas Coombes jeszcze bardziej upodobił się do swego ojca. – Czy chciałaby pani zapytać o coś jeszcze?

– Tak. – Potarła kciukiem zapięcie torebki. – Muszę wiedzieć – bank będzie się tego domagał – czy wpłyną jeszcze jakieś pieniądze. Doceniam to, co firma zrobiła dotychczas, ale muszę wiedzieć, czy...

– Spodziewałem się tego pytania – przerwał jej. – Jak już wcześniej wspominałem, i tak odeszliśmy od naszych normalnych procedur w przypadku Harolda. Jednakże w obecnej sytuacji zarząd będzie chciał... czy może mi pani podać nazwisko lekarza Harolda?

– Pan Hardcastle... Zdaje się, że jego imię zaczyna się na „G”.

– Pan G. Hardcastle. – Zapisał nazwisko w notatniku. – Jeśli pani pozwoli, chcielibyśmy uzyskać jego formalną opinię.

– Proszę bardzo.

– Wiedziałem, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu. Spróbuję uzyskać ją jeszcze przed posiedzeniem zarządu. Potem... hm, najwyraźniej będzie to już decyzja całego kierownictwa, ale z przykrością muszę stwierdzić, że będziemy musieli poważnie zastanowić się nad dalszym postępowaniem.

– Czyli że jego pensja zostanie wstrzymana.

Westchnął. – Obawiam się, że tak... ale nie natychmiast. Będę postulował za tym, byśmy wypłacali pełną pensję Harolda jeszcze przez trzy miesiące – licząc od dnia posiedzenia, będzie to do końca lipca – i jestem pewien, że moja propozycja zostanie zaakceptowana. Jednak potem... przykro mi, Florence, ale musi

pani zrozumieć, że nas też ograniczają pewne przepisy.

– Harold pracował dla was przeszło trzydzieści pięć lat.

– Podobnie jak wielu innych pracowników. Niektórzy z nich są z nami nawet dłużej. Musimy być bardzo ostrożni, jeśli chodzi o ustanawianie precedensów.

Florence wstała. – Dziękuję za to spotkanie, panie Douglasie. Przedstawił mi pan wasze stanowisko bardzo jasno.

On również wstał. – Jest mi bardzo przykro, że nie mogę powiedzieć nic innego. Ale w tych okolicznościach... No oczywiście, gdyby Harold wyzdrowiał, na co wszyscy czekamy z nadzieją, będziemy zachwyceni, widząc go tu z powrotem.

Zacisnęła usta. – Ja też byłabym zachwycona, mając go znów u swego boku. Do widzenia, panie Douglasie. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój cenny czas.

Firma Coombes Brothers usytuowana była w pewnej odległości od drogi i przystanku autobusu, którym Florence Barlow mogła dojechać do centrum miasta. Minęła bramy fabryki i szła wzdłuż płotu ogradzającego nowy pawilon, a jej uszy wypełniał stłumiony dźwięk huk maszyn, w który wdarło się nagle brzęczenie dzwonka obwieszczającego początek porannej przerwy. Przez ponad połowę swego życia Harold chodził, jeździł na rowerze lub jechał samochodem tą drogą do pracy i z pracy. Dumny był, że w tym czasie wziął tylko pięć dni wolnego – po jednym z okazji urodzenia każdego ze swoich dzieci i dwa w 1948 roku, kiedy zachorował na grypę. Teraz wart był jedynie zwrotu pieniędzy, które wpłacał na fundusz emerytalny, i odprawy w kwocie trzymiesięcznej pensji. I na jak długo ma jej to starczyć, skoro wciąż ma dzieci na utrzymaniu i nie wiadomo jak długie życie przed sobą? Wizję zamgliły jej łzy, które napłynęły do oczu.

Nie były to jednak łzy żalu czy zmartwienia, bo tych uroniła już całe potoki. Tym razem płakała z gniewu i oburzenia, przy czym część tej złości – co okropne i niewybaczalne – była skierowana ku jej mężowi za to, że nadal żył.

ROZDZIAŁ SZÓSTY: 17 CZERWCA 1959

Kiedy dzieci zaczęły same odwiedzać Harolda Barlowa, poczucie obowiązku wobec obojga rodziców mieszało się w ich umysłach z nieśmiałą urazą. Żaden z ojców ich przyjaciół nie przysporzył takiego ciężaru swojej rodzinie; wszyscy troje musieli zapomnieć o wolnych sobotnich popołudniach, bo w tym czasie ich matka robiła zakupy; a co właściwie mogli dla niego zrobić, nie licząc wpatrywania się w milczącą, bezsilną, nieruchomą sylwetkę? Ta jedna godzina między drugą a trzecią po południu psuła im cały dzień: najpierw samą perspektywą czuwania przy ojcu, a potem wyrzutami sumienia. Podczas pierwszych wizyt czuli się nieswojo, siedzieli, często po kryjomu spoglądając na wlokące się wskazówki zegarków; przyziemne dźwięki szpitalne pomagały przerwać śmiertelną monotonię, głosy na korytarzu przypominały, że istnieli jeszcze żywi ludzie na tym świecie. Później ostrożnie zaczęli rozmawiać, rzucając bezsensowne uwagi, że wygląda tego dnia trochę lepiej, zastanawiając się na głos, jak często wymieniano cylinder jego respiratora, co znaczyły liczby i wykresy na jego karcie. Z czasem oswoili się z tą sytuacją i zaakceptowali ją na tyle, że zaczęli zabierać książki do czytania, gry kieszonkowe, komiksy, a nawet zadania domowe. Nabrali nawyku rozmawiania o wszystkim i niczym, tak że w końcu ta godzina niepostrzeżenie wtopiła się w ich weekendy, a człowiek na łóżku stał się jak widok z okna, który znał człowiek tak dobrze, że nie patrzył już więcej w tamtą stronę. Kiedy wychodzili, Naomi całowała ojca w czoło, a jej bracia, skrępowani, ściskali jego dłoń; Harold Barlow pochodził z pokolenia, w którym synowie nie całowali swoich ojców. Ostatecznie przerodziło się to wszystko w krótką, odruchową ceremonię dopełnianą ze względu na to, że tego się po nich spodziewano, a nie będącą przejawem miłości do ojca; miesiąc przed jego śmiercią zaniechali swego rytuału. Personel oddziału tak bardzo przyzwyczyił się do ich wizyt, że 17 czerwca 1959 roku nikt nie zauważył, iż dzieci przyszły bez żadnych książek. Pielęgniarka uśmiechnęła się na dzień dobry, kiedy szli korytarzem, i poszła do dyżurki, a Richard starannie zamknął drzwi. Naomi miała w zwyczaju całować ojca i szeptać „Dzień dobry, tato”, gdy przychodzili, ale tego dnia nie chciała go dotykać. Minęło kilka minut, nim którekolwiek z nich się odezwało.

– A jeżeli ktoś wejdzie, akurat jak będziemy... – Tim najwyraźniej był przerażony.

– Nigdy nikt nie wchodził – ostro przerwał mu Richard.

Był zdenerwowany, jego oczy błędziły po pokoju, szukając nie wiadomo czego, i ścisnęło go w żołądku. Przywiódł swe rodzeństwo w miejsce, z którego nie było już odwrotu; teraz będą musieli przekroczyć ostatni próg.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, nim Tim zapytał: – Kiedy?

Richard spojrzął na zegarek. – Za jakieś piętnaście minut. Jeśli zrobimy to za wcześnie, ktoś może zacząć coś podejrzewać.

Naomi podeszła do okna i spojrzała na trawnik i rabaty z kwiatami, które ciągały się aż do płotu przy drodze. Obracający się spryskiwacz wyrzucał kaskady wody na trawę, a w oddali ktoś wioził pacjenta na wózku. Był środek upalnego lata, które miało tego roku trwać aż do późnej jesieni. Zauważyła, jak do bramy podjechał autobus numer 47, którym jeździli do domu; kilkoro pasażerów wysiadło i ruszyło w stronę szpitala, niosąc prezenty. Jednak oni dziś nie wrócą autobusem; zadzwonią do mamy, która z pewnością zamówi dla nich wszystkich takśówkę. Zadzwonią do mamy po tym, jak... Naomi odwróciła się od okna i spojrzała na ojca. Jego ręce zostały położone na kołdrze; zawsze umięśnione i silne kurczyły się z każdym dniem, zarys kości stał się widoczny przez bladą, pergaminową skórę, przywołując na myśl dłonie starego, umierającego człowieka.

– Chyba nie mamy wątpliwości, prawda? – zapytała. – Na to wygląda, więc... – Głos jej się załamał.

– Rozmawialiśmy o tym milion razy – zawarczał Richard. – I oboje się zgodziliście.

– Wiem, ale... Po prostu wolałabym, żeby znalazło się jakieś inne wyjście.

– Ale się nie znajdzie. – Richard wskazał na ojca. – Spójrzcie na niego. On nigdy z tego nie wyjdzie. Nie po tak długim czasie. *On już nie żyje*. Zamierzamy zrobić tylko to, co stałoby się i bez naszego udziału.

– Robimy to dla mamy – wymamrotał Tim, prawie jakby mówił do siebie.

– Zgadza się – przytaknęła przekonująco jego brat. – Dla mamy.

Naomi znów odwróciła wzrok. Czy rzeczywiście zamierzają zrobić coś złego z *dobrych* pobudek? Jakie właściwie były jej pobudki? Takie, że jeśli ojciec nadal trwać będzie w takim stanie, nie będzie mogła iść na studia?

Uniwersytet w Sheffield miał już dla niej miejsce, wszystko zależało tylko od wyników egzaminów. Pracowała ciężko na coś, czego pragnęła i na co we własnym mniemaniu zasługiwała. Zaczynała mieć ojcu za złe ograniczenia, które narzucił na jej życie; teraz jego ślepe, starzejące się, beużyteczne ciało blokowało

spełnienie jej nadziei. Jemu nie zrobi to żadnej różnicy, jeśli umrze; dla niej różnica będzie ogromna.

– Jak to zrobimy? – spytał Tim.

– Już ci mówiłem. To łatwe – odparł zniecierpliwionym głosem Richard. – Widzisz ten zawór na cylindrze? Jeśli przykręcimy go tylko na chwilę, ojciec nie będzie mógł oddychać. Zwyczajnie, spokojnie sobie umrze.

Wszyscy wpatrywali się w matową, miedzianą zakrętkę, a w ciszy, która zapadła, syk respiratora wydawał się coraz głośniejszy.

– Nie będzie go to bolało? – zapytał Tim.

– Już ci mówiłem... – zaczął Richard.

– Mówię do Nimmy.

– Słucham? – Jego siostra ocknęła się z zadumy. – Nie... nic go nie będzie boleć. Mama mówiła przecież, że zdaniem lekarzy on niczego nie czuje, prawda?

Tim kiwnął głową. – W takim razie wszystko w porządku.

Richard zaczął obgryzać paznokcie. Jeśli teraz się nie uda, być może już nigdy nie zdoła ich do tego przywieść.

– Zrobmy to od razu – powiedział.

– Mówiłeś, że za piętnaście minut – przypomniał mu Tim.

– To nie ma znaczenia. No, dalej. Najlepiej, żebyśmy w ogóle nie patrzyli na... Najlepiej skupić się tylko na zaworze. Możecie zamknąć oczy, jeśli chcecie.

Podszedł i stanął przy cylindrze z tlenem; Naomi i Tim nie poruszyli się.

– No już – ponaglił ich.

– Sam mógłbyś zakręcić ten zawór – odezwała się Naomi. – My będziemy tylko...

– O nie... Ustaliliśmy to. Musimy to zrobić wszyscy.

Żołądek Richarda ścisnął się jeszcze bardziej, gdy na nich czekał. Gdy tylko jedno z nich przyłączy się do niego, drugie robi to samo, ale jeśli żadne z nich...

Tim zamrugał szybko. – W porządku. – Jego nastoletni głos łamał się i chrypiał. – Nimmy?

Skinęła głową i wszyscy troje stanęli przy cylindrze.

– Najlepiej nie myślcie o tym – rzekł cicho Richard. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i położył ją na zaworze. – Po prostu róbcie to, co uzgodniliśmy.

Naomi pierwsza złapała za zakrętkę, później Tim, na końcu Richard; wcześniej obstawał przy tym, by zrobić to w takiej kolejności, w jakiej przyszli na świat, co oznaczało, że był ostatni.

– Ledwo czuję twoją dłoń – wyszeptał Tim.

– Złap mocniej – nakazała Naomi. – Złap tak, żebym poczuła. Tak już lepiej. Dobrze... teraz.

Ich połączone dłonie przekręciły, podniosły się i ponownie złapały zawór, i tak w sumie pięć razy. Pęcherz coraz słabiej powiększał się i kurczył, aż w końcu znieruchomiał. Wszyscy zamarli, czekając na jakiś wydany przez ojca dźwięk, który zmusiłby ich do spojrzenia na niego, ale nic nie przerwało martwej ciszy pokoju. Usłyszeli syrenę karetki wjeżdżającej pospiesznie przez bramę. Naomi cicho policzyła w myślach do stu, potem dodała jeszcze pięćdziesiąt. Na zewnątrz szpitalny zegar wybił połówkę godziny.

– Chcę już puścić – wyszeptał Tim. – Proszę.

Naomi pokręciła głową. – Jeszcze nie. Musimy być absolutnie pewni... Richard! – Gwałtownie położyła swoją wolną dłoń na jego w chwili, gdy zaczął ją cofać. – Ani się waż! Puścimy wszyscy razem, kiedy dam sygnał.

Czuła, jak wciąż próbuje się jej wyrwać, aż piorunującym wzrokiem zmusiła go wreszcie do posłuszeństwa; Tim rozplakał się cicho. Naomi ponownie zaczęła liczyć w myślach, starając się to robić niesłuchanie powoli. Pięćdziesiąt... sto... sto pięćdziesiąt... jej dłonie zaczęły się pocić.

– Wystarczy – rzekła w końcu. – Ale najpierw z powrotem to odkręcimy.

Ich ręce poruszyły się zgodnie i delikatne syczenie pęcherza powróciło do pokoju.

– Teraz puście.

Richard wyrwał swoją dłoń i znalazł się przy ścianie, jeszcze zanim pozostali zdolali się poruszyć. Oczy Tima i Naomi natychmiast skierowały się na ojca. Jego klatka piersiowa nadal unosiła się i opadała.

– Wszystko w porządku. – Naomi wyczuła konsternację Tima. – Teraz to już musi być tylko respirator. On nie żyje.

– Ale skąd mamy to wiedzieć? – zaprotestował. – Co powiemy? Nie możemy go tak po prostu zostawić i sobie pójść, kiedy minie czas odwiedzin, jak gdyby się nic nie stało.

Naomi zawahała się i zaczęła, się zastanawiać. Wymyślili, że odcięcie dopływu powietrza zabije go, ale poza tym nie byli pewni, co się stanie.

– Powiemy im, że wydał jakiś dźwięk – zasugerowała w końcu. – Jak gdyby się dusił czy coś w tym rodzaju. A potem, gdy przyjdą go obejrzeć... Richard! Wracaj!

Jednak było już za późno. Jej brat zdążył wyprysnąć przez drzwi na korytarz i usłyszeli, jak woła pielęgniarkę.

– Co on im powie? – pytał przerażonym głosem Tim.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła go Naomi. – Jak wypapla, że tata nie żyje, pomyślą, że to tylko panika. Dokładnie tak zachowaloby się jedno z nas, gdyby ojciec... Jak ktoś przyjdzie, to się w ogóle nie odzywaj.

Na zewnątrz dały się słyszeć pospieszne kroki i za moment dyżurna pielęgniarka wpadła do pokoju.

– Co się stało?

Naomi wskazała na ojca. – Nie jesteśmy pewni. On po prostu... pomyśleliśmy, że coś jest nie tak. Przepraszam, że...

Zamilkła, gdy w drzwiach pojawiła się siostra oddziałowa; nadal nie było widać Richarda.

– Zaczekajcie chwilę na zewnątrz – poleciła siostra. – Zajmiemy się waszym ojcem. Wszystko będzie dobrze.

Richard stał przy tablicy informacyjnej na korytarzu. W jego oczach widać było błaganie i przerażenie, kiedy na nich spojrzął, ale czekając na dalszy rozwój wydarzeń, żadne się nie odzywało. Po chwili siostra oddziałowa wyszła z sali.

– Chodźcie ze mną do mojego gabinetu – powiedziała i powiodła ich do swego pokoju z niezwykłą delikatnością. – Poczekajcie tutaj, a ja wrócę najszybciej, jak będę mogła.

– Co się stało? – spytała Naomi. Odkryła, że jej umysł pracuje niesłuchanie jasno, i doszła do wniosku, że było to odpowiednie pytanie. Zauważyła, że siostra nie zamierza odpowiedzieć.

– Już idzie lekarz. On będzie w stanie nam coś powiedzieć.

Uśmiechnęła się, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi. Przez kilka chwil jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu było bezradne chlapanie Richarda.

– Czy to znaczy, że on nie żyje? – zapytał w końcu Tim.

– Chyba na to wygląda – odpowiedziała Naomi. – Wkrótce się dowiemy.

– Ja tego nie zrobiłem. – Głos Richarda ledwo dobywał się spośród szlochu, ale brzmiał w nim bunt i próba obrony. – To wasza robota.

– Nie bądź głupi! – rozłościła się Naomi. – Zrobiliśmy to wszyscy razem.

– Tylko dlatego, że mnie zmusiliście.

Naomi spojrzała na niego z niedowierzaniem. – O czym ty mówisz? Po pierwsze to był twój pomysł. Nigdy by nam to nawet do głowy nie przyszło, gdybyś ty nie...

– Na pewno by wam przyszło. Bardziej niż ja chcieliście, żeby umarł.

Jego siostra odwróciła się od niego, jej złość i frustracja także mieszały się ze strachem z powodu popełnienia czynu niewybaczalnego i nie mieszczącego się w

jej systemie wartości. Rozmowa z Richardem nagle zaczęła przypominać spór z pyskującym bachorem.

– Jeśli... jeśli zaczną zadawać pytania, powiem, że to ja – odezwał się nagle Tim.

– Nie! – Naomi uśmiechnęła się, żeby załagodzić swą gwałtowną reakcję. – Nie możesz tego zrobić, Tim. Wszyscy się na to zgodziliśmy i dokonaliśmy tego razem. Wszyscy troje. Łącznie z tobą, Richard. Teraz po prostu musimy zachować spokój. Kiedy wróci siostra oddziałowa, żaden z was nie ma się odzywać. Ja będę mówić za nas wszystkich. Nie martwcie się. Wszystko będzie w porządku.

W izolatce siostra oddziałowa i dyżurna pielęgniarka przyglądały się, jak lekarz jedną dłonią na próżno szukał pulsu, drugą podnosząc jedną z zamkniętych powiek Harolda Barlowa.

– Co się stało? – zapytał.

– Dzieci przyszły go odwiedzić i jedno z nich nagle wybiegło, wołając pielęgniarkę – powiedziała mu siostra. – Kiedy tu dotarłam, zrozumiałam, że pacjent zmarł.

– Tak, zmarł. – Lekarz puścił nadgarstek Harolda Barlowa. – Ale skąd oni wiedzieli, że coś jest nie tak? Gdzie teraz są?

– W moim gabinecie... jednak nie sądzę, by był to odpowiedni moment na takie pytania. Są bardzo zdenerwowani.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale ciekawie byłoby się dowiedzieć, jakie widzieli objawy. W jakim są wieku?

– Córka ma chyba osiemnaście lat, a bracia są młodszy. To bliźnięta.

– Może będę miał okazję później. Niewiele wiemy o tej chorobie i każda informacja może okazać się przydatna. Czy skontaktowaliście się już z jego żoną?

– Kazałam siostrze Bolton do niej zadzwonić. Wkrótce powinna się tu zjawić.

– Dobrze. – Lekarz wyłączył respirator. – Proszę odłączyć kroplówkę. Spróbuję skontaktować się z panem Hardcastle. Być może będzie chciał przyjść. Proszę również zawiadomić kostnicę. Dziękuję, siostrzo.

Oddziałowa umieściła ręce Harolda Barlowa pod kołdrą, a druga pielęgniarka zaciągnęła zasłony. Gdy wyszły, siostra przełożona zamknęła drzwi jednym z kluczy umieszczonych na kółku przy jej pasku, po czym wróciła do głównej części oddziału.

– Czy udało się pani skontaktować z panią Barlow?

– Tak, siostrzo. Powiedziała, że już tu jedzie.

– Dobrze. Proszę ją przyprowadzić prosto do mojego gabinetu, gdy się zjawi. Będę tam z jej dziećmi. Proszę przygotować herbatę. Proszę też powiedzieć panu Marshallowi z kostnicy, że mieliśmy zgon. Ciała nie należy ruszać do przybycia pani Barlow. Także pan Hardcastle może chcieć je zobaczyć. Doktor Brewis właśnie go powiadamia.

Siostra opuściła oddział i zatrzymała się przed drzwiami swego pokoju. Choć przekazywanie informacji o śmierci należało do jej obowiązków, to wiedziała, że taka wiadomość niezmiennie wywoływała u ludzi cierpienie; w przypadku dorosłych zawsze starała się dopilnować, by pod ręką była kropelka brandy jako dodatek do typowej w takich wypadkach gorącej, słodkiej herbaty, ale teraz musiała powiedzieć o tym trójce nastoletków. Wolałyby zaczekać, aż przybędzie ich matka, ale nie mogła zostawić ich samych, przygnębionych i przerażonych, na tak długi czas. Biorąc głęboki oddech, otworzyła drzwi.

Dzieci stały przy oknie, czerpiąc otuchę z wzajemnej bliskości. Naomi obejmowała ramieniem Tima.

– Wasza mama już jest w drodze – rzekła siostra. Instynktownie zwróciła się do Naomi. – Zaraz tu będzie. Możemy poczekać w tym pokoju... Podejdźcie i usiądźcie.

Żadne z nich nie poruszyło się, gdy postawiła krzesła przed swoim biurkiem.

– No, chodźcie.

– Nasz tata umarł, prawda? – Kiedy Naomi się odezwała, Richard wybuchnął gwałtownym szlochem. – Wszystko w porządku, siostrzo. Domyślił się.

– Usiądźcie – powtórzyła siostra.

Naomi nadal obejmowała Tima, gdy podeszli do krzeseł, a siostra delikatnie wzięła za rękę Richarda. Kiedy usiedli, uznała, że lepiej będzie się czuła, stojąc nad nimi.

– Niestety, to prawda. To była bardzo spokojna śmierć i wasz tata nic nie czuł. Bardzo mi przykro, że stało się to w waszej obecności, ale wiedzieliście chyba, że to się może zdarzyć, prawda?

Naomi skinęła głową. – Nie sądziliśmy jednak, że nastąpi to tak wcześnie. Mama mówiła, że według lekarzy tato mógł żyć jeszcze wiele lat.

– To się wydawało bardzo prawdopodobne. – Siostra poczuła się zobowiązana do bronięcia honoru służby zdrowia. – Ale pewne rzeczy po prostu się zdarzają i nikt nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego... Czy możecie powiedzieć mi, co się stało? Zanim zawołaliście pielęgniarkę? Przykro mi, że o to pytam, ale pan Hardcastle, lekarz prowadzący waszego ojca, będzie chciał wiedzieć. Jeżeli wolelibyście nie...

– W porządku, siostró.

Pocieszając Tima i napominając Richarda, by przestał histeryzować, Naomi domyśliła się, że będą ich o to pytać, i postanowiła odpowiedzieć w imieniu ich wszystkich. Znowu zaskoczyło ją to, że jest w stanie tak jasno myśleć.

– Siedzieliśmy po prostu i mówiliśmy do niego – wiem, że to brzmi głupio, bo on nas nie słyszał, ale zawsze tak robiliśmy. Opowiadaliśmy mu, jak nam idzie w szkole i jak wygląda ogród. Wszystko to, o czym chciałby się dowiedzieć, gdyby... Tak właśnie było. Nagle... Sama nie jestem pewna, bo to było takie niespodziewane. Wyglądało to tak, jakby nagle próbował się poruszyć, a ten pęcherz respiratora bardzo szybko nabrzmiał i się skurczył, i zatrzymał się. Musiało to trwać... nie wiem, ale chyba niezbyt długo... a potem wszystko wróciło do normy. – Popatrzyła ze skruchą. – Powinniśmy byli natychmiast kogoś zawołać, a zamiast tego podeszliśmy do ojca, bo myśleliśmy, że się budzi. Wołaliśmy go po imieniu – nie było nas słychać? – i trzymaliśmy go za rękę. Później, jak już się więcej nie poruszył... – Pokręciła bezradnie głową. – Przykro nam. Powinniśmy byli zawołać kogoś natychmiast... Przepraszamy. Gdybyśmy tak zrobili, być może bylibyście w stanie... – Szloch, który przerwał zdanie, brzmiał jak przepelniony poczuciem winy i smutkiem.

– Już dobrze. – Siostra wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Naomi. – Nie możecie się obwiniać. Wasz ojciec był bardzo chory i lekarze nie mogli już dla niego nic więcej zrobić.

– Ale jeśli... to znaczy, kiedy się tak poruszył... czy to możliwe... że powracał do życia?

– Nie. – Nie było podstaw, by tak zdecydowanie zaprzeczyć, ale to słowo musiało w tej chwili paść i musiało zostać podparte odpowiednimi kłamstwami. – To niemożliwe. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, ale nigdy nie wolno wam myśleć, że coś mogłoby się potoczyć inaczej. Doktor Hardcastle wyjaśni wam dokładnie, co się stało. Potwornie mi przykro, że nikt nie słyszał, jak go wołaliście, ale nawet gdybyśmy usłyszeli, to nie bylibyśmy w stanie nic innego zrobić. Zawsze musicie o tym pamiętać. Wszyscy wiedzieliśmy, że wasz ojciec umrze, i straszne jest tylko to, że byliście przy nim, kiedy to się stało – jednak to chyba lepiej, niż gdyby był sam, prawda?

Naomi uśmiechnęła się do niej i lekko skinęła głową. – Tak. Dziękuję, siostró. Czy możemy go jeszcze raz zobaczyć, kiedy przyjedzie mama?

– Oczywiście, że tak. Pewnie będziecie chcieli się pożegnać. – Wyprostowała się, gdy ktoś zapukał do drzwi. – Proszę wejść... Och, dzień dobry, pani Barlow.

Przykro mi, ale... hm, zostawię panią przez chwilę z rodziną. Będę czekać na zewnątrz.

Kiedy zamknęły się drzwi, Naomi rzuciła się przez pokój. – Mamo!

– Och, moi kochani. – Gdy się tak obejmowały, w głosie Florence słychać było napięcie z powodu szoku. – Tim, Richard. Chodźcie tu. – Objęły się wszyscy nawzajem. – Już dobrze. Tacie teraz będzie lepiej. Żałuję tylko, że mnie z wami nie było. Tak mi przykro.

– Nie – mruknęła Naomi w rękaw płaszcza matki. – Nie mów tak.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Florence pogładziła i pocałowała jasne włosy córki. – Pomódlmy się za niego.

– Nie teraz – Naomi zaczęła się wrywać. – Zrobimy to później... Powinniśmy najpierw iść i go zobaczyć.

– Skoro tego chcecie... Richard? Tim? Dobrze, chodźmy i znajdziemy siostrę.

Zasłony na oddziale uszyte były z cienkiego materiału, który zamieniał sącząca się przez nie promienie słoneczne w blade fiolet, pokrywający twarz Harolda Barlowa barwą lawendy. Siostra stała w pokoju tuż przy drzwiach, kiedy rodzina w ciszy zebrała się wokół łóżka. Florence patrzyła na męża przez długi czas, po czym pochyliła się i pocałowała go.

– Żegnaj, mój drogi – wyszeptała. – Dziękuję ci za wszystko.

Dzieci zaczęły płakać.

– Teraz go zostawimy – rzekła ich matka. – Pożegnajcie się tylko. Tata bardzo kochał was wszystkich.

Jedno po drugim całowali ojca, nawet jego synowie, po czym Florence wyprowadziła ich z pokoju, a siostra ponownie zamknęła drzwi na klucz.

Łzy winy i żalu spłynęły na twarz Harolda Barlowa i błyszczały w miękkim świetle, nim wyparowały w gorące popołudnie.

Tego dnia wieczorem, kiedy sąsiedzi w Tattersall Close zobaczyli zaciągnięte zasłony, zaczęli między sobą szeptać, że to istne błogosławieństwo. To takie smutne. Taka miła rodzina. Jakie to potworne dla dzieci, że straciły ojca. Ale jaka ogromna ulga dla pani Barlow. Odszukali nekrolog w *Wilmsford Messenger* i przyszli na pogrzeb: jedni, bo czuli się ze zmarłym związani, inni z poczucia społecznego obowiązku, jeszcze inni, bo takie wydarzenie zaspokajało ludzką tęsknotę za smutkiem bez konieczności odczuwania bólu osobistej straty. Wszyscy przyznali, że cała ceremonia odbyła się jak należy. Dwa samochody domu

pogrzebowego podążające za pełznącym karawanem, wieńce, dość duże, ale nie krzykliwe, dostojne. Pani Barlow, stosownie, w czerni, dzieci w szkolnych mundurkach, chłopcy z czarnymi krawatami. W kaplicy, w której dokonywano ciałopalenia, kiedy trumna na metalowych kółkach mijała drzwiczki krematorium, wszyscy zauważyli, jak dzieci trzymały się za ręce, stojąc w pierwszym rzędzie razem z matką. Jakież były dzielne, jakie dojrzałe, pomimo tak młodego wieku; pan Barlow tak dobrze je wychował.

KSIĘGA
DRUGA

PROLOG

Dwudziestego siódmego grudnia o 11:30 Daphne Byron, redaktorka *Post*, zapoznała się z najświeższymi, jakkolwiek pogmatwanymi i sprzecznymi wiadomościami na ekranie komputera, po czym zwróciła się do Briana Durhama, zastępcy redaktora działu informacji.

– Do jasnej cholery, czy mamy jakiegokolwiek *konkrety* w tej sprawie? – spytała.

– Bardzo niewiele – odparł. – Domyślamy się, że w domu przebywała większość rodziny, i wiemy, że Dick zabrał tam ze sobą Stephanie. Jesteśmy pewni jedynie tego, że dwoje z zebranych tam ludzi nie żyje.

– I nadal nie ma żadnych wiadomości od Dicka?

– Nie. Jego komórka jest wyłączona. Póki co ludzie w Manchesterze starają się dowiedzieć czegokolwiek na temat jego matki i brata, mamy też człowieka w Leeds. Syn Naomi Stansfield tam studiuje. Jedna z córek Dicka jest na Oksfordzie, więc tam też wędzimy. Trevor, Penny i Nick pracują nad tym – nawiasem mówiąc, policja znów przesunęła tę konferencję prasową – a dział fotograficzny wysłał Terry'ego i Dereka. Kazałem reporterom dzwonić do każdego, kto im tylko przyjdzie do głowy, ale ludzie wciąż jeszcze świętują. To by było w tej chwili na tyle.

Złote bransoletki na przegubie Daphne Byron zadzwoniły, kiedy zapalała papierosa. Nie zamierzała zjawiać się tego dnia w redakcji, ale wynajęła prywatny helikopter, jak tylko otrzymała telefon z nowinami w swym mieszkaniu w Paryżu. Redaktor musi być na miejscu, gdy dzieje się coś takiego, choć powód jej rychłego przyjazdu nie był wcale tak jednoznaczny. Kiedy przed wielu laty Richard Barlow wyłowił ją z *Daily Mirror*, mieli krótki romans, który ona wykorzystała jako pierwszy szczebel w swej wędrówce na szczyt. On nie miał nic przeciwko jej awansom – biurko w dziale informacji stanowiło szczyt jego aspiracji – ale bezustannie odwoływał się do czegoś, co sam uznał za szczególne relacje, jakie ich łączyły. Zbyt wiele osób z *Post* wiedziało o tym romansie i stał się on skazą na jej reputacji chłodnej profesjonalistki. Wielu innych dziennikarzy – nawet ci odnoszący największe sukcesy – zostało ściągniętych ze szczytu w dół, bo nie zadbali o ukrycie którejś ze swych słabości; gdyby pozbyła się Dicka Barlowa, jednego z

najtwardszych ludzi bezwzględego dziennikarskiego świata, wówczas nikt nie ośmieliłby się niczego jej zarzucić. Przestała więc zapraszać go na najważniejsze spotkania redakcyjne, obalała jego decyzje i dokładała starań, by wszyscy o tym wiedzieli, a także zatrudniała ludzi z zewnątrz, którzy z czasem mogli go wykurzyć. Gdy leciała tego ranka nad Kanałem La Manche, myślała, że jego śmierć dla niektórych może być tragedią, jej jednak zaoszczędziłaby wielu kłopotów.

– Czy istnieją choćby jakieś domysły, kto nie żyje? – zapytała.

– Nic pewnego – odparł Durham. – Ci z *Express* twierdzą, że jedną z ofiar jest babcia, ale nikt inny tego nie podaje i nie jesteśmy w stanie uzyskać potwierdzenia. Penny siedzi na plecach rzecznikowi prasowemu policji, ale on trzyma głębę na kłódkę aż do konferencji prasowej. Nasi ludzie mają na podsłuchu policyjne radio w Hertfordshire, ale gliniarze nie są tacy głupi. Może w końcu ktoś się z czymś wygada, jednak póki co komunikują się przez telefon.

– W co oni, do diabła, grają? Mówili, że wyjawią nazwiska. Dlaczego nie chcą tego zrobić teraz?

– Oficjalne stanowisko jest takie, że wciąż jeszcze przesłuchują świadków.

– Pierdoły. Pewnie tylko jakiś pieprzony gliniarz chce mieć swoje pięć minut w telewizji.

– Być może. – Wzruszył ramionami Durham. – Zresztą nie ma co panikować. Na pewno ogłoszą te nazwiska na długo przed zamknięciem wydania. Musimy tylko znaleźć jakiś nasz własny haczyk w tej sprawie.

– Dopilnuj tego. Możemy przecież pokonać konkurencję i bez pomocy Dicka Barlowa. Mam rację?

– Jasne. – Durham w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co się działo. Dick Barlow był już przeżytkiem, a ta historia, przedstawiona w odpowiedni sposób, mogła zaowocować głębszym podkopem pod jego reputacją niezastąpionego profesjonalisty – o ile w ogóle żył i potrzebował jeszcze jakiegś reputacji.

– Chcę, żeby wszystkie informacje dotyczące tej sprawy trafiały do mnie osobiście – dodała Daphne Byron. – Wszystkie. Przekazy Agencji Prasowej, przecieki, najmniej prawdopodobne domysły. Wszystko. I to od razu, jak tylko nadejdą. Zrozumiano?

– Tak jest – odparł Durham. – Stworzę plik o nazwie „Barlow”. Wszystko w nim będzie... Domyślam się, że to ty poprowadzisz poranną odprawę.

– Oczywiście... Ile mamy jutro stron?

– Trzydzieści dwie.

– Chryste, to nie wystarczy. Każę dodać cztery. – Patrzyła na swój ekran,

podnosząc słuchawkę i wybierając numer. – Nagłówek na pierwszej stronie, kontynuacja na trzeciej, czwartej i piątej. Plus rozkładówka, jeśli wystarczy nam materiału. Zdjęcia wszystkich osób w to zamieszanych i cytaty tyłu, ile tylko uda nam się złapać. Nie chcę słyszeć, że jakaś inna gazeta uzyskała wywiad z kimkolwiek z tego domu na wyłączność. Nie przejmujcie się budżetem, musimy być lepsi od wszystkich innych. Bierzcie się do roboty i... Jimmy? – rzuciła do słuchawki. – Tu Daphne. Dokładam dodatkowe cztery do dzisiejszego wieczornego wydania.... Gównu mnie obchodzi, że nie mamy reklam, żeby to pokryć. Załatwię to z szefostwem. Jaki jest nakład? Ile? W żadnym wypadku. Dołóżcie jeszcze przynajmniej czterdzieści tysięcy. Dostarczę wam materiału, żeby je sprzedać. ... Tak, to też załatwię. I macie mi wydrukować afisze dla Londynu i okolic.... Skąd mam wiedzieć ile? Ty zajmujesz się kolportażem. Tyle, ile trzeba. Przekażę wam bardziej szczegółowe informacje, jak tylko będę mogła. ... O której? Do cholery, nie wiem jeszcze. Masz tylko dopilnować, żeby wszyscy byli przygotowani.

Rzuciła słuchawkę i ponownie spojrzała na Durhama.

– To dla ciebie wielka szansa. Nie schrzań jej.

– Nie martw się.

– Ja się nie martwię. Za to ty powinienes.

Idąc z powrotem do działu informacji, Durham wiedział już, czego musi dostarczyć. Ciekawy aspekt, lepsze cytaty i zdjęcia. Nikt nie będzie się czepiał wierności faktom; wystarczy, żeby tylko dobrze się to czytało. A kiedy Dick Barlow powróci – o ile powróci – zauważy, że grunt usunął mu się spod nóg jeszcze bardziej.

– Nowy przekaz z Agencji Prasowej, Brian – krzyknął do niego jeden z reporterów, gdy siadał za biurkiem, więc odruchowo wcisnął wcześniej zaprogramowany guzik na klawiaturze, by uzyskać informację.

HSA581244

PAHOME

AP

11:39

PASNAPFULL Zwłoki – informacja dodatkowa.

PILNE. UWAGA REDAKTORZY DZIAŁÓW INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

Nie publikować. Widziano dwóch mężczyzn opuszczających w towarzystwie dwóch policjantów dom w Brookmans Park, Hertfordshire, gdzie znaleziono zwłoki. Trwają próby ustalenia ich tożsamości.

Durham podniósł słuchawkę. – Pod jakim numerem w pamięci telefonu jest komórka Trevora?

– Siedemnaście, siedemnaście.

Wybrał numer. – Trevor? Tu Brian Durham. Agencja Prasowa ma informacje o dwóch mężczyznach wychodzących z domu. Widziałeś ich? Nie ma cię tam? Z kim rozmawiasz? ... O czym? ... Cholera... Dopilnuj tylko, żebyśmy to mieli na wyłączność albo naczelną zje twoje jaja na śniadanie. Spróbuję dryndnąć do Nicka. – Durham rozłączył się i wybrał inny numer.

– Co powiedział? – spytał ktoś, gdy czekał na połączenie.

– Jest z jakąś kobietą, która twierdzi, że Naomi Stansfield kupiła mężowi na Gwiazdkę strzelbę. Wygląda na to, że mu się przydała. Nick jest nadal w tamtym domu... Nick? Tu Brian ... Tak, właśnie podała to Agencja Prasowa. Co? Kto tak twierdzi? Są tego pewni? W porządku. Zadzwoń do mnie, jak tylko uzyskasz potwierdzenie.

I znowu się rozłączył.

– Nick widział, jak wychodzili. Mówi, że jednym był Stansfield, ale nie ma pewności, co do drugiego. To mógł być jego syn albo brat Dicka. Wyszli z domu i od razu wsiadli do samochodu. Jest jednak przekonany, że żadnym z nich nie był Dick.

– Dokąd zabrała ich policja?

– Pewnie na komisariat. Penny tam jest.

Zadzwoił telefon, więc szybko podniósł słuchawkę.

– Penny? W samą porę. Stansfield najwyraźniej żyje. Jego i jeszcze jednego mężczyznę widziano, jak opuszczali tamten dom. Nie napatoczyłaś się na nich nigdzie? Co? Ale Nick jest pewien, że to był on! Jezu Chryste! Spróbuj jeszcze raz z tym rzecznikiem prasowym. Obiecuj, że się z nim prześpisz, jak będziesz musiała. Chcę wiedzieć dokładnie, kto...

– Brian, znów coś z agencji prasowej.

– Zaczekaj, Penny – rzucił Durham, przywołując znowu na ekran monitora serwis Agencji Prasowej.

HSA581280

PAHOME

AP

11:44

PASNAPFULL Informacja dodatkowa. Pilne.

POLICJA Zwłoki

UWAGA REDAKTORZY DZIAŁÓW GRAFICZNYCH

Zdjęcie dwóch mężczyzn wychodzących z domu w Hertfordshire, w którym znaleziono zwłoki, jest obecnie dostępne w serwisie „Zdjęcia” Agencji Prasowej. Nadal czekamy na potwierdzenie ich tożsamości.

– Agencja wypuściła zdjęcie domu – rzekł do słuchawki Durham. – Sprawdzimy to. A ty rób swoje. – Rzucił słuchawkę i wrzasnął do działu graficznego: –

Zdjęcie agencji prasowej z dwójką mężczyzn wychodzących z domu. Gdzie ono, do cholery, jest?

– Już je ściągamy, ale wygląda tak, jakby ktoś je zrobił z sąsiedniego okręgu. Co mówi Penny?

– Powiedziano jej, że jednym z nich był Dick.

– Widziała go?

– Nie. Wyprowadzili ich tylnym wyjściem. Gnojki. Ale gliniarz w domu sugerował, że jeden z wyprowadzonych to Stansfield. Tylko tego nam do szczęścia brakowało, żeby nas policja w ciula robiła... Jasna dupa, czy oni to zdjęcie wysyłają gołębiem pocztowym?

– Jeszcze dwie minuty.

Fotka była pospiesznie cyknięta z bramy znajdującej się jakieś dwadzieścia metrów od drzwi wejściowych, postaci były trochę nieostre, a na dodatek jedną z nich przesłaniały częściowo zimowe liście zwisającej gałęzi buku rosnącego przy podjeździe.

– Jak myślisz? – Durham podniósł zdjęcie, by pokazać je jednemu ze swoich kolegów, zaglądnącemu mu przez ramię. – Czy ten za drzewem to może być Dick?

– To zdjęcie ma tak gównianą jakość, że nawet tego, którego widać, nie sposób rozpoznać.

– Czy ktokolwiek z was poznał brata Dicka albo jego szwagra? – krzyknął Durham.

– Ja raz widziałem Stansfielda na konferencji prasowej – odkrzyknął jeden z reporterów.

– Chodź i przyjrzyj się temu... Czy to on?

Reporter podniósł zdjęcie do twarzy i zmrużył oczy. – Być może. Wzrost by pasował. Ale stuprocentowej pewności nie mam. Niestety.

– Niech fotograf zrobi zbliżenie obu postaci – polecił Durham. – Pokażcie je potem wszystkim ludziom z Kennet Bolingbroke, jakich tylko uda wam się dorwać, i prześlijcie do Manchesteru, żeby tam mogli sprawdzić, czy ktoś nie rozpozna Tima Barlowa.

Na biurku rozdzwoniły się równocześnie dwa telefony; Durham odebrał ten podłączony do prywatnej linii, a w tej samej chwili ktoś inny podniósł słuchawkę drugiego.

– Durham. ... Tak, Penny. ... Od kogo to słyszałaś? ... Ktoś jeszcze o tym wie? ... Jaki adres? ... – Złapał kawałek papieru i zaczął notować. – Colander Drive? ... Przeliteruj to. ... Ach, Holland Drive. ... Ile? Dwadzieścia siedem? Mam... dobra....

Nie, ty tam zostań. Tylko, do cholery, dopilnuj, żeby nie rozmawiał z nikim innym. Zaczekaj. – Odwrócił się do reportera, który wcześniej próbował rozpoznać Stansfielda. – Penny uzyskała informacje od jakiegoś łepka z lokalnej gazety, że Naomi kręci z miejscowym radnym z partii Torysów. Tu masz jego nazwisko i adres. Jedź tam i pogadaj... I twoja w tym głowa, żeby inni tego nie zwęszyli.

Kiedy reporter pospiesznie wyszedł, Durham znów rzekł do słuchawki:

– Dobra, Penny, już się tym zajęliśmy. Coś nowego odnośnie tożsamości mężczyzn zabranych z tamtego domu? Pracuj nad tym dalej.

Odłożył słuchawkę, akurat gdy przy biurku pojawiła się Daphne Byron. – Każałam ci o wszystkim mnie informować.

– Nie miałem czasu, a tutaj rozpętało się piekło. Widziano dwóch mężczyzn wychodzących z domu, ale sam Pan Bóg wie, kim oni są.

– Czy któryś z nich to Dick?

– Penny otrzymała informacje, że tak, ale nie jesteśmy pewni. – Pokazał jej otrzymane zdjęcie. – Spójrz sama. To pieprzone drzewo uniemożliwia identyfikację faceta po lewej, a ten, którego widać, też za wyraźny nie jest.

– Czy mamy całkowitą pewność, że to jest dwóch mężczyzn? – zapytała Byron. – Ta postać za drzewem może być kobietą w spodniach.

– Daj, niech spojrzę... Chryste, to możliwe. Każę Penny to sprawdzić. Trevor przypadkiem dowiedział się, że Naomi kupiła mężowi strzelbę na Gwiazdkę. Można by to jakoś wykorzystać. Do tego Penny ma informacje, że pani Stansfield romansuje z miejscowym radnym. Mark właśnie pojechał, żeby z nim pogadać.

– Czy ktoś jeszcze ma te informacje?

– Z tego, co wiem, to nie.

– I niech tak zostanie. Wszystko ma się znaleźć w moim pliku. I to już.

Wraz z upływem poranka fakty i fikcja, plotki i spekulacje mieszały się ze sobą, a różne gazety zbierały często zupełnie sprzeczne informacje. Dziennikarze wiedzieli, że prawda znajduje się wewnątrz domu przy Devon Lane, jednak gdy tylko zostanie ujawniona, każdy ją pozna, przez co stanie się bezwartościowa. Najważniejszą rzeczą było uzyskanie na wyłączność informacji, która przydałaby sprawie wyjątkowości, więc dziennikarze gonili za cokolwiek – nie potwierdzoną plotką, pogłoskami, przecuciami – co tylko mogło im taką informację zapewnić. Być może w tym, co im mówiono, było wiele nieprawdy, ale w branży, gdzie sukcesy odnosi się dzięki pozytywnym kłamstewkom, to nie było zbyt istotne.

ROZDZIAŁ PIERWSZY: ROBERTA

HSA581300

PAHOME

AP

11:50

POLICJA zwłoki (wznowienie)

Steven Boussana (pisownia nazwiska potwierdzona), lat 24, chłopak Roberty Stansfield, student Londyńskiej Szkoły Ekonomii, powiedział: „Miałem pojechać z nią do Hertfordshire na Gwiazdkę, ale zachorowała moja mama i musiałem zrezygnować. Roberta zadzwoniła rano w dzień Bożego Narodzenia i rozmawiała ze mną zupełnie zwyczajnie. Z pewnością nic nie wskazywało na to, że coś jest nie tak.

Próbowałem się z nią skontaktować w tamtym domu, ale policja nie chce mi nic powiedzieć. Mówią, że udzielają informacji jedynie krewnym, ale praktycznie cała rodzina Roberty była z nią, więc nie mam kogo zapytać.

Bardzo się o nią martwię. Nie wierzę, by nie próbowała się ze mną skontaktować i dać mi znać, że nic jej się nie stało”.

Mark Dyson, producent radiowy pracujący dla sekcji wiadomości BBC, także twierdzi, że nie mieli żadnych wiadomości od Roberty Stansfield, odkąd pojawiły się informacje o tragedii.

„Możemy się jedynie domyślać, że jest zbyt zajęta pocieszaniem reszty rodziny, by do nas zadzwonić i powiedzieć, że nic jej nie jest” – dodał.

Dwa lata temu byłam tak szczęśliwa, że przerażało mnie to, gdy o tym zbyt wiele myślałam. Martin stanowił centrum mojego wszechświata i byłam zaangażowana w związek typu: „spotkałam wreszcie tego jednego jedyne i chcę urodzić mu dzieci”. Krótco po tym, jak się poznaliśmy, skończył medycynę, dołączył do personelu szpitala Świętego Bartłomieja i zaczął piąć się po szczeblach kariery, a ja byłam żałośnie zadurzona. Spędzaliśmy wakacje w Indiach i Kalifornii, trzymaliśmy się za ręce podczas koncertów, odkrywaliśmy wspólnie nowe restauracje, dzieliliśmy nasze prywatne żarty i uwagi, które tylko my rozumieliśmy; w torebce nosiłam jego zdjęcie i wyjmowałam je od czasu do czasu ot tak sobie, żeby popatrzeć. Aż pewnej nocy musiałam wcześniej wyjść z rozgłośni, bo źle się

poczułam; kiedy dotarłam do domu, zastałam go w łóżku z moją współlokatorką. Ludzie mówią, że takie doświadczenie wpływa na całe dalsze życie.

Najgorszą rzeczą było to, że poczułam się wtedy kompletnie nic nie warta, zaś najlepszą, że umocniło to mój związek z rodzicami. Pognałam wtedy do domu, a oni trwali przy mnie, gdy wypłakiwałam sobie oczy, rozmawiali ze mną aż do rana, ze zrozumieniem przyjmując moje ataki hysterii i depresji, po prostu ze mną byli. Nie jestem pewna, jak bym sobie bez nich poradziła – czy w ogóle bym sobie poradziła. A kiedy samobójcze myśli już mnie opuściły, mogłam od nich odejść, nie czując się niczemu winna i nikomu dłużna. Chciałabym wierzyć, że pewnego dnia poczuję się na tyle bezpieczna, by znów zakochać się bez opamiętania i tym razem nie dać się zniszczyć, ale z kimkolwiek bym się nie związała, będzie on musiał pogodzić się z tym, że choć dam mu z siebie wiele, to zawsze będzie istniała część zarezerwowana tylko dla mych rodziców. Na tym etapie mego życia są oni moimi najbliższymi przyjaciółmi i nie jest to kwestia freudowskiego przywiązania; ja po prostu doceniam to, co zrobili, by mi pomóc. Oczywiście jest to nastawienie, które z czasem będzie musiało się zmienić.

Faza użalania się nad sobą już mi na szczęście minęła i zamieszkałam w innym mieszkaniu na Muswell Hill (tym razem bez współlokatorki). Steve jest moim drugim chłopakiem od czasu Wielkiej Katastrofy, ale wygląda na to, że za bardzo się do siebie zbliżamy, więc chyba nadchodzi czas, by powiedzieć sobie pa, pa; po prostu nie jestem jeszcze na coś takiego gotowa. Pracuję na stanowisku asystenta producenta programów informacyjnych w Czwórce BBC, przy czym dostałam tę robotę poniekąd przez przypadek, jako że z najniższym tytułem naukowym w zakresie średniowiecznej historii Europy uzyskanym w Sommerville miałam dość ograniczone możliwości rozpoczęcia jakiegokolwiek kariery. Szczerze mówiąc, żadna ze mnie maniaczka tego tematu, ale chciałam iść na Oksford. Teraz sama nie jestem pewna, czego chcę; z oczywistych względów jestem ostrożna w podejmowaniu jakichkolwiek osobistych zobowiązań. Mam dwadzieścia trzy lata, metr sześćdziesiąt wzrostu i jestem bardzo szczupła – chuda, mówiąc bez ogródek. Romantyczni pisarze powiedzieliby, że mam twarz w kształcie serca, osoby o mniej artystycznym zacięciu rzekłyby po prostu, że mam szerokie czoło i ostro zakończony podbródek. Moje usta są wąskie, oczy piwne, a włosy rudobrazowe, obcięte na pazia. Mam osiemdziesiąt centymetrów w bieuście – niech go szlag trafi – i całkiem zgrabne nogi, choć niestety przez większość dnia kryją się one w zwężanych ku dołowi spodniach.

Kiedy mama i tata wypuścili mnie znów spod swoich skrzydeł, wracałam co

jakiś czas do domu, by podładować akumulatory wiary we własne siły. Gdy zaczęłam stawać na nogi i zdałam sobie sprawę, że to dość egoistyczne z mojej strony, wyhamowałam trochę, ale nadal spotykam się z nimi regularnie; mieszkają niecałe pół godziny drogi samochodem ode mnie. A ponieważ byli dla mnie tacy dobrzy, poczułam, że muszę się nimi bardziej zainteresować. Jak więc ich postrzegam? Skoro ludzie twierdzą, że osobowość człowieka uwidacznia się w jego wyglądzie, może powinnam zacząć od ich opisanie.

Mama, gdy tylko stuknęła jej pięćdziesiątka, zaczęła szydzić z własnego wyglądu, choć nadal jest bardzo atrakcyjna: jest wyższa ode mnie, ma blond włosy – prawie naturalne, nieznacznie tylko rozjaśnione – i zgrabną figurę. Jej twarz jest... hm, to zależy, kiedy się na nią spojrzy. Stanowczo za rzadko się śmieje, ale gdy już to robi, wygląda cudownie z tymi iskierkami w błękitnych oczach. Cierpi jednak na regularne ataki czegoś, co ja i mój brat, David, nazywamy Wielką Melancholią, a wtedy wygląda tak, jakby była głównym żałobnikiem na zbiorowym pogrzebie wszystkich swych krewnych i znajomych. Nigdy nie poznaliśmy przyczyny tego stanu. Ona i tata są szczęśliwym małżeństwem, David i ja nie jesteśmy typem dzieciaków, które przysparzałyby jej zmartwień – w każdym razie na pewno nie teraz – a do tego ma wszystko, czego zapragnie, hordy przyjaciół i wiele zainteresowań. A mimo to... Sama nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć... Wydaje się, jakby tuż pod tą gładką powierzchnią znajdowało się coś, co ją bezustannie gnębi. Próbowałam z nią o tym rozmawiać, ale ona się wzbrania, mówi, że to nic ważnego. Jednak wiem, że kłamie, a po tym wszystkim, co jej wyznałam, chciałabym, by też mi zaufała.

Tata jest bankierem zarządzającym finansami małych firm i międzynarodowych korporacji. Należy do ludzi, którzy ładnie się starzeją – mężczyźni często mają pod tym względem więcej szczęścia niż kobiety – tak że jego twarz jest... Cóż, opisywanie twarzy jest takie trudne... Jest pociągła i dystygowana, jak u sportowca z tytułem magistra filozofii. Nie lubię mówić, jak bardzo jestem z nim związana, bo czuję się, jakbym zdradzała mamę, ale taka jest prawda. Pamiętam, że kiedy byłam malutka, czekałam na szcęk jego klucza w zamku, a wtedy biegłam, by go przywitać. Pewnie nie działo się to tak często, jak mi się teraz wydaje, ale jest to jedno z tych wspomnień, które wpływają na mój obecny stosunek do niego: ten szeroki uśmiech, kiedy stawia teczkę na podłodze i schyla się, by wziąć mnie w ramiona i podnieść nad głowę ze śmiechem – bohater, który nigdy nie zawiedzie. Niech wam nie przychodzi do głowy nic głupiego – to miłość bez żadnych cieni, a ja bardzo ją sobie cenię.

Tak więc poszczęściło mi się z rodzicami i z resztą krewnych też, bo nikt z

nich nie jest tak do końca okropny i wszyscy są na swój sposób interesujący. Nadal lubię chwile, kiedy jesteśmy wszyscy razem – teraz zwykle tylko w Boże Narodzenie.

David jest ode mnie o dwa lata młodszy i studiuje architekturę; jest nieprzyzwyczajony przystojny i próżny z tego powodu. A ja w swej złośliwości uwielbiam mówić wszystkim jego niezliczonym dziewczynom, że ma sztuczną szczękę, co jest oczywiście nieprawdą. Bardzo dobrze się rozumiemy, jak to brat z siostrą, kochając się i nienawidząc jednocześnie.

Dalsi krewni są tylko z mamy strony, jako że tata był jedynakiem, a jego ojciec znajduje się teraz w domu opieki, bo cierpi na tego cholernego Parkinsona. Jest mi z tym bardzo ciężko, choć staram się nie dawać tego po sobie poznać. Gdy byłam mała, dziadek był przesłodki, rozpieszczał mnie i Davida ponad wszelką normę, był niesamowicie cierpliwy i świetnie nas rozumiał. Wszystkiego, co wiem o winie, nauczyłam się właśnie od niego, to on jako pierwszy zabrał mnie do Paryża, gdzie spędziliśmy wiele godzin w Luwrze, i to on jako pierwszy uraczył mnie alkoholem. Teraz jest jak ruina pięknego domu, który się kochało i w którym się dorastało, i za każdym razem, gdy go widzę, chce mi się krzyknąć do Boga, jak mógł pozwolić, by coś takiego przytrafiło się takiemu kochanemu człowiekowi... Przepraszam, nie powinnam wchodzić na ten temat. Powinnam dać temu spokój.

Kiedy miałam piętnaście lat, postanowiłam, że chcę zostać pisarką, i wprawiałam się na mojej rodzinie. Opisałam wujka Tima – wtedy tak go jeszcze nazywałam – jako człowieka „skazanego na to, by grać na trójkacie w wielkiej orkiestrze życia”. (Moim ulubionym autorem w tym okresie był akurat Saki*, więc udzielił mi się jego styl). To zdanie świetnie go podsumowuje: gdy ludzie dokoła niego robili różne rzeczy, on zawsze pokornie czekał, by jeśli mu na to pozwolą, wnieść swój niewielki wkład. Ma zawsze skruszony, niezdecydowany wyraz twarzy, tak że nie można się zdecydować, czy należałoby pocałować go ze współczuciem, czy może spoliczkować we frustracji. Mogłabym przysiąc, że sypia w tej swojej tweedowej sportowej kurtce i zakłada do niej tylko różne spodnie. Jest nauczycielem w szkole podstawowej w Wilmsford, gdzie sam uczęszczał ponad czterdzieści lat temu; to tak, jakby jej nigdy nie opuścił. Claire, jego żona, wydaje się stłamszona, przywodzi mi na myśl gumową zabawkę wciśniętą w zbyt małe pudełko, która wciąż sprawia wrażenie, że lada moment pęknie. To nie dlatego, że jest żoną Tima; parę lat temu urodziło im się dziecko, które po niedługim czasie zmarło, a ona nie zaszła już więcej w ciążę. Pracuje jako niania w żłobku – klasyczny przypadek sublimacji instynktów – i bardzo mi jej żal, bo potrafię zrozumieć, jaka

jest sfrustrowana. Oboje sprawiają wrażenie w miarę zadowolonych z życia, ale czasem zastanawiam się, czy rzeczywiście są szczęśliwi – czy w ogóle kiedykolwiek *byli* szczęśliwi.

* Saki (właśc. Hector Hugh Munro) – pisarz angielski, żyjący w latach 1870-1916.

Dalej był brat bliźniak Tima; niby bliźnięta, a wydaje się, że pochodzą nie z tej samej planety. Przez połowę życia gardziłam Richardem, by przez drugą połowę darzyć go umiarkowanym podziwem. Jest kompletnym, stuprocentowym draniem – i cholernym męskim szowinistą – ale jako dziennikarka muszę przyznać, że to genialny profesjonalista. *Post* oczywiście jest główną gazetą, jednak ponad trzy miliony ludzi chcą czytać ją każdego ranka. Richard ma bardzo surową twarz (wygląda jak James Mason w wyjątkowo podłym nastroju) i krótko obcięte, szesnaste do przodu włosy; jego zęby wyglądają, jakby lubił żuć drewno. Odkąd rozstał się z żoną, Kate, zaliczył pokaźną serię panienek, typową dla posiadającego określone potrzeby mężczyzny w średnim wieku; jego najnowszą zdobyczą jest Stephanie o potencjale intelektualnym ameby i masie gruczołów mlecznych trzykrotnie większej niż u przeciętnej kobiety. Córki Richarda też są jak ogień i woda. Kathy, ta starsza, studiuje angielski w Balliol, za to siedemnastoletnia Emma dołączyła do bandy typków spod ciemnej gwiazdy w Hackney, zamieszanej w narkotyki i Bóg wie co jeszcze. Jedną z cech przemawiających na korzyść Richarda jest to, że szczerze kocha obie córki, a Emmą przejmuje się bardziej, niż skłonny byłby to przyznać.

Następnie jest mama mojej mamy, którą absolutnie uwielbiam. Kiedy byłam mała, mówiłam na nią baba, później przez jakiś czas babunia, ale teraz jest babcią, zaś kiedy chcę ją za coś zbesztać, nazywam ją babucha. Skończyła już siedemdziesiąt lat, ale nikt by się tego nie domyślił: jest drobna, figlarna, uszczypliwa, kiedy uzna to za stosowne, i lubi wtrącać sprytne aluzje, że gdyby opowiedziała historię swego życia... Mnie wystarczy, że wiem to, z czego mi się zwierzyła – z mojej słodkiej babuni było w młodości niezłe ziółko. Jednak mama i jej bracia postrzegają ją tylko jako starzejącego się rodzica, przez co ona także traktuje ich inaczej niż mnie. Pewnie to skutek tego, jak przyzwyczaili się ją traktować, kiedy byli młodzi, jednak jest wiele rzeczy, o których oni nie wiedzą – pewnie nawet nie chcieliby wiedzieć – a ja nie mogę im o nich powiedzieć. Najgorzej jest z Timem, który wciąż mieszka blisko babci w Manchesterze i odwiedza ją przynajmniej parę razy w tygodniu. Jest to tak oczywisty przejaw syndromu chłopca, który nigdy nie dorósł, że chwilami wydaje mi się wręcz śmieszny, ale czasem tak sobie myślę, że jest w jego zachowaniu coś, co denerwuje babcię. Nie, może nie denerwuje... martwi w jakiś sposób. Niekiedy zastanawiam się, czy nie

jest to związane z tajemnicą, której nigdy nie zdołałam odkryć – co stało się z mężem babci.

Wiem tylko tyle, że zmarł w 1959 roku z powodu guza na mózgu po tym, jak przez ponad rok pozostawał w stanie śpiączki. Jako że stało się to na dziesięć lat przed moim urodzeniem, znaczył dla mnie jedynie tyle co imię i twarz na zdjęciach, na których wydaje się strasznie staromodny – zresztą jak wszyscy. Pierwszą rzeczą, która zwróciła moją uwagę, był fakt, że mamie najwyraźniej trudno było o nim mówić, co wydawało mi się dziwne, bo gdy zaczęłam zadawać pytania, nie żył już od dwudziestu pięciu lat; przecież po tak długim czasie nie mogła go już opłakiwać. Z rozmów z nią mogłoby wynikać, że jedyne wspomnienie, jakie o nim zachowała, to lanie, jakie jej sprawił, bo kupiła sobie jakąś płytę; wyciąganie tego z niej było jak wrywanie zęba i poza tym już nic więcej mi nie powiedziała. Wujkowie byli nieco bardziej rozmowni, ale wyglądało to tak, jakby wspominali dwie zupełnie różne osoby. Richard opisał go jako „starego, nudnego pierdziela”; nawet w jego ustach było to dość zaskakujące określenie na własnego rodzica. Tim natomiast mówił coś kompletnie przeciwnego, był zenująco sentymentalny, wciąż powtarzał, jakim to wspomniałym był ojcem, jak uczył ich gry w krykieta i jaka to szkoda, że jego wnuki nigdy go nie poznały. Wydawało się przy tym, że wszyscy troje ustalili sobie pewien limit tego, co mogą powiedzieć; a ja, pytając, niekiedy czułam się jak intruz.

Już prawie o tym zapomniałam, aż kiedyś, jakiś rok później, sama pojechałam do babci do Manchesteru. Pewnego popołudnia gawędziłyśmy sobie, podczas gdy ona haftowała, a zdjęcie dziadka na biurku przypomniało mi o całej sprawie.

– Jaki był... chyba powinnam powiedzieć dziadek... Jaki on był? – zapytałam.

Rzuciła mi znad okularów spojrzenie mówiące: „Co ty teraz knujesz, młoda damo?”. – Dziadek? Tak, chyba tak właśnie powinnaś na niego mówić. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Wzruszyłam ramionami. – Po prostu jestem ciekawa. Nigdy właściwie o nim nie rozmawiałyśmy. Czy jestem do niego choć trochę podobna?

Zaśmiała się. – Ani odrobinę. Musiałabyś się przenieść do zeszłego stulecia. A i tak nie jestem pewna, czy potrafiłby sobie z tobą poradzić.

– Ty jakoś sobie radzisz.

Przez chwilę jakby się namyślała, po czym odłożyła robótkę, wstała z fotela i podeszła do biurka stojącego w rogu pokoju, otworzyła górną szufladę i wyciągnęła album ze zdjęciami.

– Tak, jakoś sobie radzę – potwierdziła. – I z tym faktem też nie wiem, jak by

sobie poradził. Obejrzyjmy te zdjęcia.

Po raz pierwszy wtedy zdałam sobie sprawę, jaką piękną była kobietą. Były tam fotki z ich miodowego miesiąca w Walii, na których wyglądała absolutnie bosko; cechował ją typ urody, którego nie mają się wszelkie zmiany w modzie. Dziadek – nie, nie umiem go tak nazywać; będę na niego mówić Harold, tak jak ona – Harold był również całkiem przystojny, ale jedynie według ówczesnych standardów: włosy na brylantynę i mały wąsik, surowy wyraz twarzy i sztywna postawa, pomyślałam, jak na mężczyznę, który powinien akurat cieszyć się życiem.

– Ale jaki on był? – spytałam ponownie, gdy tak przeglądałyśmy zapis kolejnych lat, aż doszłyśmy do fotografii z dziećmi. – Na niektórych zdjęciach wygląda na strasznie nadętego.

– Bo był nadęty – uśmiechnęła się. – Choć ja go za takiego nie uważałam. Przynajmniej wtedy. Był bardzo pryncypialny. Zabawa nie była dla niego rzeczą naturalną.

– I nie drażniło cię to? Ty przecież lubisz się bawić.

– Dzięki. – Zmierzwiała mi włosy. – Staram się, jak mogę. Ale Harold po prostu nie był taki. Nie sądzę, by mnie to drażniło. Pogodziłam się z tym. Był bardzo dobrym mężem – i dobrym ojcem.

Opowiadała o nim stare historie – żadna z nich nie była szczególnie interesująca – w miarę jak przewracałyśmy kartki, aż skończyły się fotografie. Ostatnia miała komentarz: „Marzec 1958: Harold dwa dni przed tym, jak zachorował”. Babcia popatrzyła na nią przez chwilę, po czym zamknęła album.

– Oczywiście dalej nie ma już żadnych jego zdjęć – rzekła i trudno było nie dostrzec drżenia w jej głosie.

– Co się właściwie stało? – zapytałam. – Wiem, że miał guza na mózgu, ale czy naprawdę nie można było nic zrobić?

– Nie w tamtych czasach. – Wodziła palcami po słowie „album”, wygrawerowanym złotymi literami na okładce. – Być może teraz miałby jakieś szanse, ale wtedy mogli jedynie zaproponować podtrzymywanie go przy życiu... O ile można to było nazwać życiem. Powiedzieli mi, że może tak wegetować przez wiele lat.

– Ale zmarł całkiem szybko, nieprawdaż?

– Tak. To było... niech sobie przypomnę... musiało to być w jakieś piętnaście miesięcy po tym, jak zachorował. Całkiem nagle, ale bardzo spokojnie, w szpitalu.

Ścisnęłam jej dłoń, trochę na pociechę, a trochę, żeby przeprosić. – Wybacz. Nie chciałam zrobić ci przykrości.

– Nic się nie stało. Przechodzisz teraz przez ten etap emocjonalnego rozwoju, kiedy ból wydaje ci się czymś niezwykle dramatycznym. To całkiem normalne, ale kiedy będziesz miała tyle lat co ja, odkryjesz, że... – Spojrzała z poczuciem winy. – Och, kochanie, chyba jestem protekcjonalna, nieprawdaż?

– Trochę – odparłam.

– W takim razie teraz moja kolej, by przeprosić. – Zabrała album z powrotem do biurka. – Oczywiście początkowo bardzo to bolało, ale życie musi toczyć się dalej.

– Jak to wpłynęło na mamę i chłopców?

Przez chwilę nie odpowiadała i wydawała się niezwykle skoncentrowana na chowaniu albumu z powrotem do szuflady.

– Chodzi ci o reakcję natychmiastową czy o tę późniejszą? – zapytała w końcu.

– Chyba jedną i drugą.

Patrzyła na mnie z drugiego końca pokoju, zamyślona i zaciekawiona.

– Czy rozmawiałas o tym z którymkolwiek z nich?

– Tak... właściwie nie, niezupełnie. Zapytałam, jaki on był, ale...

– Co odpowiedzieli? – Jej wtrącenie zabrzmiało nadspodziewanie ostro.

– Słucham? Och... nie pamiętam teraz wszystkiego. To było całe wieki temu. Sądzę, że mama nadal za nim tęskni, nawet po tak długim czasie. Wujek Tim opowiedział, jak dziadek uczył ich grać w krykieta. – Komentarz Richarda zachowałam dla siebie. – Szczerze mówiąc, wyglądało to tak, jakby nie chcieli zbyt wiele powiedzieć.

– Doprawdy? – Wydawało się, że ją to zainteresowało. – A czy powiedzieli, że go kochali?

– Oczywiście, że tak. – Jednak po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że właściwie tylko Tim to powiedział.

Babcia wróciła na swój fotel i zdawało się, że znów popadła w zadumę.

– A dzień, kiedy zmarł? Czy opowiedzieli ci o tym?

– Chyba o tym nie wspominali.

Zaczęłam się zastanawiać, gdzie ja właściwie zabrnęłam; gdy teraz to wspominam, dociera do mnie, że od tego popołudnia moje relacje z babcią zaczęły się zmieniać, że od tego dnia stawałam się jej coraz bardziej zaufaną powierniczką.

– Poza stwierdzeniem, że cały czas był w szpitalu i nigdy się nie obudził, i... On zwyczajnie umarł, prawda?

– Tak, zwyczajnie umarł... Czy powiedzieli ci, że byli z nim sami, kiedy to się stało?

– Co takiego? – To naprawdę mną wstrząsnęło. – Nie. A byli?
– Tak. Ja zwykle spędzałam z nim każde popołudnie w tygodniu, ale w sobotę chodzili oni, by dać mi szansę zrobienia zakupów i załatwienia innych spraw, na które nie starczało czasu. Ze szpitala zadzwonili do mnie tuż po tym, jak wróciłam do domu, ale kiedy tam dotarłam, twój dziadek nie żył już od pół godziny.
– I oni byli tam, kiedy to się stało? To musiało być dla nich straszne... I dla ciebie.

– Dla mnie nie było to takie okropne. Oczywiście przeżyłam wstrząs, bo nikt nie spodziewał się tego tak wcześnie, ale zdążyłam pogodzić się z faktem, że prędzej czy później musi to nastąpić. Co do ich odczuć... hm, mówiąc zupełnie szczerze, Roberto, sama nie wiem. Ale jeśli nie chcą o tym rozmawiać, to może lepiej zostawić tę sprawę w spokoju. – Zegar na kominku wybił czwartą. – Wielkie nieba, spójrz na zegar! Mam umówioną wizytę u fryzjera za kwadrans. Wróć przed wpół do szóstej. Zrób sobie herbatę i pooglądaj telewizję.

Był to całkiem naturalny powód, by zakończyć rozmowę, jednak mnie nagle ogarnęło uczucie, że była w pewnym sensie szczęśliwa, mogąc się wykreścić. Wstała, założyła płaszcz i powiedziała mi, bym poczęstowała się biszkoptami z figą, za którymi, jak uważała, nadal przepadałam (lubiłam je, to fakt, ale zaczynałam już dbać o linię). Kiedy wyszła, wyjęłam ponownie album i przejrzałam go jeszcze raz, myśląc o mojej mamie i wujkach przy łóżku umierającego ojca; to było potworne, ale takie rzeczy przytrafiają się wielu osobom. Jeśli nigdy się nie widziało nieboszczyka, to myśl o jego zobaczeniu wywołuje swego rodzaju przepelnioną wstrętem fascynację, coś, czego chcielibyśmy doświadczyć, a zarazem przed czym się wzbraniamy. Byli nastolatkami, więc próbowałam wyobrazić sobie, jak ja bym się czuła, gdybym siedziała w szpitalnej sali przy łóżku mego ojca, milczącego i sparaliżowanego. Od roku. Przez kilka pierwszych wizyt musiało im być niezręcznie i nieswojo; nie mogli zrobić nic, ale myśleli, że to by było niesmaczne, próbować zachowywać się normalnie, jak gdyby nigdy nic. Po jakimś czasie pewnie przyzwyczaili się do tego, a nienormalność stała się częścią ich życia. I nagle pewnego popołudnia zdali sobie sprawę, że on nie żyje. Jak? Musiało być coś, co przynajmniej jedno z nich zauważyło. A później co? Czy mama rzuciła się na niego ze szlochem? Czy wszyscy płakali? Czy chcieli, żeby była przy nich mama? Ja bym chciała.

Potem zdołałam wyobrazić sobie, jak czułabym się, gdyby to był tata, ale nie potrafiłam odgadnąć towarzyszących im wtedy myśli. Nie opuszczało mnie jednak przekonanie, iż przecież to niemożliwe, by zapomnieli, że tam wtedy byli, a

jednak żadne z nich o tym nie wspomniało. Dlaczego? Bo nawet po tylu latach było to zbyt bolesne? Bo nadal dręczyło ich poczucie winy, że nie zauważyli żadnych niepokojących objawów na tyle szybko, by zawołać pielęgniarkę i być może uratować ojca...? A może oni nie *chcieli*, by wyzdrowiał, i widzieli, że coś jest nie tak, ale nie zrobili nic, aż było już za późno? I czy to właśnie podejrzewała babcia? Że gdyby tam była, to natychmiast zawołałaby pomoc, a on by przeżył? Jednak niezależnie od wszystkich ich działań i intencji, i tak pewnie by już nie żył, więc to, że pozwolili mu umrzeć w spokoju, mogło być uznane za akt dobroci. Rozpatrywałam to na wszystkie możliwe sposoby, nie wiedząc nawet, czy cokolwiek z tego, co sobie wyobrażałam, jest prawdą, i wciąż chodziło mi to po głowie, gdy następnego dnia po drodze ze szkoły do domu wpadł Tim. Jak zwykle zirytował mnie sposób, w jaki mnie potraktował, jakbym nadal była uczennicą – sam nigdy nie dorósł i chyba myślał, że ja też pozostałam dzieckiem – a jego zachowanie w stosunku do babci omal nie doprowadziło mnie do szału. Traktował ją, jak gdyby była zniedołężniałą staruszką, a nie sprytną zaradną kobietą, jaką ja znałam. Kiedy wychodził, poszłam za nim do samochodu.

- Babcia opowiadała mi o dziadku – oznajmiłam jak gdyby nigdy nic. Już miał włożyć klucz do zamka, ale się powstrzymał. – Co mówiła?
 - Opowiadała, jaki był. Interesowało mnie to.
 - Mówiłem ci już – powiedział. – Był bardzo miły.
 - Rozmawialiśmy też o tym, jak umarł – dodałam. – Nie wiedziałam, że ty, mama i wujek Richard byliście tam, kiedy to się stało.
 - Tak ci powiedziała? – wyrzucił z siebie pytanie.
 - Tak. Przecież to chyba prawda? Byliście tam tylko we trójkę. Ale żadne z was nie wspomniało o tym, gdy was o niego pytałam.
 - Nie? – Spuścił wzrok, jakby chciał się upewnić, że dobrze wkłada kluczyk.
 - No cóż, są rzeczy, o których się nie mówi.
 - Dlaczego? – spytałam. Nie pozwoliłam mu się tak łatwo wywinąć.
 - Kiedy będziesz starsza, sama to zrozumiesz. – Zamek szczęknął i Tim otworzył drzwi samochodu.
 - Co zrozumiem? – Rozwścieczyło mnie to, że był taki napuszony. – To musiało być straszne, ale nie ma się czego wstydzić.
 - Oczywiście, że nie. – Bronił się. – Ale nie rozmawiamy o tym.
 - Nigdy? – nalegałam. – Nawet między sobą?
 - Hm, czasami... Czy ty nigdy nie przestaniesz zadawać pytań, Roberto?
- Nim zdołałam cokolwiek powiedzieć, on był już w samochodzie i zapalał silnik. Nie pomachał mi, odjeżdżając.

Ciągle podrażniona jego wyniosłością, poczułam lekkie wyrzuty sumienia, jakbym w swej bezdusznosci próbowała otworzyć starą, bardzo bolesną ranę. Tim potrafi być wkurzający, ale charakteryzuje go wrażliwość i delikatność, a naciskanie go w taki sposób nie było z mojej strony miłe.

Ale... Och, sama nie wiem, co to jest za „ale”. Chodzi mi chyba o to, że stało się to tak dawno temu i że z pewnością pogodziliby się już z tym do teraz, i że istnieje jeszcze wiele innych nieuchwytnych rzeczy.

I przypomniało mi się, jak się zachowywali, gdy marzyłam o zostaniu pisarką, gdy próbowałam wyciągnąć coś z mojej rodziny, by mieć materiał dla swojej twórczości, i byłam załamana, że taka z nas nudna, zamożna, przeciętna rodzina klasy średniej, dokładnie taka jak wszystkie inne. Jane Austen może by coś z tego wykrzesła; ja nie. Pragnęłam neurozy sióstr Bronte, biedy Dickensa, namiętności Dantego i Beatrycze; wystarczyłyby mi nawet potknięcia Somerseta Maughama. Ale wszystko, co mi zaoferowano, było szare i do niczego się nie nadawało; nie padło choćby jedno słóweczko o tym wstrząsającym popołudniu w szpitalu. Minęło od tamtego dnia tyle czasu, że oczywiście nie ma to już większego znaczenia, ale czasami zastanawiam się, dlaczego trzymali to w sekrecie, tak jakby było to coś wstydliwego.

ROZDZIAŁ DRUGI: NAOMI

HSA581309

PAHOME

AP

12:11

POLICJA Zwłoki

Dr Patrick Evans, stojący na czele Organizacji Pomocy Dzieciom w Hertfordshire i Północnym Londynie, opisał Naomi Stansfield jako jedną z najbardziej aktywnych osób zbierających fundusze.

„O ile ktoś na tym świecie może mieć serce ze złota, to tą osobą jest Naomi – powiedział. – Nie zdarzyło się jeszcze, by coś było dla niej zbyt kłopotliwe, i zawsze jest wyczulona na potrzeby innych ludzi. Jest jedną z najmiłszych osób, jakie znam, niezwykle otwartą dla wszystkich. Nie ma w niej chyba niczego, co mogłoby podlegać krytyce. Niesamowicie kocha swoją rodzinę, a wszyscy jej członkowie są sobie bardzo bliscy, mimo iż matka mieszka tak daleko.

Te morderstwa musiały zostać popełnione przez kogoś z zewnątrz. Kilka tygodni temu w tej okolicy dokonano napadu rabunkowego z bronią w rękę i jestem przekonany, że stało się to ponownie, tyle że z bardziej tragicznym skutkiem.”

Najważniejsze dla mnie jest to – i tylko dzięki temu udało mi się przetrwać – że nie jestem już Naomi Barlow. Jestem Naomi Stansfield i nie chodzi tu tylko o sam fakt zawarcia związku małżeńskiego, ale o wszystko, co mnie na skutek tego teraz otacza. Trwa to już tak długo, że wydaje się najzupełniej naturalne; nie żyję w zakłamaniu – ja po prostu stałam się inną osobą. Charles pracował dla Conrad International, kiedy się pobraliśmy w 1967 roku, osiem lat po śmierci ojca, ale w 1983 roku przeniósł się do Kennet Bolingbroke. Jego zawód wymaga częstych spotkań towarzyskich z wielkimi tego świata, z osobistościami z zagranicy, z dyplomatami, wysoko postawionymi rządowymi urzędnikami, okazjonalnie nawet z przedstawicielami królewskiego rodu. Mam pełną szafę ubrań na te okazje, kiedy odgrywam doskonałą żonę biznesmena na wysokim stanowisku, uprzejmą i lekko uległą wobec mężczyzn, wobec kobiet okazującą zainteresowanie ich dziećmi i tym, dokąd jadą na wakacje. Mam też nieprzebraną kolekcję zagajeń do grzecznościowych rozmówek i podczas każdej konwersacji staram się nawiązać

do jakichś trzech tematów.

W domu, w Brookmans Park – na przedmieściu Hertfordshire, pół godziny od centrum Londynu – także robię wszystko, by dobrze spełnić swoją funkcję. Udzielam się w radzie szkoły, w swojej parafii, organizuję zbiórki pieniędzy dla Czerwonego Krzyża i Organizacji Walki z Rakiem, kilka godzin dziennie spędzam jako sprzedawczyni w sklepie charytatywnym Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, bywam gospodynią spotkań przy kawie, podczas których gromadzimy fundusze na różnorakie cele, wykonuję niektóre prace biurowe dla Stowarzyszenia Konserwatystów. Charles i ja przynajmniej dwa razy w miesiącu chodzimy do teatru, a nasza willa nad Dordogne w południowej Francji jest równie luksusowa i elegancka jak nasz dom. Od córki zdolnego inżyniera, przedstawiciela klasy średniej z Manchesteru, dzieli mnie niewyobrażalny dystans; i tak musi być. Moi obecni przyjaciele i wielbiciel – byłam już podrywana, jak najbardziej kulturalnie, przez ambasadora, przez podstarzałego kawalera Orderu Świętego Michała i Świętego Jerzego, a przy jednej, bardzo denerwującej okazji przez żonę czyjś prywatnego sekretarza – wszyscy oni byliby zszokowani, gdyby dowiedzieli się o niektórych zdarzeniach, jakie miały miejsce po tym, jak Naomi Barlow uciekła z krzykiem od wywołującego wyrzuty sumienia ciała jej martwego ojca.

W ciągu tego roku, gdy leżał chory, zaczęłam znajdować sobie chłopców. Nie było to trudne, bo byłam dość atrakcyjna, ale nigdy bym się na to nie poważyła, kiedy on był w domu; wygoniłby każdego, a mnie kazałby się skupić na nauce. Mama niczemu się nie sprzeciwiała – i tak miała dosyć na głowie – tak więc, jak większość moich rówieśniczek, zaczęłam obściskiwać się na siedzeniach w tylnych rzędach kina (zadowolona, kiedy wracałam do domu, że nylonowe bluzki się nie gniotą) i miętosić nabrzmiąle rozporki przy akompaniamencie zniecierpliwionych żądań, by naciskać mocniej. Bywało to denerwujące, kiedy chciałam obejrzeć film, ale co mi innego pozostało, skoro to on zapłacił za bilety. Zaczęłam również pić cydr i dopiero po wielu latach dowiedziałam się, że zawierał on więcej alkoholu niż piwo. Jednak gdy niezdarne męskie palce odpinały guziki mojej bluzki i męczyły się z zapięciem stanika, zawsze wiedziałam, kiedy powiedzieć stop, choćby nie wiem ile trudu i silnej woli mnie to kosztowało.

W ekstremalnych sytuacjach przekonałam się, że obraz mojego nieprzytomnego ojca był doskonałym zabójcą namiętności, i często się do niego uciekałam. Z powodów, których nigdy nie potrafiłam zrozumieć, okłamywałam dziewczyny w szkole, sprawiając wrażenie, że stało się o wiele więcej, niż się stało, ale 17 czerwca

1959 roku nadal byłam lekko tylko skalaną dziewicą. Pogrzeb ojca odbył się tydzień później, a w dwa tygodnie po nim płakałam z bólu, gdy w ciepły, późny wieczór, w zakurzonej, wybujałej trawie na skraju terenów rekreacyjnych w Wilmsford z chłopakiem z ostatniej klasy, którego imienia nawet nie pamiętam, za to pamiętam, że miał trądzik na szyi, utraciłam swą niewinność. Nie, to nieprawda, swą niewinność straciłam w tamtej szpitalnej sali.

We wrześniu następnego roku rozpoczęłam studia na kierunku literatura angielska na uniwersytecie w Sheffield; gdyby dawali tytuł za ciupcianie, ukończyłabym uniwersytet z wyróżnieniem (moje pokolenie bało się bomby atomowej, a nie AIDS). Nie pamiętam już teraz imion połowy z tamtych chłopaków i nigdy nie odważyłam się nawet policzyć, ilu ich w sumie było; zdarzyło się, że w ciągu tygodnia miałam czterech. To był bezwzględny, pozbawiony znaczenia, nie kończący się seks. Palił mnie gniew i pożądanie, jakbym była głodującą kobietą, którą ktoś wpuścił do sklepu z jedzeniem. Trwało to prawie do końca studiów, aż pewnego ranka na początku ostatniego roku obudziłam się w swojej kawalerce i zauważyłam, że mój ostatni amant już wyszedł. Żadnego liściku, żadnego szeptanego pożegnania czy podziękowania; po prostu przeleciał mnie i poszedł. Coś wtedy we mnie zaskoczyło i rozplakałam się, po raz pierwszy od śmierci taty, po czym uciekłam w osamotnienie, żeby się nad sobą zastanowić.

Zrozumiałam powód, dla którego to robiłam. Ponieważ zabiłam ojca, musiałam się go pozbyć ze swojego życia poprzez zachowanie jak najbardziej niepodobne do tego, jakiego po mnie oczekiwał. Przez dwa lata walczyłam z jego duchem. Spójrz na mnie. Niemożliwe, żebym była twoją córką. To nie jest twoja porządna panienka, Naomi Barlow. To dziwka, która rozbierze się dla każdego faceta, któremu się spodoba, a jest ich mnóstwo. Pieprzono mnie w łóżku, na podłodze, na tylnym siedzeniu samochodu, pod ścianą na pijackiej balandze. Jeżeli chcesz więcej dowodów, zrobię to z dwoma naraz, każę to komuś sfotografować, może nawet... Dlaczego? Bo to znaczy, że nie jestem twoją córką, rzecz jasna, a ja muszę mieć tę pewność, bo jeśli jestem twoją córką, to *nie mogę tego znieść!* Nie potrafię żyć z tym, co ci zrobiłam! Proszę. Odejdź. Zostaw mnie w spokoju...

Nieuchronnie zwróciłam się na jakiś czas ku religii, nadal uciekając, lecz tym razem w ubraniu. Spróbowałam buddyzmu, znalazłam sobie jezuitę, z którym mogłam porozmawiać, czytałam Julianę z Norwich*, wzięłam nawet udział w odradzającym spotkaniu z Billym Grahamem*, gdzie zapłaciłam dziesięć szylingów za to, by zostać zbawioną. Przekonałam siebie samą, że kroczę bardzo

chwajnie ku odkupieniu i przez krótki czas rozważałam nawet niedorzeczny pomysł, by zostać zakonnicą. Ta faza minęła, jak wszystko inne, i podryfowałam z powrotem na łono znajomego, bezpiecznego kościoła anglikańskiego, chwytając się mglistej idei życia spędzonego na czynieniu dobra jako formy pokuty. W przerwach między modłami przykładałam się do nauki i moje stopnie niewiarygodnie się poprawiły. Aż pewnego dnia ostatniego semestru, Paul Fletcher, jeden z moich wykładowców, zaprosił mnie do swojego domu. Moją natychmiastową reakcją było podejrzenie, że usiłuje mnie poderwać – stałam się przewrażliwiona na punkcie seksu i traktowałam go jak diabła czyhającego tylko, by mnie ponownie uwięzić – ale powiedziałam sobie, że muszę być bardziej wyrozumiała. Był pod czterdziestkę, miał żonę i rodzinę i nigdy nie zdarzyło się nic, co mogłoby zasugerować, iż jest typem wykładowcy, który uważa dostęp do łatwych studentek za jedną z korzyści wypływających z wykonywania tego zawodu. Jednak on, zapraszając mnie do siebie po tym, jak omówiliśmy jeden z moich esejów, okazał się jedynie nadspodziewanie zatroskany i wrażliwy.

* Juliana z Norwich (1342-ok. 1416) – mistyczka angielska.

* Billy Graham – urodzony w 1918 roku amerykański kaznodzieja, baptysta.

– Czy coś się dzieje? – zapytał.

– Co pan ma na myśli?

– Ostatnio stałaś się... zamknięta w sobie. Zawsze mogłem liczyć na to, że zadasz jakieś dziwne pytanie, a teraz po prostu siedzisz jak mysz pod miotłą... i wyglądasz na bardzo nieszczęśliwą.

Natychmiast zamknęłam się w swojej skorupie; nadal byłam zbyt wyczulona, by przyjąć ofiarowaną troskę. – Wszystko jest w porządku. Po prostu ostatnio sporo pracuję.

– W pełni zdaję sobie z tego sprawę i jestem bardzo zadowolony – rzekł zwyczajnie. – Zwykle pracowałaś tylko na pół gwizdka. Miałem wrażenie, że twoje życie towarzyskie zabiera ci mnóstwo czasu.

– Wydaje mi się, że to tylko i wyłącznie moja sprawa... – Nie byłam tego ranka w nastroju do zwierzeń.

– Masz rację – zgodził się. – Ale jeśli nadal będziesz się tak przykładać, to możesz skończyć studia z całkiem przyzwoitą notą. No dobrze. Do zobaczenia za tydzień o tej samej porze. Dziękuję, Naomi.

Zaczął czytać pracę kogoś innego, ale kiedy wychodziłam, odezwał się znowu, nie podnosząc wzroku.

– Masz może przypadkiem wolne niedzielne popołudnie?

- Dlaczego pan pyta?
- Moja żona i ja zaprosiliśmy kilkoro studentów i wykładowców na drinka w ogrodzie. Może chciałabyś przyjść?
- Och. – Był to pierwszy raz, kiedy zaproponował spotkanie nie mające związku z nauką. – Dziękuję. Tak, bardzo chętnie.
- W takim razie około trzeciej. – Przewrócił kartkę i zanotował jakieś swoje uwagi. – Wiesz, gdzie mieszkamy, prawda? W dawnej plebanii na rogu Warwick Road. I nie przejmuj się zbytnio, jeśli z jakichś powodów nie uda ci się przyjść. To zupełnie nieformalne spotkanie.

Szłam do domu, zastanawiając się nad zaproszeniem. Nagle dotarło do mnie, że doktor Fletcher zainteresował się mną, bo w końcu zaczęłam pracować. Wielu z jego kolegów robiło to z zupełnie innych powodów i nie zawiodłam ich, w jednym przypadku stając się przyczynkiem do zdrady małżeńskiej. Postanowiłam pójść, jako że pasowało to do mojego nowego, czystsze go ja.

Kiedy się pojawiłam – buty na płaskich obcasach, zapięta pod szyję bluzka, krzyżyk na złotym łańcuszku, gładka czarna spódniczka, zero makijażu – drzwi wejściowe były otwarte i na końcu długiego korytarza zobaczyłam kuchnię na tyłach domu. Za jej otwartym oknem widać było ogród; mieszane głosy dochodziły całkiem wyraźnie. Mimo wszystko zadzwoniłam i czekałam, aż w drzwiach kuchennych pojawiła się kobieta z kieliszkiem wina w dłoni.

- Witam! Nie stój tam tak. Tu każdy robi, co mu się podoba.

Zaczekała, aż do niej podeszłam. Na północy mówi się, że takie osoby są przytulne, co jest po prostu bardziej uprzejmym określeniem na grubasa; jej nadwaga była tak duża, że nawet długa, obszerna bawelniana suknia nie była w stanie tego ukryć. Miała łagodną, pyzată twarz i kręcone, kasztanowe włosy.

- Margaret Fletcher. – Wyciągnęła dłoń, gdy do niej podeszłam. – A ty kim jesteś?

- Naomi Barlow. Dziękuję za zaproszenie.

- Naomi? Ach tak, Paul wiele o tobie mówił. Wejdz i poznaj wszystkich. I tak pewnie większość z nich znasz.

Było to typowe uniwersyteckie zgromadzenie, intelektualne dyskusje i polityczne polemiki mieszały się z rozmowami o niczym. Fletcherowie mieli czwórkę małych dzieci, które biegały wkoło, krzycząc. Był tam też niewyczerpany zapas niedrogięgo wina i piwa. Poważni, młodzi, długowłosi mężczyźni omawiali skomplikowane zagadnienia ze swoimi wykładowcami, afektowana studentka drugiego roku strasznie się podniecała, mówiąc o Fidelu Castro; ktoś usiłował przekonać nauczyciela muzyki, że istnieje bezpośredni związek pomiędzy Wagnerem

a Stanem Kentonem*; jeden z moich byłych kochanków – o dziwo, znalazł się tam tylko jeden – na każdy argument odpowiadał, cytując nihilizm, aż kazano mu się zamknąć. Był to jeden z najgorętszych dni w roku.

* Stan Kenton (1912-1979) – amerykański pianista i kompozytor jazzowy.

Doktor Fletcher przywitał mnie i przedstawił tym, których nie znałam. Po kilku drinkach odprężyłam się i włączyłam do dyskusji. Okazało się, że Margaret Fletcher ukończyła logikę i filozofię moralną, lecz wszystko to musiało pójść w odstawkę, gdy rodzina się powiększyła, i najwyraźniej cieszyła ją możliwość konwersacji na poziomie dorosłych, a ja odkryłam, że też dobrze się bawię. Poczulałam nawet żal, że nie zachowywałam się tak, by wcześniej już otrzymać tego typu zaproszenie. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że przestałam nieśmiało bawić się krzyżykiem, jak gdyby był to talizman mający dodać otuchy mej odradzającej się duszy. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale słuchano mnie, a ja zachowywałam się dokładnie tak, jak życzyłby sobie mój ojciec. To popołudnie otwierało nowe możliwości; może mogłabym podjąć studia podyplomowe, napisać pracę magisterską, zostać wykładowcą, uciec w życie czystego intelektualizmu... i wtedy ktoś wspomniał okrutne morderstwo, które zostało popełnione kilka tygodni wcześniej – mężczyzna udusił dziecko.

Sprawa ta rozpętała na nowo burzę dyskusji dotyczącej kary śmierci. Kwestia ta wywołała głośne protesty w roku 1955, kiedy powieszono Ruth Ellis, i Wielka Brytania zmierzała do jej zniesienia, choć ostatecznie doszło do tego dopiero w roku 1969. Każdy z zebranych z pasją prezentował swe poglądy, poparte uprzedzeniami, statystykami i nastawieniem moralnym. Jako że oczywiście nie było w tej kwestii zgody, atmosfera się zagęściła, a ja zapragnęłam znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie tam. Twarze zaczerwieniły się od wina i emocji, a Margaret Fletcher prawie pobiła się z wykładowcą matematyki.

– To bzdury, Bernard! – Prawie wypluła mu te słowa w twarz. – Nie rozmawiamy tu o niepodważalnych prawdach matematyki. Dwa plus dwa zawsze równa się cztery, ale nie możesz zastosować tak uproszczonego rozumowania do życia i śmierci. Powieszenie czy jakikolwiek inny sposób egzekucji jest barbarzyństwem i oznaką porażki każdego społeczeństwa, które na to pozwala. Prawo określa to jako usprawiedliwione zabójstwo, i od tego właśnie powinniśmy wyjść w całej naszej dyskusji.

– Chyba nie sugerujesz, że *wszystkie* morderstwa powinny być usprawiedliwione? – zapytał.

– Na początek zdefiniuj słowo „usprawiedliwione” – warknęła.

– Nie jestem pewien, czy potrafię, ale wygląda na to, że prawo sobie jakoś z tym radzi.

Zamruczała ze zniecierpliwieniem: – To nie jest odpowiedź. Prawda, Naomi?

– Słucham? – Miałam nadzieję, że zapomniała, iż stoję obok niej. – Przepraszam, ale jakie było pytanie?

– Czy w jakichkolwiek okolicznościach prawo może przeczyć samo sobie, najpierw mówiąc „Nie zabijaj”, a potem zabijając ludzi?

– Ja... ja nigdy o tym nie myślałam.

– W takim razie powinnaś. Całe twoje pokolenie powinno się nad tym zastanowić. I powinniście zacząć coś robić w tej sprawie. Jako że wielu starszych od was ludzi, choć zdawać by się mogło, że mają więcej rozumu, jednak nie widzi, że jest to cholerne barbarzyństwo... I jeszcze jedna rzecz, Bernard...

Kiedy znów się roztrajkotała, odeszłam. Wszystkie głosy zlały się w jeden szum, a kolory na rabatce kwiatowej naprzeciw mnie nagle zaczęły wirować jak szalone.

– Wszystko w porządku? – Doktor Fletcher złapał mnie za ramię, gdy się zachwiałam.

– Tak... przepraszam, to na pewno przez ten upał. Po prostu trochę zakręciło mi się w głowie.

– Usiądź sobie. – Zaprowadził mnie do wypłowiego leżaka, zacienionego częściowo przez złotokap. – Może chcesz szklankę wody?

– Nie. Dziękuję. Posiedzę tu chwilę i wszystko będzie w porządku. Przepraszam. Nie chcę, żeby to zepsuło pańskie przyjęcie. Proszę tylko... bym mogła zostać sama przez kilka minut.

– Oczywiście. Gdybyś jednak chciała wejść do domu i się położyć, to mnie zawołaj.

Byłam mu wdzięczna, że zdał sobie sprawę z mego skrępowania. Zamknęłam oczy i ułożyłam się wygodnie, kiedy odszedł.

Wiem, że musi wydawać się to nieprawdopodobne, ale nigdy, nigdy przez jedną chwilę myśl o karze śmierci nie przyszła mi do głowy. Było zbyt wiele rzeczy, z którymi trzeba się było uporać, za które trzeba było zadośćuczynić, bym mogła pozwolić sobie na rozważania nad wymiarem sprawiedliwości. Miałam osiemnaście lat, kiedy zmarł ojciec, byłam z pewnością za młoda, by... Chwyciłam kurczowo za ramię leżaka, gdy zalała mnie fala strachu i nudności, po czym szybko otworzyłam oczy, gdy coś wstrząsnęło mną gwałtownie. Jedno z dzieci Fletcherów leżało plackiem u moich stóp z miną winowajcy.

– Przepraszam – wysapała dziewczynka, podniosła się i znów zaczęła uciekać, goniona przez krzyczące z zachwytyu rodzeństwo.

Patrzyłam, jak biegną w stronę muru na końcu ogrodu, krzycząc i śmiejąc się. Miała dwóch umorusanych, hałaśliwych braci; z jednym z nich siłowała się przez chwilę, nim zaczęła znów umykać, wołając: „Nie złapiecie mnie!” Była jak ja z Timem i Richardem, beztroska, podekscytowana, szalona w letni dzień czasów dzieciństwa. Też taka byłam zaledwie – ile to? – dziesięć lat wcześniej. Było to naturalne, szczenięce rozradowanie, które każdy z nas oczywiście z biegiem czasu traci, lecz ja nagle poczułam, że nigdy nie będę w stanie zastąpić go czymś bardziej trwałym. W każdej chwili, gdy będę się tego najmniej spodziewała, to, co zrobiłam, ugodzi mnie złośliwie, a moje sumienie wić się będzie w męce. Nigdy nie będę w stanie uciec, to zawsze będzie gdzieś na mnie czyhać... Coś zaczęło świtać w mojej świadomości i uczepliłam się tego. Myśląc, że nigdy nie będę w stanie uciec, myślałam o Naomi Barlow, dziewczynie, której istnienie starałam się zanegować, próbując ją zniszczyć w tych wszystkich niezliczonych łózkach. Robiłam to, co powinnam była zrobić, ale obrałam sobie zły sposób; trzeba było znaleźć osobowość, w którą mogłabym uciec, osobowość tak różną od jakichkolwiek realistycznych marzeń Naomi Barlow, że stworzenie jej byłoby wręcz niemożliwe. Niespodziewanie uśmiechnęłam się sama do siebie na myśl, że może powinnam poślubić księcia Karola i zostać królową. Albo zrobić coś równie absurdalnego: zostać pierwszą kobietą premierem – choć w roku 1961 żywot królowej wydawał się bardziej urzekający – albo... Powiedziałam sobie, że muszę przestać się wygłupiać, bo zniweczę tę słabą nadzieję, która dopiero co zaczęła we mnie kiełkować. Zobaczyłam dla siebie wyjście i od razu poczułam się lepiej, wiedząc, że może zdołam jakoś ulżyć swoim mękom. Będę musiała żyć w kłamstwie, ale to będzie łatwiejsze do zniesienia niż rzeczywistość, która mnie dobijała.

- Jak się czujesz? – Głos doktora Fletchera wyrwał mnie z zadumy.
- O wiele lepiej, dziękuję. – Wstałam. – Bardzo mi przykro.
- Nie przepraszaj. Chodź i zjedz coś. Wy, studenci, zawsze się głodzicie...

Kilka lat temu przeczytałam w *Daily Telegraph*, że zmarł – miał tylko pięćdziesiąt siedem lat – i zrobiło mi się bardzo smutno. Był dobrym wykładowcą i ciepłym, wrażliwym człowiekiem. Przypomniała mi się ta chwila pod złotokapem. Po niej przestałam żyć obsesją; zamiast tego poddałam się chłodno wyrachowanemu procesowi. Skończyłam studia z całkiem przyzwoitą oceną i musiałam zdecydować, co dalej. Powrót do Manchesteru nie wchodził, rzecz jasna, w

grę, więc dołączyłam do czegoś, co w tamtych czasach socjologowie określali jako „południowy prąd”, przeprowadzając się do Londynu, gdzie znalazłam pracę w agencji zajmującej się public relations i wynajęłam mieszkanie w Kentish Town. Był to czas swingujących lat sześćdziesiątych, tapirowanych koków, minispódniczek i tych cudownych skórzanych kozaków, czas niesamowitej wolności i podekscytowania. Byłam młoda, wolna i atrakcyjna – jednak wciąż dręczyła mnie ta sama myśl. Ubierając się w najlepsze rzeczy kupowane w najmodniejszych butikach, starałam się dobrze się bawić, a jednocześnie pracować nad swą osobowością. Nie mając liverpoolskiego akcentu – niesamowicie wtedy modnego w Londynie – musiałam pozbyć się swego prowincjonalizmu z północy. Uczęszczałam na lekcje wymowy, pożerałam przewodniki savoir-vivre'u i kupowałam każdy magazyn mody, jaki tylko zdołałam dorwać. Rozszerzyłam swe horyzonty, podróżując do Paryża i Florencji, chodziłam na wystawy do Tate i Muzeum Narodowego, czytałam i cytowałam najmodniejsze książki, oglądałam wszystkie zachwalane sztuki i filmy. Po upływie kilku lat mogłam ująć za idealny londyński produkt – na pierwszy rzut oka może nawet za absolwentkę najlepszej prywatnej szkoły dla dziewcząt. Ograniczyłam wyjazdy do Manchesteru do minimum: „Przepraszam, mam, ale nie uwierzyłybyś, ile teraz mamy pracy”, a gdy tylko ojciec ponownie zakradał się do moich myśli, natychmiast go wyrzucałam.

Kolejnym etapem musiało być małżeństwo. Miałam wielu kandydatów – choć byłam stosunkowo wstrzemięźliwa w porównaniu z wcześniejszymi standardami, to przespałam się z kilkoma z nich – ale żaden niczym się nie wyróżniał. Jako że pięłam się po szczeblach drabiny społecznej, moje oczekiwania również stawały się coraz wyższe. Aż wreszcie w 1966 roku poznałam w Wimbledonie Charlesa. Organizowałam tam pobyt jednego z naszych klientów i jego gości i w dniu finału singla mężczyzn krążyłam z kanapkami i szampanem. Bardzo uważnie doбираłam stroje na takie okazje, starając się wyglądać nie krzykliwie, lecz elegancko i seksownie; zawsze wtedy mój radar pracował na najwyższych obrotach i przez cały czas musiałam być gotowa. Charles przebywał tam z grupą bankowców, z których kilku było chyba starszych od Matuzalema, przez co mając trzydzieści sześć lat, bardzo się wyróżniał; nie było przy nim żony i zdawało się, że przyszedł tam naprawdę po to, by obejrzeć tenisowy mecz. Oczywiście musiałam tkwić w namiocie, gdy Santana pokonywał na korcie Ralstona, ale kiedy wrócił z kortu, zapytałam, czy podobał mu się mecz. Zrazu pomyślał, że po prostu wykonuję swoją pracę, ale później wydawał się nawet zadowolony, iż znalazł kogoś zainteresowanego tym, co się działo; w rzeczywistości zainteresowana byłam nim.

Szczegóły są nieważne, istotne jest tylko to, że przyjąłam zaproszenie na mecz tenisa w jego własnym klubie (jeszcze w szkole grałam całkiem nieźle, a później uczyniłam z tego jeden z elementów mojego nowego stylu życia), po którym poszliśmy na kolację, aż w końcu wylądowaliśmy w łóżku. Jego żona zginęła w katastrofie lotniczej w niecały rok po ślubie, więc był wolny jak ptak i zakochaliśmy się w sobie. Ot tak, po prostu... Hm, może raczej on szczerze się we mnie zakochał, a ja pozwoliłam sobie na to uczucie, bo był dokładnie tym, kogo mi było trzeba. W listopadzie, po tym jak się poznaliśmy, zabrał mnie na weekend w odwiedziny do swoich rodziców. Aż do tej chwili byłam dość pewna siebie, ale to miała być próba ognia. Państwo Stansfield mieli w hrabstwie Buckingham olbrzymią rezydencję – naprawdę; jej część pochodziła z siedemnastego wieku, tak że gdy sprzedawali posiadłość, osiągnęła ona cenę półtora miliona funtów. Uśmiechałam się dużo, tłumiąc przerażenie, i starałam się unikać tematu mojego pochodzenia, choć okazało się to niepotrzebne. Stansfieldowie zaakceptowali mnie dokładnie taką, jaką wydawałam się być, a byłam w ich oczach dobrze prezentującą się młodą kobietą na tyle bliską ich synowi, że postanowił nas ze sobą poznać. Ojciec Charlesa ma już teraz osiemdziesiąt lat i cierpi na chorobę Parkinsona, lecz wtedy był pełen życia i niewiarygodnie dla mnie miły. W ten pierwszy weekend pokazał mi ogród – a raczej mierzący ponad trzydzieści akrów park – gdzie rosła morwa, którą, jak głosiła rodzinna legenda, zasadził sam książę Albert, mąż królowej Wiktorii; ci ludzie naprawdę gościli u siebie osoby z królewskiego rodu. Wszystkie kobiety bardzo się starają, gdy spotkają mężczyznę, którego chcą poślubić; ja od tej chwili zaczęłam przechodzić samą siebie, mimo iż byłam przekonana, że Charles i tak w końcu mi się oświadczy.

Po powrocie do Londynu poświęciłam cały wieczór na napisanie listu z podziękowaniami do jego rodziców, wraz z którym posłałam im kwiaty. Na Boże Narodzenie kupiłam jego mamie drogą broszkę, a tacie pudełko najdroższych cygar, jakie mogłam znaleźć. Męczyłam się nad prezentem dla Charlesa – on naprawdę był człowiekiem, który miał wszystko – zanim zdecydowałam się na coś, co początkowo wydawało się głupie, ale po pewnym czasie doszłam do wniosku, że może odnieść zamierzony skutek. Nie mieszkaliśmy razem – stwierdziłam, że nie byłoby to dobrym posunięciem – ale miałam klucz do jego mieszkania w St John's Woods i często jechałam tam po pracy, by na niego zaczekać. Dzień przed wyjazdem na święta do Buckingham zadzwoniłam stamtąd do niego do biura.

- Cześć. Mam dla ciebie prezent gwiazdkowy.
- Dziękuję. Obiecuję, że otworzę go dopiero w święta.
- Nie, chcę żebyś zrobił to dzisiaj. Do zobaczenia za jakąś godzinę.

Tuż przed siódmą usłyszałam, jak wchodzi i idzie przez salon. – Naomi? Gdzie jesteś?

- W sypialni.

Widząc mnie, zatrzymał się w drzwiach; leżałam na łóżku z olbrzymią srebrną wstążką zawiązaną na kokardę w pasie; poza Chanel No 5 nie miałam na sobie nic. Otworzyłam szeroko oczy i zrobiłam niewinną minkę.

– Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym ci kupić, by wyrazić to, co chciałabym ci powiedzieć. Czy w związku z tym przyjmiesz jako prezent mnie?

Przez chwilę nawet się nie poruszył, a później na jego twarzy wykwitł najpiękniejszy uśmiech świata. Wiedziałam, jaki stał się poważny po śmierci Sarah, i czułam, że coś tak frywolnego go rozrusza. Kiedy podszedł do łóżka, usiadłam, objęłam go i pocałowałam.

- Wesołych świąt, kochanie – wyszeptalam.

Oświadczył mi się w Boże Narodzenie; jego prezentem był pierścionek zaręczynowy.

Ślub odbył się latem w parafialnym kościele jego rodziców. Sugerowali, że powinno się to odbyć w mojej parafii, ale dla mnie było to nie do pomyślenia. Ostatni raz byłam u Świętego Łukasza w Wilmsford na pogrzebie ojca i od tamtej pory już nigdy tam nie wróciłam. Powiedziałam, że ich kościół jest o wiele ładniejszy i z pewnością przywołuje wiele ważnych rodzinnych wspomnień. Trochę się obawiałam, jak moja mama i bracia zniosą ślub, o którym wzmianka pojawi się w gazecie okręgowej, a na którym będzie obecny jeden z wiceministrów i gubernator hrabstwa, jednak nie miałam z nimi większych problemów. Mama, choć nerwowa, wyraźnie była pod wrażeniem i jakoś sobie poradziła, a Richard miał to wszystko gdzieś – dziennikarstwo zdążyło już odcisnąć swe gorzkie piętno na jego stosunku do sławy i bogactwa. Poprosiłam Tima, by poprowadził mnie do ołtarza; prawdę mówiąc, wolałabym tego nie robić, ale zgodnie z tradycją była to właśnie jego rola i rodzina Charlesa tego oczekiwała. Na początku się opierał, ale nagadałam mu, że po pierwsze, jest starszym z braci, a po drugie chcę, żeby to zrobił. Czuł się nieswojo podczas całej ceremonii, ale jakoś to przeżył.

Ubrana w suknię Diora – oszczędzałam na nią bardzo długo – najlepiej z całego dnia zapamiętałam nie to, jak szłam do ołtarza między ławkami wypełnionymi

frakami i drogimi sukniami, nie to, jak Charles i ja staliśmy przed księdzem i składaliśmy sobie przysięgę, nie to, jak sypano różowe i żółte płatki róż, które opadały na mój chwytający słoneczne promienie welon, ale to, jak wpisywałam się do księgi ślubów w zakrystii. Na moment zatrzymałam się i spojrzałam na to, co właśnie napisałam – Naomi Jean Stansfield – i poczułam się, jakbym w końcu zrzuciła ze swych barków potworny ciężar – ciężar, który nosiłam przez te wszystkie lata.

Podczas wesela w olbrzymim, wypełnionym kwiatami namiocie, jaki organizatorzy przyjęcia ustawili na trawniku przed rezydencją, podeszła do mnie mama i ujęła moje dłonie w swoje.

– Wyglądasz przepięknie i wydajesz się taka szczęśliwa – powiedziała cicho, a z jej oczu zaczęły płynąć łzy. – Ojciec byłby z ciebie taki dumny.

Powstrzymując własne łzy, nachyliłam się i pocałowałam ją w policzek, z czułością, choć głównie chodziło mi o to, by nie zobaczyła mojej twarzy i malującego się na niej uczucia ulgi, że Naomi Barlow już nie istnieje.

Naomi Barlow powraca od czasu do czasu, nie jako osoba, którą kiedyś byłam, ale jako ktoś, kogo kiedyś znałam i zapomniałam. Teraz nie zdarza się to już tak często, ale nadal są chwile, kiedy przed oczami staje mi twarz tej obcej kobiety. Mówię jej, że nie żyje, tak jak on; zamordowałam ich oboje, każde na swój sposób. I jej duch odchodzi, by za jakiś czas powrócić.

ROZDZIAŁ TRZECI: TIM

HSA581322

PAHOME

AP

12:23

POLICJA Zwłoki

UWAGA REDAKTORZY DZIAŁÓW INFORMACJI I REDAKTORZY
PROWADZĄCY

Konferencja prasowa dotycząca podwójnego zabójstwa w Hertfordshire przesunięta na 15.00.

HSA581340

PAHOME

AP

12:29

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Barry Hughes, lat 30, dyrektor Zespołu Szkół w Wilmsford w Manchesterze, gdzie od ponad trzydziestu lat uczy Timothy Barlow, powiedział: „Wszyscy tu jesteśmy po prostu zdruzgotani. Tim i jego żona, Claire, jeździli z matką do jego siostry i jej rodziny w Hertfordshire od tak dawna, jak tylko sięgamy pamięcią. Stało się to ich rodzinną tradycją. To miały być po prostu kolejne szczęśliwe święta. Tego typu okropności nie przytrafiają się takim ludziom jak Barlowowie.

Tim jest częścią tej szkoły od tak dawna, że nie sposób wyobrazić sobie tego miejsca bez niego. Jego koledzy z pracy dzwonią do mnie, niezwykle przejęci, odkąd tylko dotarła do nas ta wieść. Chcielibyśmy mieć pewność, że nic mu się nie stało, ale najwyraźniej wydarzyła się tam jakaś straszna tragedia.”

Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi kiedyś, jak to wrócił do swojej podstawówki, bo miała zostać zamknięta. Pierwszy raz po dwudziestu latach znalazł się w środku.

– Wydawało mi się, że wcześniej całą szkołę rozebrali i odbudowali, tyle że w miniaturze – powiedział. – Pamiętam, że gdy byłem uczniem, hol był wielki jak katedra, kiedy staliśmy na porannym apelu, a teraz wydawał się wręcz ciasny. I całą grupką chodziliśmy przez ponad godzinę, sprzecząc się, która sala była nasza w drugiej klasie.

Moja szkoła – to znaczy, moja pierwsza szkoła – oczywiście też się zmieniła,

ale prawie tego nie zauważyłem, bo byłem tu, gdy owe zmiany zachodziły, stopniowo, krok po kroku. Kiedy byłem uczniem, były to dwie szkoły – podstawówka i gimnazjum – każda ze swoim dyrektorem, panną Day i panem Tonksem. Teraz nazywa się to Zespół Szkół w Wilmsford i całością zarządza Barry Hughes, a nauczyciele są znacznie młodszy od tych, którzy mnie uczyli. Powód tego jest taki, że podczas wojny wielu pedagogów ściągnięto z emerytury, bo młode kobiety powołano do służby w wojsku i wiele z nich nadal tam było, kiedy zaczynałem naukę w 1946 roku. Starzy nauczyciele wierzyli w monotonne klepanie tabliczki mnożenia i dyktanda, za to bez problemu potrafili utrzymać dyscyplinę. Teraz wszystko odbywa się inaczej, ale często myślę, że być może pogubiła nam się po drodze część wartości starego systemu.

Kiedy dołączyłem do grona pedagogicznego szkoły w 1964 roku, starzy nauczyciele już odeszli, ale pan Tonks był tu nadal, choć do emerytury zostało mu już tylko kilka lat. Dostałem salę po panu Fodeni. Były tam te same pochyle ławki na metalowych nogach, z otworami na ceramiczne kałamarze – oczywiście samych kałamarzy już nie było, można było używać długopisów – i nawet tablica przymocowana do ściany była ta sama, której on używał; śrubka w prawym górnym rogu, która nie pasowała do innych, nadal tkwiła tam, nie zmieniona. Kiedy po raz pierwszy pełniłem dyżur na dworze, zaintrygowała mnie pewna rzecz. Wzdłuż jednego boku boiska biegnie długi ceglany mur, ozdobiony wieżyczkami w regularnych odstępach jakichś trzech metrów, które dzielą go na dwanaście części. Grupa chłopców grała w piłkę, a ich bramką była trzecia część od rogu.

– Dlaczego akurat ta część muru jest bramką? – zapytałem jednego z nich. – Dlaczego nie wybierzeć jakiejś innej?

Spojrzał na mnie zdumiony, po czym wzruszył ramionami w geście lekceważenia dla ignorancji nowego. – Nie wiem. To zawsze była bramka.

Miał rację. Była tam już w 1946 roku i nikt nigdy nawet nie napomknął, że powinna być przeniesiona, choć jej lokalizacja nie miała żadnego logicznego uzasadnienia. Szkoła została zbudowana w latach dwudziestych i jakiś nieznany chłopiec zdecydował o tym na początku któregoś z pierwszych meczy futbolowych, rozgrywanego pewnie starą piłką do tenisa i z dowolną liczbą graczy w drużynie. Małe dzieci są bardzo konserwatywne, więc bramka pozostała w tym samym miejscu, choć odbyły się potem tysiące meczy, i jest tam do dziś. Wydaje się to jakieś takie krzepiące.

Dlaczego zostałem nauczycielem? Nie jestem pewien. Był to po prostu zawód, który mi odpowiadał. Wiedziałem, że moje wyniki egzaminów maturalnych nie

wystarczą, by pójść w ślady Nimmy na uniwersytet, ale w tamtych czasach dobre wyniki małej matury wystarczyły, by zostać przyjętym do kolegium nauczycielskiego. Posada w Wilmsford była akurat wolna, kiedy skończyłem naukę, i... Zresztą nieważne. Musiałem coś robić, a nauczyciel to zawód równie dobry jak każdy inny. Lubię swoją pracę i jestem w niej dobry. Żałuję jedynie, że nie zostałem dyrektorem, ale stało się tak jedynie dlatego, że kiedy pan Tonks przeszedł na emeryturę, byłem oczywiście zbyt młody, a kiedy Gordon Davies, jego następcą, odszedł, lokalne władze były zdominowane przez Partię Pracy zainteresowaną jedynie takim kandydatem, który wierzyłby w te żalosne metody nauczania, gdzie dzieciom pozwalano uczyć się i wyżywać za pomocą wrzasków. Dzięki Bogu ta głupota przeminęła. Nim posada zwolniła się ponownie, uznano, że jestem za stary; niektórzy z moich kolegów – wliczając w to Barry'ego – są o całe pokolenie ode mnie młodszy i wiem, że w pokoju nauczycielskim za moimi plecami nazywają mnie Dziadkiem, ale nie przeszkadza mi to.

Zawsze przecież mogłem się przenieść. Przeszedłem nawet przez etap składania podań o pracę, ale nic z tego nie wypaliło. W ostatnim przypadku prawie otrzymałem posadę i poczułem niespodziewaną ulgę, gdy odrzucono mnie po drugiej rozmowie kwalifikacyjnej. Zdałem sobie wtedy sprawę, że właściwie nie chcę odchodzić z Wilmsford – w innej szkole na pewno miałbym te same problemy. Moja pensja w pełni zaspokajała moje potrzeby i gdyby się tak zastanowić, to byłem całkiem zadowolony z życia. Claire, moja żona, też od zawsze mieszkała w Wilmsford i żadne z nas nigdy nie życzyło sobie przeprowadzki. Tu są wszyscy nasi przyjaciele i nasze korzenie. Nimmy i Richard mieszkają dobre trzysta kilometrów od Manchesteru, więc jako jedyny pozostałem tu, by zająć się mamą. Oczywiście nadal jest zupełnie samodzielna, ale skończyła właśnie siedemdziesiąt lat i nigdy nie wiadomo, kiedy może potrzebować... Wyjaśnijmy może najpierw kilka rzeczy.

Po pierwsze nie trzymam się bynajmniej kurczowo przeszłości – pewne wydarzenia były zbyt bolesne i chcę o nich zapomnieć. Po drugie nie ma w tym nic dziwnego, że troszczę się o mamę. Nie krytykuję Richarda ani Naomi za to, co zrobili ze swoim życiem – to ich wybór i oczywiście mieli do tego prawo – ale można znaleźć mnóstwo rodzin, w których jedno z dzieci pozostaje bliżej rodziców niż inne. Po trzecie ludzie, którzy myślą, że jestem nudny, nie znają mnie; właściwie to nikt tak naprawdę mnie nie zna. Wszyscy widzą zwykłego, szarego człowieka z zamiłowaniem do tego, co bezpieczne i znajome, i myślą, że to cały ja. W szkole wszyscy wiedzą, że jeśli jest coś do zrobienia, należy poprosić Tima. On jest zawsze skłonny wziąć zastępstwo, nie ma nic przeciwko temu, by zabierać

pierwsze klasy na te potworne jednodniowe wycieczki czy zorganizować szkolną pantomimę na Boże Narodzenie. Na zewnątrz Claire i ja jesteśmy nudnym małżeństwem z dziesięcioletnim fordem sierrą, parą, która nie wydaje przyjęć i nie wychodzi zbyt często. Osoby, które pamiętają, co stało się z Harrym, w pewnym stopniu nam współczują, ale stają się przez to protekcyjne. Uważają, że gdyby zdrzeć ze mnie wierzchnią warstwę, pod spodem nie byłoby nic. Nie uwierzyliby w to, co mogliby tam znaleźć.

Przede wszystkim zamordowałem własnego ojca, kiedy leżał bezbronny w szpitalnym łóżku. Ten człowiek przez całe swe życie ani razu mnie nie skrzywdził, nie zrobił nic, co w jego mniemaniu nie byłoby dla mnie dobre. Czy znacie kogoś, kto nosiłby cięższe emocjonalne brzemie? Czy sądzicie, że tym belferskim żółtodziobom, z którymi pracuję, przyszłoby kiedyś do głowy coś takiego na mój temat? Po drugie minęło prawie dwadzieścia pięć lat od śmierci Harry'ego, a ja nadal cierpię. Nie z żalu – ten, choć dręczy niemiłosiernie, z czasem staje się możliwy do zniesienia – ale z powodu tego, że Claire i ja nigdy nie byliśmy w stanie go zastąpić.

Fizycznie oboje jesteśmy zdrowi, choć pewnie byłoby lepiej, gdyby tak nie było. Chodzi po prostu o to, że nie potrafię współżyć z własną żoną. Już przed Harrym miałem z tym problemy; potem stało się to dla mnie wprost niemożliwe. Prowadziliśmy na ten temat przepełnione goryczą kłótnie, podczas których Claire oskarżała mnie o to, że odmawiam jej drugiego dziecka, bo się boję, potem zaczęła żądać wyjaśnień, których nie potrafiłem jej udzielić. Rzecz jasna, szukaliśmy pomocy – w poradniach małżeńskich, u seksuologa – ale nic nie poskutkowało. Jedna pani psycholog miała obsesję na punkcie mojej rodziny. Co pamiętam na temat związku moich rodziców? Czy kiedykolwiek widziałem, jak się całowali lub obejmowali? Czy trudno mi o takich rzeczach rozmawiać? Jasne, że trudno mi było o tym mówić, ale nie mogłem jej powiedzieć dlaczego. Oczywiście bez trudu mogłem mówić o mamie, ale nie o tacie. Musiałem się z tego wycofać i nie mogłem nawet wytłumaczyć Claire dlaczego. Jediną rzeczą, której żadne z nas nigdy nie brało pod uwagę, był rozwód. Claire nie jest przesadnie religijna, ale bardzo poważnie traktowała słowa przysięgi małżeńskiej, a ja po prostu nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak bym sobie bez niej poradził. Nie licząc krótkiego okresu, kiedy studiowałem w kolegium nauczycielskim, nigdy nie mieszkałem sam.

Tak więc w końcu się z tym pogodziliśmy, a przynajmniej przestaliśmy przywiązywać taką wagę do tego problemu, jednak on przez cały czas sączył się do każdego zakamarka naszego życia. Rzecz w tym, że seks jest teraz tak rozpowszechniony, iż prawie nie da się włączyć telewizora, by nie zobaczyć jakiejś

pary w łóżku, a za każdym razem, gdy tak się dzieje, jedno z nas wychodzi z pokoju, nic nie mówiąc. Nie wiem, jak radzi sobie z tym Claire, nie potrafiłbym jej o to zapytać, ale wiem, jak to wpływa na mnie. Są takie chwile, kiedy jej pragnę, ale teraz nie śmiem nawet zrobić pierwszego kroku, bo wiem, że prędzej czy później stanie między nami mur i znowu oboje zostaniemy zranieni. Przez długi czas oskarżała mnie o to, że jestem homoseksualistą, ale nim nie jestem. Tyle że podobają mi się inne kobiety – i jestem pewien, że z nimi nie miałbym problemu. Nie, żebym próbował; zamiast tego znalazłem inne sposoby. Stanowią one moją tajemnicę i nikt o nich nie wie.

Oto, co znajduje się pod wierzchnią warstwą starego, nudnego Tima Barlowa. Wyrzuty sumienia z powodu taty, które potrafię zrozumieć, i zamęt w małżeństwie, którego pojąć nie umiem. Claire została opiekunką w żłobku – słyszeliśmy nieprzyjemne komentarze o potrzebie dziecka w jej życiu, gdy poszła na kurs – i oboje przemykamy oczy na szczeliny, jakie zarysowały się w naszym związku, w nadziei, że się one nie powiększą. Nie licząc tego dość niezwykłego problemu, udało nam się stworzyć całkiem udane małżeństwo. Oboje jesteśmy członkami Amatorskiego Towarzystwa Operowego w Wilmsford, gdzie się poznaliśmy i gdzie moja mama nadal bardzo się udziela. Oboje lubimy pracę w ogrodzie i zwiedzanie bogatych domów, gdzie szukamy pomysłów. Z pewnością nie jesteśmy bogaci, ale żyje nam się dostatnio. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej sytuacji uznaliśmy za stosowne, i jakoś potrafię z tym żyć.

Nie widzimy zbyt często reszty rodziny, z wyjątkiem mojej siostrzenicy Roberty, która często przyjeżdża w odwiedziny do mamy. Doceniam te jej wizyty, ale należy ona do tego rodzaju dziewczyn, które Claire nazywa damulami. Najmodniejsze ubrania, podrasowany golf GTi, zawsze robi to, co jest akurat na czasie, i bywa w tych miejscach, w których w Londynie bywać należy. Według nas zadziera nosa i jest rozpieszczona, ale ona i mama wydają się bardzo dobrze rozumieć, co mnie zaskakuje, bo nikomu nie przyszłoby do głowy, że mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Nie lubię odwiedzać mamy, kiedy Roberta tam jest, ale oczywiście i tak to robię.

Obecnie Boże Narodzenie to jedyny czas, kiedy się wszyscy spotykamy, a ma to miejsce zawsze w domu Naomi i Charlesa, bo mama lubi tam jeździć. Mój szwagier jest bogaty jak Krezus, ale nie jest arogancki. Jak na bankowca wie dość dużo o edukacji i kiedy się spotykamy, odbywamy dość ciekawe dyskusje. Zawsze

mają choinkę wysokością dorównującą tym w hipermarketach, przystrojona drogi bombkami, które Naomi co roku wymienia. Daliśmy sobie spokój z dorównywaniem im w prezentach; nigdy nie moglibyśmy pozwolić sobie na wydanie takiej fortuny, jaką przeznacza na to Naomi. Claire kiedyś czuła się zakłopotana z tego powodu.

– Spójrz na to – wyszeptała do mnie w świąteczny poranek (zdaje się, że był to rok 1976), kiedy rozdawane były prezenty. Naomi podarowała jej bluzkę. – To czysty jedwab. Musiała kosztować fortunę.

– Ja dostałem pióro wieczne ze złotą stalówką – mruknąłem w odpowiedzi tak, żeby nikt nie słyszał.

– Chce po prostu być lepsza od nas – lepsza od ciebie. Pewnie odda to nierzewne naczynie, które im kupiliśmy, na jakąś wyprzedaż.

– Nie możemy nic na to poradzić – odparłem. – Ona już taka jest.

Kiedy prezenty zostały rozpakowane, przyszło mi do głowy, że Naomi lubi się chwalić pieniędzmi nie tylko przed nami, ale przed wszystkimi. Tego roku jeden z partnerów w interesach Charlesa wraz z żoną spędzał z nimi święta i słyszałem, jak Naomi tłumaczyła, ile kosztowało kompletne wyposażenie kuchni w dębowe meble robione na specjalne zamówienie. Do tego kamienne kafle na podłodze, kuchenka z podwójnym piekarnikiem, olbrzymia nowa zamrażarka i jedna z pierwszych zmywarek do naczyń, jaką widziałem. Pomyślałem o kuchni mamy w Tattersall Close. Linoleum z czasów naszego dzieciństwa zostało wprawdzie zmienione, ale nadal stała tam ta sama kuchenka i stół, wokół którego gromadziliśmy się na śniadanie przed szkołą. Moja siostra stała się snobką, co było ostatnią rzeczą, której bym się po niej spodziewał, gdy byliśmy młodzi.

Śmiech Richarda przerwał te rozważania i przyciągnął moją uwagę. Mój brat był jeszcze wtedy mężem Kate, a Emma, jego młodsza córka, urodziła się jakieś osiem miesięcy wcześniej. Nie wydał mi się jakoś strasznie obcy, bo już wiele lat wcześniej odkryłem w nim pewną tendencję do bezwzględności, ale i w jego przypadku trudno było porównać to, kim kiedyś był, z tym, kim się stał. Nie chciałem wyjść na świętoszka, ale jako dzieci zostaliśmy wychowani zgodnie z pewnymi standardami, a chyba najlepiej zilustruje je fakt, że tata zapisał nas do zuchów, a później zostaliśmy skautami. Mówiło się prawdę, obiecało żyć zgodnie z zasadami honoru, nie kłamało się; ja sam staram się wpoić te zasady dziewięciolatkom, przy okazji nauki pisania. Richard jednak kłamał teraz w większości artykułów, które pisał, i prawie we wszystkim, co mówił. Raz opowiedział mi, jak zrujnował karierę pnącego się w górę członka parlamentu, upijając jakąś aktoreczkę i namawiając ją do tego, by zdradziła mu kilka sekretów sprzed lat.

Chwalił się, jak majstrował z taśmą, którą nagrał po kryjomu, tak że wszystko wydało się jeszcze gorsze, niż naprawdę było. Kiedy napomknąłem, że tak się nie robi, uśmiechnął się z pogardą i rzekł:

– To nie jest żadna nieszczęsna podstawówka w Wilmsford, Tim. To prawdziwy świat, a w moim zawodzie robi się wszystko. Dostałem pięćset funtów premii – nieoficjalnie, nie opodatkowanej – za ten mały wywiadzik na wyłączność. Nieźle, he? Założę się, że sam byś chciał w ten sposób zarobić parę dodatkowych funciaków.

Już miałem go zapytać, co według niego powiedziałby w związku z tym tata, ale był to temat, którego wszyscy unikaliśmy.

Coś dziwnego zdarzyło się w to Boże Narodzenie. Wieczorem zadzwonił telefon i Charles powrócił z holu, mówiąc, że to do mamy. Nie wyglądała na zdziwioną i nie odpowiedziała, kiedy jedno z nas zapytało, kto może do niej dzwonić, gdy wychodziła z pokoju. W jakieś dziesięć minut później znalazłem się w holu w drodze do ubikacji na dole. Mama siedziała na krześle przy stoliku z telefonem, śmiejąc się, a gdy mnie zobaczyła, powiedziała, że oddzwoni.

– Kto to był? – zapytałem.

– Ktoś ze znajomych. – Wstała i spojrzała w duże, owalne lustro nad stolikiem, poprawiając włosy.

– Kto? Pani Jackson? Ktoś z kościoła?

– Nie, to był... Ojejku, co za bałagan mam na głowie. – Z poirytowaniem poprawiała trwałą. – Pójdę na momencik do góry i poprawię fryzurę. Czyż indyk nie był przepyszny? Nie wezmę nic do ust chyba aż do Nowego Roku. Zauważyłam, że ty też sobie nie żałowałaś. Cieszę się. Czasami wydaje mi się, że za mało jesz. Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś trochę przytył. Powinieneś powiedzieć Claire, żeby przygotowywała ci stek w starym stylu i puddingi...

Zdania nie mające związku z moim pytaniem ucichły, gdy zniknęła na schodach. Nigdy wcześniej nie okazała najmniejszego zainteresowania tym, co robiłem czy jadłem, wiedziałem więc, że celowo zmieniła temat. Uderzyło mnie, że nie przychodził mi na myśl nikt z jej znajomych, kto mógłby zadzwonić do niej w Boże Narodzenie.

Kiedy dołączyłem do innych, cicho zapytałem Charlesa, czy dzwoniący się przedstawił.

– Nie – odparł. – Zapytał tylko, czy może rozmawiać z panią Barlow. Powiedział, że jest przyjacielem i chciałby złożyć życzenia.

– On? – powtórzyłem. – Rozmowa zamiejscowa?

- Być może. Bardzo słabo było słycać. Dlaczego pytasz?
- Tak się tylko zastanawiałem, kto to mógł być.
- Lepiej sam ją zapytaj... Jak tam drink?

Jadąc z powrotem do Manchesteru, mama świergotała o tym, jak to wspaniale się bawiła i jacy hojni byli Naomi i Charles, i jaki śliczny mają dom, i... Widziałem, jak Claire przygryza wargę na przednim siedzeniu obok mnie, i zmieniłem temat.

- A kim był ten twój tajemniczy rozmówca? – spytałem nagle.
- Tajemniczy rozmówca? Ach, ten w Boże Narodzenie. Mówiłam ci. Ktoś ze znajomych.

– Mężczyzna – zauważyłem.

– Skąd wiesz...? Tak, Tim, mężczyzna. Ale to nie twoja sprawa.

Niespodziewana ostrość jej tonu sprawiła, że poczułem się nieswojo.

– Zwykle nie mamy przed sobą tajemnic – powiedziałem.

– Czyżby? – Pozwoliła, by pytanie zawisło na chwilę w powietrzu, po czym zwróciła się do Claire. – Ta książka, którą mi kupiłaś o rodzinie królewskiej, jest absolutnie fascynująca. Czytałam ją wczoraj wieczorem w łóżku. Musisz ją kiedyś ode mnie pożyczyć. Czy wiedziałas, że...?

Zapatrzyłem się na autostradę. Kim był ten mężczyzna, którego tożsamości nie chciała zdradzić? Miała wtedy... musiałem policzyć... w lutym miała skończyć pięćdziesiąt dziewięć lat, choć gdy miała dobry dzień, mogła uchodzić za młodszą o dziesięć lat. Czy był ktoś inny w jej życiu? To było nie do pomyślenia. Przecież nikogo nie potrzebowała. Ja dokonywałem wszystkich napraw i wykonywałem inne męskie prace, a ona miała swoje babskie pogaduszki i brydżowe popołudnia, wycieczki autokarowe do Krainy Jezior i nad morze. Nie mogła chyba nikogo pokochać, przecież kochała tatę. Powiedziałem sobie, że muszę przestać wymyślać głupoty. Poznała pewnie kogoś, jakiegoś samotnego pana, i zaznajomili się bliżej, spotkali się kilka razy na kawę, być może poszli na spacer do parku w Wilmsford. On był sam w Boże Narodzenie i zadzwonił do niej, bo nie miał nic lepszego do roboty. Niemożliwe, żeby... Nie. Sami rozumiecie, znam ją lepiej niż ktokolwiek inny – jest moją matką – i nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

Nagle olśniło mnie, że podważając moją wiarę w to, iż nie mamy przed sobą tajemnic, chciała dać mi do zrozumienia, że podejrzewała rzeczy, których ja jej o sobie nie powiedziałem. O mnie i o Claire, o... o sprawach osobistych... o tacie i o tym, jak go...

- Uważaj na ten samochód!

Nagły okrzyk Claire wyrwał mnie z nagłego zaćmienia umysłu wywołanego paniką i instynktownie skręciłem na zewnętrzny pas.

– Uważaj na drogę, Tim – rzekła zagniewana mama. – Chcesz nas wszystkich pozabijać?

Kiedy droga odzyskała swą ostrość, chwilowe przerażenie zamieniło się w kluchę niepokoju, który był jak fizyczny ból. Zdałem sobie sprawę, że jeśli stało się to, co niewyobrażalne – jeśli Naomi lub Richard nagle załamali się i wyznali wszystko – kara, która zostanie mi wymierzona, nie będzie miała znaczenia. Najgorsze i tak będzie to, że mama będzie wiedziała i że ją stracę.

ROZDZIAŁ CZWARTY: CLAIRE

HSA581293 PAHOME AP 12:09

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

UWAGA REDAKTORZY GRAFICZNI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

Kolorowe zdjęcia Timothy'ego i Claire Barlow oraz Charlesa i Naomi Stansfield (oba w pionie) do „POLICJA zwłoki” zostaną wkrótce wypuszczone przez dział zdjęć AP.

HSA581344 PAHOME AP 12:33

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

UWAGA REDAKTORZY DZIAŁÓW INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

POD ŻADNYM POZOREM NIE PODAWAĆ DO PUBLICZNEJ WIADOMOŚCI

Sąsiad Timothy'ego i Claire Barlow z Hillcrest Road w Wilmsford, Manchester, zasugerował, że Claire Barlow miała kochanka i być może planowała porzucenie męża. Podał nam nazwisko i próbujemy skontaktować się z tym mężczyzną, by udzielił nam komentarza.

HSA5811359 PAHOME AP 12:57

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Radny z partii konserwatywnej, Christopher Taylor, przewodniczący komitetu pomocy społecznej przy Radzie Okręgowej Wilmsford, zaprzeczył, jakoby miał romans z Claire Barlow.

„Sugerowanie czegoś podobnego jest oburzające – powiedział. – Znam panią Barlow i jej męża od wielu lat, ale nie było w naszej przyjaźni nic niestosownego. To uwłaczające, że ktoś w takiej chwili rzuca tego rodzaju pomówienia.”

DO REDAKTORÓW DZIAŁÓW INFORMACJI I REDAKTORÓW PROWADZĄCYCH (nie podawać do wiadomości publicznej): Pan Taylor oświadczył, że zamierza podjąć kroki prawne w związku z pomówieniem o romans z Claire Barlow. Dwóch innych sąsiadów z Hillcrest Road twierdzi, że nie wiedzą nic na

temat takowego związku. Sprawdzamy ponownie u naszego pierwotnego źródła.

HSA581400

PAHOME

AP

13:26

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

PILNE. UWAGA REDAKTORZY INFORMACJI I REDAKTORZY PROWADZĄCY

Informacja podana około 12:55, dotycząca radnego z Wilmsford Christophera Taylora, nieaktualna. Pierwotne źródło informacji wycofało się z pomówienia o romans.

Co roku chodzę obejrzyć wilmsfordzką paradę, mimo że nie wygląda ona już tak jak dawniej. Kiedy uczestniczyłam w niej jako mała dziewczynka, korowód miał prawie pół kilometra długości, jechały w nim trzy orkiestry, ciężarówka z platformami, na których prezentowały się żywe obrazy, setki przebranych dzieci, burmistrz machający ręką ze swojego rolls-royce'a ze złożonym dachem. *Messenger* drukował dziesiątki zdjęć i pisał o tym nawet *Manchester Evening News*. Odkąd tylko wzięłam w tym udział po raz pierwszy – jako elf w zielonej krepie reprezentujący naszą szkołę w 1948 roku – marzyłam o tym, by zostać królową parady w długiej białej, atlasowej sukni, ze szkarłatną szarfą i w złotej koronie, siedzącą ze swoją świtą wśród całej masy kwiatów we wspaniałym powozie ciągniętym przez konie połyskujące mosiężnymi ozdobami i ustrojone wstążkami. To marzenie spełniło się w moje piętnaste urodziny w 1956 roku, w jeden z najgorętszych dni w roku, i od samej pobudki o wpół do szóstej rano do chwili, gdy mama zapakowała mnie do łóżka o północy, był to najszcześniejszy, najbardziej udany, najcudowniejszy dzień mego życia.

Gdy teraz patrzę wstecz, po tym wydarzeniu nastąpiła już tylko seria porażek. Czy to nie okropne? Winiłam za to każdego – rodziców, męża, los – choć przez cały czas wiedziałam, że to tylko i wyłącznie przeze mnie. Szłam na kompromisy, poddawałam się, wycofywałam, uśmiechałam i przytakiwałam, kiedy powinnam była walczyć; byłam posłuszna, gdy należało się buntować, przyczyniając się tym samym do zniszczenia siebie samej jako jednostki. Będziecie chcieli mnie zbesztać, uderzyć, potrząsnąć mną, bym się ocknęła, nazwiecie mnie głupią i będziecie mną gardzić. Każdy, kogo znam – prawie każdy, o kim słyszałam – jest ode mnie szczęśliwszy.

Przynajmniej moja historia będzie krótka; opowieść o zmarnowanym życiu i bez nadmiernej ilości szczegółów jest wystarczająco przykra. Jedyńca; zaborczy rodzice, którzy nie pozwalali mi bawić się z innymi „niegrzecznymi dziećmi”, bym nie ubrudziła swoich ślicznych sukieneczek; szkoła, w której stwierdzono, że jestem „delikatna”, nieśmiała, spowita w ochronny kokon, który mnie prawie dusi. Subtelnie, acz bezwzględnie wpajano we mnie przekonanie, iż nie powinnam oczekiwać, że wiele w życiu osiągnę, że powinnam się temu przekonaniu podporządkować jak na grzeczną dziewczynkę przystało. Moja matka czytywała Barbarę Cartland, a ojciec szczyił się tym, że jego sąsiadem jest człowiek, który kiedyś uściśnął dłoń Robertowi Donatowi (jeśli jesteście zbyt młodzi, by to pamiętać, był on znaną gwiazdą filmową, która urodziła się w Manchesterze). Byli maluczkimi ludźmi o maluczkiich umysłach i zamknęli mnie w swojej klatce, każąc patrzeć na świat przez kraty.

To był skostniały, bezkrytyczny, banalny, mały świat, pełen schematów i nie znoszący wyzwania. Brzoskwinie w puszcze i lody; pokój dzienny wysprzątany „dla gości”; butelka słodkiego sherry na Gwiazdkę, wyrzucana z nie dopitą resztką, by rok później kupić następną; radiowe *Rodzinne melodie* w niedzielne południe jako jeden z najważniejszych punktów tygodniowego programu; wydziergane na szydełku narzuty na zestawie wypoczynkowym; książki od wydawnictwa *Reader's Digest*; składka na ubezpieczenie pobierana co piątek wieczór przez mężczyznę noszącego klamry na nogawkach spodni, by te nie wkręciły mu się w łańcuch rowerowy; lampa wypełniona woskiem barwy bursztynu, który topił się i tworzył bąbelki, gdy się ją włączało; kanasta; stojak na fajkę mojego ojca na kominku, z wygrawerowanym na podstawie napisem „Pamiętka z Morecambe”. Taki był nasz dom; taki był sposób na życie. I ja nie miałam prawa tego kwestionować.

Oczywiście marzyłam, wszyscy więźniowie marzą. Przez jakiś czas chciałam być taka jak Shelagh Delaney, która w wieku osiemnastu lat stała się niemal z dnia na dzień sławna po napisaniu *Smaku miodu*. Mieszkała zaledwie kilka kilometrów od nas, w Salford, w domku, który tyłem stykał się z innym i na który moi rodzice snobistycznie spoglądali z góry.

Przeczytałam na jej temat wszystko, co tylko mogłam znaleźć; przeczytałam, jak to zaczęła poznawać wszystkich ważnych ludzi, kiedy jej sztuka stała się hitem na West Endzie i w Nowym Jorku, jak to zarobiła mnóstwo pieniędzy i przeprowadziła się do Londynu. Skoro ona mogła uwolnić się ze swojego środowiska, dlaczego nie mogłabym ja? Wiedziałam, że nigdy nie byłabym w stanie napisać sztuki, ale teatr dawał też inne możliwości. Wstąpiłam do Amatorskiego Towarzystwa Operowego w Wilmsford, wmawiając sobie, że ktoś w końcu odkryje, iż

mogę zostać wspaniałą aktorką, i z chóru zostanę wystrzelona od razu tak wysoko, że zobaczą swoje nazwisko na neonach przed teatrem Palace na Oxford Street (nie miałam odwagi, by wybiec myślami poza Manchester). Głupia. Moje zdolności wokalne nigdy nie były zbyt wielkie, a moje wychowanie nie dało mi wystarczającej pewności siebie, by kiedykolwiek zrobić coś poza tym, co mi kazano; nie potrafiłam być twórcza. Jedyne, co mi z tego przyszło, to znajomość z Timem i jego matką.

Florence Barlow intrygowała mnie. Była w tym samym wieku co moja matka, ale wydawała się o wiele młodsza; była jedną z gwiazd Towarzystwa, zawsze dostawała główne role. Błyszczała urodą i żyła pełnią życia, co wydawało mi się dziwne, bo była wdową, a ja zawsze myślałam, że wdowy to smutne, wysuszone staruszki, których życie już się skończyło. Ona była inna, a ja popełniłam tragiczny błąd, zakładając, że jej syn też musi być inny, że jest człowiekiem, przy którym mogłabym się zmienić. Przekonałam siebie samą, że choć wydaje się taki spokojny, to pod tą zewnętrzną otoczką płonie ogień i wszelkie namiętności. Był jedynym prawdziwym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek miałam, i po jakimś czasie stało się to po prostu oczywiste, że się pobierzemy. Opuściłam jedno więzienie, by wkroczyć wprost do drugiego. Później wszystko wydawało się takie oczywiste – byłam dzieckiem, które wyszło za mąż za inne dziecko; on nigdy nie dorósł i nie pozwolił dorosnąć mnie. Jesteśmy malutkimi, niespełnionymi ludziami, a najgorsze jest to, że on jest zadowolony z życia, zaś ja nie.

Tak bardzo różni się od swojego brata i siostry. Poznałam Naomi, kiedy wróciła z uniwersytetu (naturalnie moi rodzice uważali, że wyższa uczelnia to nie jest miejsce dla takich jak ja). Spojrzałyśmy na siebie raz i nie spodobało nam się to, co zobaczyłyśmy. Była swobodna i lekko arogancka, miała długie potargane włosy i makijaż jak dziwka, zawsze ubierała się na czarno i rozprawiała o tym, jakie to cudowne są francuskie filmy. I celowo mówiła pewne rzeczy, by mnie sprowokować i wprawić w zakłopotanie.

– W jaki sposób zabezpieczacie się z Timem? – zapytała mnie kiedyś.

Siedziałyśmy w pokoju gościnnym w domu ich matki; wpadłam, by zobaczyć się z Timem, ale nie było go w domu i czekałam, aż przyjdzie.

– Zabezpieczamy się? – Naprawdę nie wiedziałam, o co jej chodzi. – Co masz na myśli?

– No, gdy się bzykacie oczywiście.

Uśmiechnęła się tryumfalnie, gdy zrobiłam się czerwona jak mój sweter i spuściłam głowę.

- Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem.
- A co to ma do rzeczy? Nie istnieje prawo, które by tego zabraniało.

Istniało. Było to prawo moich rodziców tak głęboko we mnie zakorzenione, że czułam się winna za każdym razem, gdy pozwoliłam Timowi dotknąć moich piersi.

– Później jest na to dość czasu – wymamrotałam frazes mojej matki, bo nie mogłam wymyślić żadnej lepszej odpowiedzi.

– Na litość boską, ocknij się! – Naomi zrobiła znaczącą minę. – To jedyna rzecz, którą warto robić, a jeśli Rosjanie zrzucą bombę, zostaną ci tylko cztery minuty, by się tym nacieszyć. W twoim przypadku nauczyć się, jak to w ogóle robić.

Byłam oniemiała i oszołomiona, lecz zarazem fascynowały mnie implikacje tego, co mówiła.

– A więc ty...? – Wzruszyłam ramionami, strasznie onieśmielona. – No wiesz...

Spojrzała na mnie z politowaniem. – Oczywiście, że tak.

– Kim on był? Jesteś z nim zaręczona?

Chyba nigdy nie nienawidziłam Naomi bardziej niż w tamtej chwili; zaśmiała się, jak gdybym była kompletną idiotką.

– *On?* Zaręczona? Jesteś kompletnie niedzisiejsza, Claire. – Pochyliła się do przodu w swoim fotelu, oczy błyszczały jej z radości. – Ja nie robię tego z jednym... Ty faktycznie jesteś zielona, prawda? Chcesz spróbować zgadnąć, jaki mam wynik?

Nie mogłam tego dłużej znieść. Drwiła ze mnie, naśmiewała się ze wszystkich wartości, które mi wpojono – i byłam pewna, że się popisywała, okłamując mnie. Tylko prostytutki robiły to, co ona sugerowała. Wstałam, trzymając przed sobą torbę w taki sam sposób, w jaki robiła to moja mama, kiedy ją obrażono.

– Nie chcę, dziękuję bardzo – rzekłam sztywno. – Czy mogłabyś powiedzieć Timowi, że byłam? Muszę już iść do domu.

Nie powiedziała nic, ale podniosła jedną dłoń, bezgłośnie licząc na palcach. Pięć... dziesięć... piętnaście... Płakałam, gdy zatrzasnęłam drzwi wejściowe za sobą i wybiegłam z domu. Jak mogła być tak okrutna? Nigdy nie zrobiłam nic, by ją zranić, więc dlaczego celowo naśmiewała się ze mnie w tak odrażający sposób? Nie wiedziała o mnie nic – nigdy nie wykazała najmniejszego zainteresowania moją osobą – więc nie miała pojęcia, jak bardzo pragnęłam oddać się Timowi, lecz wydawało mi się to zbyt przerażające. Inna dziewczyna zrozumiałaby i współczuła, być może pomogłaby mi przezwyciężyć obawy. A Naomi po prostu

mnie wyśmiała, chwając się swoim zepsuciem. Oczywiście teraz jest inna; jest bogatą suką z fałszywym południowym akcentem, która raczej przechwala się swymi coraz to nowymi koneksjami niż mężczyznami, z którymi spała. Nienawidzę jej z wielu powodów.

Richard, brat bliźniak Tima, też jest nieprzyzwoicie bogaty – choć zawsze jęczy, jak mu ciężko – i jeśli wszyscy dziennikarze są tacy jak on, toja dziękuję. Ale on przynajmniej nie udaje, że jest kimś innym niż zwykłym draniem, w przeciwieństwie do Naomi, która zawsze opowiada, jak wiele robi dla organizacji charytatywnych. Jest samolubny, zarozumiały i złośliwy.

Gdybym nie była z nim spowinowacona, z pewnością umieściłabym go w kategorii ludzi, z którymi nie chcę mieć absolutnie nic wspólnego.

Moja teściowa... Cóż, staram się, jak mogę. Zawsze próbowałam ją zadowolić, chciałam zostać jej przyjaciółką, nie tylko synową. Nie mogę powiedzieć, by była kiedykolwiek nieprzyjemna, ale gdy jesteśmy razem, odnoszę wrażenie, że wolałyby spędzić ten czas z innymi ludźmi. Kiedy przybyło jej lat, stało się to mniej odczuwalne, ale na początku było tak, jak gdyby żałowała, że musi mi poświęcić część swojej uwagi, i prawie nigdy nie przyjmowała zaproszenia na herbatę i pogawędkę, podczas gdy moja mama odwiedzała nas aż za często.

W jakiś czas później, kiedy czułam się zdruzgotana i niechciana, kiedy żyłam po prostu jak maszyna, urodziłam mojego ukochanego Harry'ego. Gdy po raz pierwszy trzymałam go w ramionach, poczułam, że w końcu coś osiągnęłam. To było *moje* dziecko, które miało mnie kochać równie mocno, jak ja je kochałam, które nigdy mnie nie zawiedzie, które nigdy nie będzie mnie tłuścić, które wyrośnie na duże, silne i mądre... Dobry Boże, byłam taka szczęśliwa. Moje życie kręciło się wokół niego, ale nie byłam zaborcza. Chciałam dać mu coś, czego ja nigdy nie miałam. Wolność, niezależność, wsparcie, gdy będzie piąć się na szczyty. Musiałam walczyć o to, by pojawił się w moim życiu, i teraz nic innego się nie liczyło. Oczywiście dzieliłam się nim z Timem; ostatecznie to dzięki niemu – w końcu! – było to możliwe, ale Harry był częścią mnie.

Zmarł miesiąc po swoich trzecich urodzinach. Nie było to niczyją winą, mimo że przez długi czas wykrzykiwałam irracjonalne oskarżenia w stronę każdego, kto się do mnie zbliżył. Biegł przed nami przez plac zabaw w wilmsfordzkim parku i upadł przy huśtawkach. Jego główka uderzyła w metalową poręcz i leżał nieruchomo; myślałam, że po prostu stracił przytomność, ale gdy go podniosłam... Lekarz opisał to jako nieszczęśliwy wypadek zdarzający się raz na milion; małe dzieci z reguły nie odnoszą ciężkich obrażeń w takich przypadkach.

Tim był kompletnie zdruzgotany. Ale też był dla mnie bardzo dobry; teraz

skłonna jestem obwinać go o tak wiele rzeczy, że muszę o tym pamiętać. Cała ta udręka i poczucie winy bardzo nas do siebie zbliżyły. Nie mogę mu wybaczyć tego, co stało się dopiero później.

Miałam wtedy bardzo dobrą przyjaciółkę o duszy samarytanki, która trwała przy mnie, gdy wszyscy inni się odsunęli. Pomogła mi zmierzyć się z moim smutkiem, chłoneła moją gorycz, wsłuchiwała się w moje żale, które płynęły ze mnie w kółko od nowa. Dopiero gdy wróciłam nieco do siebie, delikatnie zasugerowała, że ja i Tim powinniśmy pojechać gdzieś, gdzie będziemy sami, i porozmawiać ze sobą w miejscu, w którym nie będzie towarzyszył nam duch małego Harry'ego... Trzymała moją dłoń i mówiła bardzo cicho, lecz zdecydowanie... Nie jesteście jedynymi rodzicami w takiej sytuacji, Claire, życie musi toczyć się dalej... Zawsze planowałaś więcej dzieci, prawda? Ze mnie znowu połały się łzy, ale zrozumiałam i przytaknęłam. Uśmiechnęła się i poprosiła, żebym przysłała jej pocztówkę.

Tak więc wyjechaliśmy. I rozmawialiśmy. I próbowaliśmy. I nie udało się nam. I dyskutowaliśmy. I dalej nam się nie udawało, aż stało się to tak żalosne, że przestaliśmy próbować. A teraz jestem już za stara.

„Dzieci innych ludzi, oto życie me”; strasznie smutna to pieśń Noëla Cowarda. W żłobku mam Sharon i Petera, i Ruperta, i Jessicę, i... setki innych. Wołają na mnie ciocia Claire i siadają mi na kolanach, bawią się medalionem, gdy im czytam; przynoszą prezenciki i całują mnie; rysują moje portrety – i delikatnie ranią mnie swoją dobrocią. Potem odchodzą i zawsze przychodzą na ich miejsce inne... Dajcie spokój z wszelką amatorską psychologią, dobrze wiem, co robię.

O seksie już nie rozmawiamy, a obopólna zgoda na oddzielne łóżka oszczędziła nam dalszych upokorzeń. Nie przeszkadza mi to; skoro Tim nie mógł dać mi więcej dzieci, nie byłam nim zainteresowana. Magazyny i kasety wideo, które schował tam, gdzie, jak sądził, ich nie znajdę, napawały mnie wstrętem, ale nigdy o nich nie wspomniałam. Były dla mnie nieważne, bo nie zadawały mi bólu. Rani mnie natomiast to, że Naomi i Richard mają dzieci. Nie podoba mi się, że ich latorośle traktują mnie z góry jak godną współczucia ciotkę, i drażni mnie samo ich istnienie, bo ich rodzice z pewnością nie zasługują na nie tak, jak ja zasługiwałam na Harry'ego.

Poza pracą w żłobku mam swoje fantazje, które rekompensują śmiertelną drętwotę mego wnętrza wyobrażeniami romantycznych kochanków. Potajemnie zaczęłam też palić. Tim wściekłby się – na tyle, na ile jest to u niego możliwe – gdyby się dowiedział, ale robię to w ogrodzie, tak że w domu nic nie czuć, kiedy wraca po pracy. Gdy wszystko idzie naprawdę źle, staję na patio, zamykam oczy

i udaję, że znajduję się na tarasie jakiegoś egzotycznego kontynentalnego hotelu, pięknie ubrana i niesamowicie elegancka, swobodnie prezentując swoje wdzięki, czekając na mojego chłopaka milionera. Gdyby ktokolwiek mnie zauważył – a sądzę, że udało się to raz temu ciekawskiemu Mavisowi Gossowi z domu obok – zobaczyłby kurę domową w średnim wieku z miną winowajczyni palącą papierosa, nim wróci do środka, by obrać brukselkę.

Oczywiście mogłam odejść; Tim nie jest wystarczająco męski, by mnie zatrzymać, i poradziłabym sobie sama. W końcu mogłabym rozwieść się z nim, zażądać spłaty połowy domu, uniezależnić się. Nie robię tego., bo boję się nie tego, że będę sama, ale samej myśli, że zrobiłabym coś *sama*.

Przez całe życie istniałam tylko jako część egzystencji innych. Rozkoszne niemowlę, mała dziewczynka traktowana jak rozpieszczone zwierzątko, posłuszna żona, mama Harry'ego, gosposia mojego męża. Nie kończąca się seria ról dostosowanych do potrzeb innych. Nie wiem, jak się zachować, gdy ktoś nie ustali zasad. Najgorsze jest to, że wydaje mi się, iż mogłabym... nie, najgorsze jest to, że wiem, iż mogłabym, ale nie potrafię. Gdyby Tim umarł, wszystko mogłoby się zmienić, bo zerwałaby się pewna kotwica, a ja mogłabym dać się ponieść przez przyływ. Nie dbałabym o to, dokąd, bo wszędzie musiało być lepiej niż tu. Ale Tim nie umrze, jeszcze przez wiele lat, a ja będę się tylko starzała, stawała coraz smutniejsza i mniejsza.

ROZDZIAŁ PIĄTY: CHARLES

HSA581423

PAHOME

AP

13:44

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Elizabeth Kert, członkini zarządu Kennet Bolingbroke w City, poinformowała, że Charles Stansfield brał udział w dochodzeniu dotyczącym Stallion and Dupont, konglomeratu z siedzibą w Szwajcarii, który upadł na początku roku z powodu zadłużenia sięgającego 1,7 miliarda funtów.

„Charles podejrzewał, że korporacja mogła maczać palce w handlu bronią ze Środkowym Wschodem – powiedziała. – Skontaktował się z nim były współpracownik Saddama Husajna, obecnie mieszkający i ukrywający się w Londynie, który dał do zrozumienia, że interesy firmy Stallion and Dupont związane z ropą i złożami surowców mineralnych stanowią tylko przykrywkę dla innego rodzaju działalności.

Charles był bardzo zaniepokojony tą sytuacją i konsultował się z kontrwywiadem i służbami specjalnymi. Jako bankier wołał nie podejmować ryzyka prowadzenia śledztwa dotyczącego handlu bronią, a tym samym łamania międzynarodowych sankcji.”

Pojawiły się informacje o tym, iż brytyjskie i kontynentalne służby wywiadowcze przesłuchały kilka osób w związku z bankructwem Stallion and Dupont, i że mogą zostać wniesione oskarżenia przeciwko najważniejszym osobom związanym z firmą w Londynie, Zurichu i Wiedniu.

Mieszkając w Marlborough*, zacząłem pisać pamiętnik; nie był on na miarę Pepysa czy Evelyny**, ale przynajmniej wpisy były regularne. Odkąd skończyłem szesnaście lat, co dzień – choćby był najgorszy – odnotowywałem, co się wydarzyło, niekiedy tak zdawkowo, że wiele zapisków jest teraz równie niezrozumiałych jak fragmenty pisma klinowego, ale w najgorszych chwilach mego życia taki akt świadomego pisania mógł stanowić katharsis, a to, co w jego wyniku powstało, przywołuje teraz w pamięci żywe obrazy i odczucia. Oczywiście tylko dla mnie; gdyby Roberta lub David przeczytali pamiętnik po mojej śmierci, dowiedzieliby się, co się zdarzyło, ale nadal nie mieliby pojęcia, co wtedy czułem.

Od czasu do czasu sam przeglądam tę kronikę trwonionego czasu, odkrywając ślady dziwnych, zapomnianych epizodów – terminy spotkań Komunistycznego Towarzystwa Uniwersytetu Cambridge; choć właściwie nie wstąpiłem do partii, to taka przygoda mogłaby mi przysporzyć sporo kłopotów, gdybym zdecydował się zaangażować w politykę. Jakaś Margaret chyba była dla mnie ważna przez kilka tygodni na pierwszym roku studiów, jednak teraz w ogóle jej nie pamiętam; zdaje się, że zabrałem ją któregoś popołudnia do Grantchester, gdzie niewątpliwie cytowałem Brooke'a***. Ale dlaczego, na Boga, poszedłem na rozmowę kwalifikacyjną do Królewskiego Towarzystwa Szekspirowskiego? Później była służba wojskowa na Malajach i niepotrzebny mi żaden dziennik, by pamiętać tego chłopaka z wioski, którego zastrzeliłem; był młodszy ode mnie.

* Marlborough – miasto w południowo-zachodniej Anglii, słynne z założonej tam w 1843 roku prywatnej szkoły dla chłopców.

** Samuel Pepys (1633-1703) i John Evelyn (1620-1706) – pamiętnikarze angielscy.

*** Rupert Brooke (1887-1915) – poeta angielski, autor *The Old Vicarage, Grantchester*.

Pierwsze naprawdę okropne zapiski pojawiły się, gdy umarła Sarah; nie były wywołane żalem, lecz faktem, że przestałem czuć się winny. Moje pierwsze małżeństwo okazało się błędem i oboje bardzo szybko zdaliśmy sobie z tego sprawę. Któregoś dnia po serii burzliwych kłótni ustaliliśmy, że będzie trzeba poważnie porozmawiać o tym, co dalej, kiedy ona wróci z Nowej Anglii. Nigdy nie dowiedziałem się, jak to się stało, że znalazła się na pokładzie tego prywatnego samolotu, a imię i nazwisko pilota – Tony Merengo, jak podpowiada dziennik – nie mówiło mi nic. Przekonałem jednak samego siebie, bez jakichkolwiek dowodów, że facet był jej kochankiem, zaś teraz postrzegam tę nutę purytańskiej satysfakcji w większości tego, co wówczas napisałem, jako obrzydliwą. Nigdy nie potrafiłem zmusić się do tego, by ubrać w słowa swe odczucie, że śmierć Sarah stanowiła tak naprawdę doskonale rozwiązanie. Rozwód byłby drogi i kłopotliwy; śmierć była czysta i prosta, uchroniła mnie przed koniecznością kłamania – a wiem, że do tego bym się uciekł – moim rodzicom i przyjaciółom o tym, gdzie nie powiodło mi się w naszym małżeństwie. Lotniczy wypadek, który zamiast tego wszystkiego wywoływał współczucie, okazał się dla mnie darem. Jest w tych zapiskach wiele egoizmu, cechy, która ujawniła się we mnie ponownie za kilka lat.

Wreszcie jest i Naomi; pierwsze wzmianki o niej pojawiają się zaledwie co kilka tygodni, później stają się coraz częstsze i wystarczy inicjał, bym wiedział, o kogo chodzi. „Do Geralda i Miriam z N.”... „N. chora. Wysłać kwiaty.”... „Z N. do Dollington. Tata robi z jej powodu mnóstwo szumu; mama też najwyraźniej jest pod wrażeniem. Oddzielne sypialnie oczywiście; pokolenie rodziców nie jest jeszcze gotowe żyć w społeczeństwie wyzwolonym. N. jest dla nich cudowna.”...

„Urodziny N. Srebrna bransoletka i obiad u Leopolda. Pierwszy raz mówię jej, że ją kocham. Dlaczego tak z tym zwlekałem? Czy to znaczy, że wreszcie zapomniałem o Sarah? Reakcja N. niespodziewana, prawie jakby się przestraszyła. Lepiej spieszyć się powoli. Podróż do Bostonu pozwoli jej się z tym oswoić.”... „N. przyjęła dzisiaj moje oświadczenia. Wiedziałem, że to zrobi, już w noc przed naszym przyjazdem tutaj. Ojciec i matka zachwyceni.”

To był nasz najlepszy okres, zawsze tak jest. Poznawanie drugiej osoby, posmak nowości we wszystkim, co się razem robi, mnóstwo beztróskiego śmiechu. Jedyne problemy stanowiła jej rodzina, a raczej to, że Naomi z uporem odwlekała czas naszego spotkania tak długo, jak to tylko było możliwe. Po zaręczynach moi rodzice zaczęli nalegać na to, by jej matka i bracia przyjechali do Temple Manor i... Wymówki Naomi stały się tak niedorzeczne, że w końcu zapytałem ją wprost.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – spytałem. – Mama zaczyna mnie już pytać, czy coś ukrywasz. Przed nimi, przede mną... Jest zdumiona, że nie poznałem jeszcze twojej rodziny.

– Niczego nie ukrywam, tylko że... – Powiodła ręką dookoła biblioteki, w której rozmawialiśmy. – Chodzi o to wszystko. Niezależnie od tego, co sądzą o mnie twoi rodzice, moja rodzina jest nieprzyzwoicie zwyczajna. Mama mieszka w bliźniaku, a moi bracia... O Richardzie już ci opowiadałam, ale Tim jest tylko nauczycielem w podstawówce i wszyscy są tacy... są takimi typowymi przedstawicielami klasy średniej, więc nie jestem pewna, jak ty...

– Och, na litość boską! – krzyknąłem na nią. – Chyba znasz mnie już na tyle!

– Co masz na myśli?

– Nie jestem snobem. I nie podoba mi się, gdy ty zachowujesz się jak snobka, w szczególności gdy chodzi o twoją rodzinę.

– Zachowuję się jak snobka?

– Tak, w dodatku udajesz, że tak wcale nie jest, i to jest chyba najgorsze. Już dawno temu zdałem sobie sprawę, że nie spotkam się z twoją rodziną na herbatce u królowej. Nie powstrzymało mnie to jednak przed poproszeniem cię o rękę.

– A twoi rodzice?

– Co moi rodzice? Lubią cię i wiedzą, że cię kocham. Reszta nie ma znaczenia. To ty masz problem, Naomi, nie moja matka z ojcem.

Odwróciła się ode mnie. – Dobrze, byłam przesadnie ostrożna. Ale pamiętaj o jednym, kiedy ich poznasz. To tylko moja rodzina, nie ja.

– Co masz na myśli?

– Jak ich zobaczysz, to zrozumiesz. Lecz jeśli tylko będziesz mnie kochał, to

wszystko będzie w porządku.

Tak więc w końcu poznałem ich, zobaczyłem, choć pewnych rzeczy nigdy nie zrozumiałem. Naomi starała się pogrzebać własną przeszłość. Musiało to kosztować mnóstwo wysiłku, stać się wręcz obsesją, by przeistoczyć się tak, jak ona to zrobiła. A ja nie dostrzegłem żadnego wystarczającego powodu, by musiała zmienić się tak diametralnie. Tu nie chodziło o ambicje i rozwój własnej osobowości, w jej przypadku miało miejsce całkowite, świadome odrzucenie dawnego ja. Gdyby jej rodzina składała się z jakichś potworów, może miałyby to dla mnie sens, ale oni wcale nie byli tacy najgorsi. Byli zupełnie przyzwoitymi przedstawicielami klasy średniej i zawsze nieźle się z nimi dogadywałem. Kiedy Naomi poczuła się swobodniej – a nastąpiło to dopiero po dziesięciu latach małżeństwa i przyjściu na świat dzieci – zaczęła traktować ich łagodniej i pogarda w stosunku do jej biednej rodziny (mimo że Richardowi powodziło się całkiem nieźle) zaniżła. Nadal jednak nie wiedziałem, co według własnego odczucia musiała pogrzebać pod wszystkimi tymi nałożonymi na siebie warstwami, a ona nigdy mi tego nie powiedziała. W końcu dałem spokój. Zbliżając się do siebie, ludzie zawsze budują sobie pewną sekretną komnatę, do której klucz mają tylko oni. Ja w każdym razie taką komnatę posiadam; ukrywam w niej to, co zaszło z Charlotte.

Była moją tymczasową sekretarką, kiedy Angela poszła na urlop macierzyński. Była oczywiście znacznie młodsza ode mnie i wszystko było tak przewidywalne, że aż nudne. Drink po pracy, rzucane mimochodem insynuacje podbudowujące ego mężczyzny w średnim wieku, a potem to, co ktoś kiedyś nazwał ekscytacją nowym ciałem. Sądzę, że zrobiłem to, bo wydawało się naturalne, że ktoś na mojej pozycji powinien to zrobić. Wszystko trwało około sześciu miesięcy, aż poczułem, że muszę podjąć jakąś decyzję. Charlotte zachowała się o wiele lepiej ode mnie; wyliczyła mi wszystkie moje potencjalne wymówki i powiedziała, że przyjmuje je do wiadomości. Dodała, że jeżeli zacznę przeproszać, ciśnie we mnie jakimś ciężkim przedmiotem.

- Wracaj do domu, do Naomi – rzekła. – Zawsze wiedziałam, że ją kochasz.
- W takim razie dlaczego...?
- Bo chciałam. Jesteś atrakcyjnym mężczyzną, ale nędznym kochankiem... Przepraszam, nie w tym sensie. Chodzi mi o to, że jesteś mężem. Niestety nie moim.

Uciekłem w taki oto łatwy sposób; z jedynym wyjątkiem Sarah, miałem w swoim życiu do kobiet szczęście.

Kolejną cechą Naomi jest to, że potrafi wykazać niewzruszoną determinację. Zaakceptowałem to jako część jej osobowości i przez większość naszego pożycia małżeńskiego nie miało to większego znaczenia. Przeważnie zgadzamy się ze sobą, a jeśli nie, to jedno z nas po prostu ustępuje. Sprzeczkę, do których kiedykolwiek między nami doszło, dotyczyły śmiesznie trywialnych spraw, z wyjątkiem tej ostatniej i najbardziej zażartej, gdy poszło o mego ojca.

Świetnie poradził sobie ze śmiercią mamy w 1980 roku, sprzedając Temple Manor w szczytowym okresie boomu na nieruchomości i kupując mieszkanie w Brighton, skąd przyjeżdżał do miasta, by dopilnować interesu i wpaść do swojego klubu. Często nas odwiedzał, rozpieszczając wnuki i będąc rozpieszczanym przez Naomi. Miał idealnie zdrowe podejście do śmierci; powtarzał wciąż, że jego ojciec i dwaj bracia zmarli na atak serca i przeproszał za szok, jaki któregoś dnia tym u nas wywoła, ale argumentował, że z pewnością jest to lepsze od zniechęcenia. W 1988 roku stwierdzono u niego chorobę Parkinsona, a w rok później przenieśliśmy go do domu opieki mniej więcej kilometr od miejsca, gdzie mieszkamy.

Było to dla mnie potwornie przygnębiające. Dożył osiemdziesiątki, zachowując sprawność i pełnię władz umysłowych; i nagle było tak, jakbym oglądał horror, w którym zdrowe ciało gnije i rozpada się w ciągu paru sekund. Jego mięśnie zwiotczały, zaczął niewyraźnie mówić i potworny, błagalny smutek zagościł w jego oczach. Naomi odwiedzała go prawie co dzień, a ja wpadałem każdego wieczora po drodze do domu, chyba że było już za późno. Opowiadałem mu, co wydarzyło się w pracy, jak miały się jego udziały, raczyłem ploteczkami z City, a on kiwał głową. Nie wiem, ile z tego rozumiał, ale miałem nadzieję, że bardzo niewiele; dawniej była to niezwykle istotna część jego świata, a teraz został od niej odseparowany.

Odwiedziny stawały się coraz bardziej bolesne.

– Jak on się miewa? – zapytała pewnego wieczora Naomi, gdy wszedłem do kuchni; nic nie znaczące pytanie, które zadawaliśmy z przyzwyczajenia, nie zważając na to, jak głupio brzmiało.

– Jak zwykle. – Standardowa odpowiedź była równie mechaniczna. – Co jest na kolację?

– Wołowina po burgundzku. Zaraz ci odgrzeję w mikrofalówce. Idź i napij się whisky.

Poszedłem do salonu, przygotowałem sobie drinka i padłem na fotel przy kominku. Naomi przyłączyła się do mnie z winem, siadając w fotelu naprzeciw i przesuując palcami w górę i w dół po nóżce kryształowego kieliszka.

– To się staje męczące, prawda? – powiedziała. – Wydaje mi się, że on zdaje sobie z tego sprawę.

– Sam nie wiem, z czego zdaje sobie sprawę, a z czego nie. – Czułem się bardzo zmęczony. – Rozmawiałem dziś wieczorem z pielęgniarką i powiedziała mi, że jego stan znacznie się pogorszył w ciągu ostatniego tygodnia.

– Więc oczywiście nie możemy wyjechać w przyszłym miesiącu... a ty potrzebujesz wypoczynku.

– Przeżyję. – Wziąłem łyk whisky i zapatrzyłem się w kominek, zaczynając rozmowę na temat pomysłu, który przyszedł mi do głowy już jakiś czas temu. – Myślałem o tym, żeby go tutaj przenieść.

– Tutaj? – Naomi wyglądała na zaskoczoną.

– Czemu nie? Mógłby mieć sypialnię z łazienką i zatrudnilibyśmy całodobową pielęgniarkę. Możemy zdobyć wszelki sprzęt specjalistyczny, jaki będzie potrzebny.

– Ale w czym mu to pomoże?

– Będzie częściej widywał nas oboje. I... wydaje mi się, że wolałbym raczej, by umarł w naszym domu niż tam, gdzie teraz jest.

Naomi spuściła wzrok i pokręciła głową. – Nie chcę tego.

– To nie potrwa długo – argumentowałem. – Lekarz mówi, że najwyżej rok.

– Nie!

Wstała i przeszła przez pokój do okna, zaczynając zasuwać zasłony, mimo że na zewnątrz nadal nie było jeszcze całkiem ciemno. Kiedy odezwała się ponownie, w jej głosie słychać było napięcie.

– Nikt nie może dokładnie powiedzieć, jak to długo potrwa, a ja nie mogę... nie mogę mieć go tak blisko siebie. Przepraszam, ja po prostu... Kocham go... Zrobię wszystko, by... Ale nie tutaj.

– Przecież będzie pielęgniarka – powtórzyłem. – Przez cały czas. W niczym nie będzie się to różniło od obecnej sytuacji.

– Będzie. Będę wiedzieć, że on jest w domu. Umierający i... Chryste, kolacja pewnie już gotowa.

Prawie wybiegła z pokoju. Przez kilka minut nie mogłem zrozumieć, a gdy coś sobie wreszcie uświadomiłem, poczułem się winny, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Przeszedłem do kuchni. Naomi drżącymi dłońmi podawała kolację.

– Przepraszam – rzekłem. – Jestem bardzo zmęczony i martwię się o niego. Zupełnie zapomniałem, że już przez to przechodziłaś.

– To nie ma znaczenia. – Zaczynała się złościć. – To było całe wieki temu. I nie ma nic wspólnego z teraźniejszością. Ja po prostu nie chcę być z nim sama w tym domu!

– Ale będzie pielęgniarka...

– Przez cały czas? Żadnych wolnych dni? – Jej gniew gwałtownie eskalował, przybierając niemal cechy hysterii. – Czasami będzie wychodzić, prawda? A ja będę musiała tu być. Nie mogłabym tego znieść! – Upuściła chochlę i przecisnęła się obok mnie, potarćając moją dłoń z drinkiem tak, że połowa tego, co tam jeszcze zostało, rozlała się na podłogę. – Dalej sam się obsłuż! Ja nie jestem głodna!

Kiedy usłyszałem jej głośne kroki po schodach na górę i trzaśnięcie drzwi sypialni, sam zacząłem odczuwać złość. Popeliłem błąd, nie pamiętając, co stało się z jej ojcem, ale to było bez sensu. Żyliśmy od lat z chorobą mojego ojca i wspieraliśmy się nawzajem. Co było takie niemożliwe do zaakceptowania w tym, by spędził swoje ostatnie dni w domu ludzi, których kocha i dla których, o czym Naomi dobrze wiedziała, zrobił tak wiele? Ogarnął mnie taki nastrój, że postanowiłem nie dawać jej czasu na ochłonięcie i podążyłem na górę. Gdy otworzyłem drzwi sypialni, siedziała przy toaletce plecami do mnie.

– Zawsze mówiłaś mi, jak bardzo go kochasz – powiedziałem z wyrzutem. – Nie proszę cię przecież teraz o żadne wielkie poświęcenie.

– Wiem, że nie. – Spojrzała na moje odbicie w lustrze. – Przepraszam.

– W takim razie podaj mi powód. Choć jeden, który miałby sens.

– Nie mogę.

– Wobec tego taki powód nie istnieje.

– Istnieje.

– Co to jest?

Jej histeria zaczęła mi się udzielać i oboje już mówiliśmy podniesionym głosem. Podskoczyłem, gdy wzięła do ręki lustro w srebrnej oprawie i trzasnęła nim o toaletkę.

– Nie naciskaj na mnie, Charles!

– Nie naciskam. Chcę tylko, żebyś zaczęła mówić do rzeczy! O moim ojcu!

– Dobrze. – Odwróciła się na taborecie i spojrzała prosto na mnie. – Gdybym została z nim sama w tym domu, nie byłabym w stanie się do niego zbliżyć. Nawet gdyby wołał. Zadowolony? Teraz już ani słowa. Koniec rozmowy. Po prostu zostaw mnie w spokoju. Proszę.

Wstała, weszła do małej garderoby przy naszej sypialni i usłyszałem, jak zamyka drzwi na klucz. Stałem tam przez chwilę, po czym zszedłem na dół, skończyłem nakładać posiłek i zaniósłem go do jadalni. Naomi nakryła nasze dwa miejsca jak zwykle, ze szklankami z wodą mineralną i pocztą, która przysłała po moim wyjściu z domu. Wieczorny posiłek już dawno ustanowiliśmy chwilą, której potrzebowaliśmy, by codziennie pobyć tylko we dwojkę – automatyczna sekretarka chroniła nas przed dzwoniącymi – i zrzucić z siebie brzemię danego dnia. Kiedy problemy dzieci, reprezentujących jedno pokolenie, i rodziców, przedstawicieli innej generacji, zaczynały nas przytłaczać, jadalnia podczas kolacji stała się naszą oazą, w której mogliśmy pobyć razem. Teraz, kiedy potrzebo wałem jej współczucia i wsparcia, byłem tu sam.

Mój gniew przechodził powoli w urazę, gdy czytałem pocztę, notując coś na niektórych listach, żeby pamiętać, co muszę w związku z nimi zrobić. Zanim skończyłem, złość mi przeszła. Poszedłem z powrotem do salonu, zapaliłem cygaro i ponownie usiadłem przy kominku, próbując coś zrozumieć. Motyw umierającego ojca był oczywisty, ale reakcja Naomi była zbyt radykalna. Po ponad trzydziestu latach, podczas których starała się zatrzeć wszelkie ślady swego dzieciństwa i tak bardzo zmieniła swą osobowość, że mogłem się jedynie domyślać, jaka była wcześniej, śmierć ojca nadal wywoływała w niej taki niepokój? Dlaczego? To musiało mieć jakiś związek z sytuacją obecną. Próbowałem przypomnieć sobie, co wiedziałem. Harold Barlow zmarł w szpitalu, nie w domu, więc nie chodzi o wspomnienie opieki nad chorym; zresztą teraz nie musiałyby się nikim opiekować. Nigdy nie rozmawiałem z jej rodziną o tym przykrym wydarzeniu; i w zasadzie jedynie Tim był skłonny mówić o ojcu w ogóle. Na początku uważałem, że to trochę dziwne, a później uznałem, że ostatecznie wszystko stało się na tyle lat przed tym, jak poznałem którekolwiek z nich, iż nie miało to żadnego znaczenia.

– Przepraszam.

Odwrociłem się w fotelu. Naomi stała w drzwiach, na jej twarzy widać było ślady łez, a w dłoni trzymała mocno wymiętą chusteczkę.

– Brakowało mi ciebie podczas kolacji – powiedziałem. – To może brzmieć śmiesznie, ale stało się to dla mnie ważną częścią naszej codzienności. Myślałem, że dla ciebie też.

– Oczywiście.

– A jednak nie było cię tutaj. Właściwie nie było cię nigdzie w pobliżu. A tak cię potrzebo wałem...

– Przestań. Wolalabym, żebyś się wściekał i na mnie krzyczał. Żebyś nazywał mnie samolubną suką, powtarzał, że mnie nienawidzisz, ale ten twój spokój

jest okrutny. Rani mnie, bo wiem, że masz rację.

– Nie zamierzam krzyczeć, bo to w niczym nie pomoże – odparłem. – Pomoże natomiast, jeśli usiądziesz i powiesz mi dokładnie, w czym problem. Myślę, że częściowo cię rozumiem, ale musi być coś jeszcze i uważam, że mam prawo wiedzieć co. Ja tylko sugeruję, że mój ojciec powinien mieć szansę umrzeć wśród tych, których kocha – i którzy kochają jego. Nie sądzę, bym prosił o zbyt wiele.

– Masz rację. – Podeszła i ponownie usiadła naprzeciwko mnie, rozwijając chusteczkę, a później spuściła wzrok, składając ją i rozkładając. – Nie mogę... wyjaśnić tego do końca. Będziesz musiał mi zaufać. Wiesz, że bardzo kocham tatę i okropnie mi przykro z powodu tego, co się z nim stało. Nie chcę, żeby umarł, a jednocześnie tego chcę. Odwiedzam go tak często, jak tylko mogę, i wcale się nie skarżę. Ale nie mogę się zgodzić, by był u nas w domu, bo...

Czekałem, gdy chusteczka w jej dłoniach składała się w coraz to mniejsze trójkąty.

– Bo...? – ponagliłem w końcu.

Naomi spojrzała mi prosto w oczy. – Powiedziałam ci u góry. Bo mogą zdarzyć się takie chwile, kiedy będę z nim sama. Wiem, że będzie pielęgniarka, ale może się tak przytrafić.

– Wcale nie. Zawsze można poszukać kogoś na zastępstwo.

Znowu spuściła głowę, gdy na nią spojrzałem.

– Szukasz wymówek. Dlaczego?

– Chodzi... Chodzi o mnie. Nie mogę być w pobliżu umierającego. Proszę. Spróbuj zrozumieć.

– Próbowałem, spędziłem na tym minioną godzinę. Rozumiem, że musi to być związane ze śmiercią twojego ojca, ale...

Wstała gwałtownie. – Nie chcę o tym więcej mówić. To jest twój tata i zrobisz to, co sam uznasz za stosowne. Ale jeśli sprowadzisz go do tego domu, wtedy ja go opuszczę. Przykro mi, Charles, ale mówię poważnie.

Wyszła z pokoju i nigdy już na ten temat nie rozmawialiśmy. Przez chwilę myślałem o zignorowaniu jej sprzeciwów i postawieniu jej przed faktem dokonanym, lecz ostatecznie zdecydowałem, że ojciec powinien zostać w domu opieki. Zdołałem nawet siebie przekonać, że jest mu tam tak samo dobrze jak gdziekolwiek indziej, a chcąc przenieść go do domu, kierowałem się jedynie wygodą własną, nie jego. Oczywiście nie był to jedyny przypadek, kiedy Naomi mnie rozczarowała – a i ja zawiodłem ją wiele razy; małżeństwa trwają dzięki amnestiom wobec zrad – ale po tym konflikcie zostało mi uczucie niepokoju wywołanego

czymś nieznanym w jej wnętrzu. Najbardziej kłopotowało mnie to, że choć znałem ją bardzo długo, to w jej sekretnej komnacie znajdowało się coś potężnego, czego istnienia nigdy wcześniej nawet nie podejrzewałem. Przez kilka następnych tygodni wiele napisałem o tym w moim pamiętniku. Były to głównie przypadkowe, robocze spekulacje, ale pewnej nocy poczułem, że ubrałem swe obawy w słowa: „Potrafiłbym pogodzić się z faktem, że Naomi mnie okłamuje. Martwi mnie zaś to, że może okłamywać samą siebie. A ja nie wiem dlaczego”.

Podczas następnej wizyty Roberty wspomniałem jej o tym; zanim dojdę do jej reakcji, być może powinienem powiedzieć co nieco o swoich relacjach z dziećmi. David jest hedonistą, inteligentnym i dość pracowitym, ale obawiam się, że nasze wysiłki, by go nie rozpieszczać, spełzły na niczym, bo niezmiennie dąży do unikania wszystkiego, co może przysporzyć mu jakiegokolwiek trudu czy kłopotów. Nie ma sensu z nikim się wiązać, bo to kolidowałoby z jego przyjemnościami. Roberta z kolei jest zafascynowana ludźmi i jest bardzo uczynna; pierwszą z tych cech dziedziczy po mnie, drugą wykształciła sama. Nie powinno się nigdy wyróżniać żadnego z dzieci, ale moja córka stała się osobą, którą lubię, zaś mój syn wyrósł na człowieka, którego pewnie uważałbym za zbyt samolubnego, gdybym poznał go gdzieś jako obcego.

W tej chwili istnieje brak równowagi w naszych stosunkach z Robertą, do którego doszło po zerwaniu jej zaręczyn z Martinem. Na kilka tygodni błyskotliwa, pewna siebie młoda kobieta stała się nagle na powrót bezradną córeczką, irracjonalnie błagającą nas, byśmy sprawili, żeby wszystko znowu było dobrze. Słuchaliśmy typowej w takich okolicznościach, powtarzanej rozpaczliwie w kółko historii. Wiedzieliśmy od początku, że sama znajdzie rozwiązanie, że najlepiej pozwolić, by sama wylizała swe rany. Teraz ma się już dobrze, nie licząc tego, że jest nam zbyt wdzięczna, jako że nie zrobiliśmy wcale tak wiele, jak jej się wydaje. Dla jej dobra chcę, żeby to minęło; tymczasem zrzucam na nią niektóre ze swych problemów, tak by mała zamiana ról skorygowała jej spojrzenie na świat.

Nie zdradziłem jej wszystkich szczegółów, powiedziałem tylko, co zasugerowałem i że Naomi się nie zgodziła. Pierwszą reakcją Roberty było natychmiastowe współczucie.

- Biedny tatuś – powiedziała. – Sama czuję się fatalnie z powodu dziadka. A dla ciebie musi to być tysiąc razy gorsze.
- Czy sądzisz, że powinniśmy go tu przenieść?
- Nie wiem. To nie moja sprawa, prawda? Już tutaj nie mieszkam... A jak bardzo tego chcesz?

– Najwyraźniej nie za bardzo, skoro mamy „nie” wystarczyło, bym tego zaniechał – odparłem. – Być może dziadek i tak nie wie, gdzie jest, więc byłoby to bez sensu.

– Ale tak naprawdę martwi cię to, dlaczego mama tak się uparła. Mam rację? Uśmiechnąłem się do niej. – Oto moja spryciara. Masz jakieś pomysły?

– Przestań się zgrywać – powiedziała. – Oboje znamy powód. To musi być związane ze śmiercią jej własnego ojca... Co o tym wiesz?

– Bardzo niewiele. Miał guz mózgu czy coś takiego i był nieprzytomny przez rok przed śmiercią. Analogie są oczywiste, ale myślałem, że po tak długim czasie nie będą miały znaczenia. Najwyraźniej jednak się pomyliłem.

– Ale musisz pamiętać o tym, że mama, Tim i Richard byli z nim sami w szpitalu, kiedy umarł, więc... – Zamilkła, widząc moją minę. – O Chryste, nie wiedziałeś o tym, prawda?

– Nie, nie wiedziałem. A skąd ty wiesz?

– Babcia mi powiedziała. Parę lat temu. Przepraszam, że nigdy o tym nie wspomniałam, ale myślałam, że wiesz.

Pokręciłem głową. – Mama nigdy nic nie mówiła na ten temat... Lecz oczywiście tłumaczy to, dlaczego nie chce być w domu z dziadkiem. Obawia się, że może być także przy jego śmierci.

– Jednak to nie był powód, który ci podała, prawda? – zauważyła Roberta. – Gdyby tak było, wiedziałbyś, że oni wszyscy tam byli, i nie musiałabym ci o tym mówić. A dlaczego nie podała ci takiego uzasadnienia, tato? I właściwie dlaczego nigdy ci o tym nie powiedziała?

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywało, po czym zapytałem: – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Dla mamy najwyraźniej ma. Może gdybym z nią porozmawiała...

– Nie – przerwałem jej. Była zbyt chętna do pomocy. – Zostaw to mnie. Zastanowię się nad tym.

Przez jakiś czas rzeczywiście się zastanawiałem, ale nigdy nie rozmawiałem o tym z Naomi. To, co powiedziała Roberta, mogło stanowić całkiem sensowne wytłumaczenie, ale moja żona miała prawie dwadzieścia pięć lat na to, by mi powiedzieć, co się stało. Jeżeli ona, a także Tim i Richard chcieli zatrzymać to dla siebie, była to wyłącznie ich sprawa. Zresztą są zdarzenia w mojej przeszłości, o których nie wie ani Naomi, ani nikt inny. Takie rzeczy nie są ważne.

ROZDZIAŁ SZÓSTY: RICHARD

HSA581456 PAHOME AP 14:00

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

Wkrótce zostanie wypuszczona krótka notatka z informacjami na temat Richarda Barlowa.

HSA581469 PAHOME AP 14:14

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Richard (Dick) Barlow, lat 49, od 1976 roku jest redaktorem działu informacji w *Post* i jednym z najbardziej szanowanych profesjonalistów w branży dziennikarskiej.

Po raz pierwszy zaśląnął w roku 1970, kiedy ujawnił aferę z dziecięcą prostytutką, w którą zamieszani byli wysoko postawieni politycy i osobowości show-biznesu. Śledztwo, które wtedy przeprowadził, stało się rzekomo przyczyną wielokrotnych gróźb śmierci. Dwa lata później otrzymał tytuł Dziennikarza Roku za ujawnienie skandalu, który znany był pod nazwą „Nuklearna Brytania”; dotarł wówczas do objętych tajemnicą państwową dokumentów, które wskazywały na potencjalne miejsca składowania odpadów radioaktywnych.

Jeden z jego byłych kolegów powiedział nam o jego karierze reportera: „Kiedy inne gazety dowiadywały się, że Dick Barlow pracuje nad jakimś materiałem, natychmiast wysyłały trójkę reporterów, by starali się dotrzymać mu tempa. I z reguły im się nie udawało...”

W oświadczeniu dla Agencji Prasowej, Daphne Byron, redaktorka naczelna *Post*, powiedziała: „Dick Barlow jest jednym z najlepszych dziennikarzy, z jakim kiedykolwiek pracowałam, a jego sława nie ma sobie równych. Czekając na jakieś wieści, staramy się wykonywać naszą pracę tak, jak on by to robił”.

Jak dowiedzieliśmy się z wiarygodnego źródła z *Post*, pracowników redakcji niepokoi fakt, że pan Barlow się z nimi nie skontaktował. „Niezależnie od tego, jak bardzo te dwa zgony dotyczą Dicka Barlowa osobiście, to jako doskonały profesjonalista zapewne chciałby wziąć udział w pracy nad tym tematem.”

Ludzie lubią gadać bzdury na temat zgubnych skutków, jakie dla osobowości młodego człowieka może mieć śmierć ojca; przytrafiło mi się to i wiem, że to nieprawda. Tylko znajome dzieciaki wyglądają na zakłopotane, kiedy mówią, że im przykro, a dorośli przez jakiś czas trochę bardziej się tobą interesują. Ale to mija, a człowiek pozostaje jedynie dzieckiem, którego ojciec wprawdzie zmarł, ale poza tym życie toczy się dalej i trzeba znaleźć na nie jakiś pomysł. W moim przypadku oznaczało to jak najszybsze ukończenie nauki i zabranie się za dziennikarstwo.

Wylądowałem na posadzie reportera praktykanta w *Wilmsford Messenger*, naszym szmatławym tygodniku, a duch staruszka właściwie mi pomógł. Kiedy poszedłem na rozmowę kwalifikacyjną, wydawca miał przypięty znaczek klubu rotariańskiego, a ja od niechcienia napomknąłem, że kilka lat wcześniej tata był jego prezesem. Wszystko poszło jak z płatka i w styczniu 1960 roku zacząłem dla nich pracować. Wyprowadziłem się od matki – Naomi poszła na uniwersytet, ale Tim nadal był w domu – i znalazłem kawalerkę nad sklepem w centrum miasta. Podpisałem umowy terminatorskie na trzy lata, ale w czasie krótszym niż dwa nauczyłem się wszystkiego, co *Messenger* był w stanie mi zaoferować, więc zerwałem kontrakt, by dołączyć do *Evening Telegraph* w Blackburn, skąd po cichu sprzedawałem materiały gazetom krajowym, dopóki północne biuro *Daily Mail* nie zaoferowało mi pracy w Manchesterze. Nie cackali się tam ze mną – spędziłem pierwsze pół roku na drugiej zmianie, dzwoniąc co godzinę na wszystkie posterunki policji i straży pożarnej w północnej Anglii, by sprawdzić, czy coś się nie dzieje. Ale unikałem kłopotów, stawiałem drinki właściwym osobom w starym Klubie Prasowym na Albert Square i robiłem wszystko, by to, co napisałem, było lepsze niż wersja konkurencji; efekt był ważniejszy niż wierność szczegółom. Skutek był taki, że już na początku 1965 roku zostałem zastępcą redaktora działu informacji na nocnej zmianie i zacząłem wydawać polecenia reporterom, którzy byli w branży jeszcze przed moimi narodzinami. Kolejnym krokiem oczywiście był Londyn i wszystko było na jak najlepszej drodze aż do chwili, gdy odrzuciłem jakiś potworny artykuł napisany, jak się później okazało, przez przyjaciółkę żony redaktora naczelnego, a żaden z drani mnie nie ostrzegł.

Ocknąłem się, stojąc przed redakcją *Mail* na ulicy Deansgate z pożegnальnym czekiem w mojej dłoni, a pocztą pantoflową niosła się wieść, że pewnie już nigdzie nie dostanę roboty. Wkurzony na to całe towarzystwo, postanowiłem wydać

trochę pieniędzy i zabrać laskę, którą akurat posuwałem, w podróż. Chciałem wyjechać za granicę, ale ona zaczęła się rozczulać, jak to uwielbia południową Walię, no i uległem; ostatecznie łóżko jest łóżkiem niezależnie od tego, jaki ma się widok z okna. Okazało się, że było to jedno z najlepszych posunięć w moim życiu.

Pamiętacie katastrofę w Aberfan w 1966 roku? Ogromna hałda żużlu osunęła się na teren szkoły, grzebiąc 144 osoby, w większości dzieci – a my zatrzymaliśmy się niecałe dziesięć kilometrów stamtąd. Podśledzałem informację o tym w radio i nie licząc lokalnych pismaków, zjawiłem się na miejscu jako pierwszy dziennikarz. Zanim dotarła cała londyńska banda, zdążyłem przejść na ty z połową ekipy ratunkowej. Chryste, miałem naprawdę ekstra materiał, w tym cytaty, których nie musiałem nawet zmyślać, i zacząłem wydzwaniać po wszystkich redakcjach z wyjątkiem *Mail* – naprawdę z nimi skończyłem. Na drugi dzień pracowałem już dla *Post*, a facet przyjmujący artykuły powiedział mi, że redaktor działu informacji, Stan Leatherhead, chce ze mną pogadać. Oferował mi fortunę za wyłączność na wszystkie materiały, które posiadałem, i poprosił, bym przez kilka dni został na miejscu tragedii, gwarantując mi zwrot wszelkich kosztów. Po przycichnięciu sprawy chciał, żebym się z nim spotkał. Dałem *Post* materiały, których nie mógł mieć nikt inny – najlepsza była modlitwa szlochającego ojca klęczącego wśród gruzów; nawet gdyby naprawdę istniał, nie mógłby powiedzieć tego lepiej, niż ja napisałem. Dziewczyna, którą zabrałem ze sobą, ciągle marudziła, więc zapłaciłem za jej bilet powrotny do Manchesteru i zabrałem się za to, co naprawdę ważne. Kiedy szum wokół sprawy zaczął cichnąć – nawet najlepsze tematy po kilku dniach stają się nudne – spakowałem się i pojechałem do Londynu.

Nie jestem z tych sentymentalnych, ale nadal pamiętam uczucie, które mnie ogarnęło, gdy po raz pierwszy szedłem ze stacji metra Temple na Fleet Street. Na ulicy górował budynek *Daily Express* z czarnego szkła, a wszędzie, gdzie się spojrzało, można było zauważyć coś związanego z dziennikarstwem – czuć je było niemal w powietrzu. Rozpakowywano gigantyczne role papieru gazetowego, fotografowie wychodzili z budynku Brytyjskiej Agencji Prasowej i Reutera, reporterzy zatrzymywali taksówki, otwierały swe podwoje puby, w których można było spotkać takie sławy jak René McColla, Vincent Mulchrone, Sefton Delmer, Hannan Swaffer... W tamtych czasach dziennikarze mieli nawet stosowne imiona i nazwiska. W nocy ulica pulsowała hukiem pras drukarskich i ciężarówek rozwożących gazety; nawet w porze lunchu nie słabło tu napięcie. Teraz redakcje są,

rzecz jasna, rozproszone i jest to jedna z niewielu rzeczy, których mi w życiu żal. Brak mi tego poczucia przynależności, które oferowała Fleet Street.

Biura *Post* znajdowały się przy Bradley Court, tuż za kościołem Oblubienicy Pańskiej: ładna marmurowa recepcja tuż za drzwiami i typowy bałagan w redakcji na trzecim piętrze. Stan Leatherhead przeprowadził ze mną coś, co mogłoby być uznane za rozmowę kwalifikacyjną – choć tematem naszej konwersacji było jedynie to, ile zarobię i kiedy mogę zacząć – po czym zabrał mnie na lunch w płynie. Wychodząc, spotkaliśmy na korytarzu redaktora naczelnego, który z uznaniem wyraził się o moim materiale z Aberfan i powiedział, że cieszy się, iż do nich dołączam. Stan dał mi kilka wskazówek co do tego, gdzie mogę znaleźć lokum, i dwa tygodnie później siedziałem w mieszkaniu w Buttersea, czytając swój pierwszy podpisany imieniem i nazwiskiem artykuł dla *Post*. A gdybym wziął tę łaskę na południe Francji, tak jak chciałem... Choćby człowiek był nie wiem jak dobry, to zawsze potrzebna mu jest odrobina szczęścia.

Od samego początku było jasne, że Stan już się kończy – spędzał za dużo czasu w pubach ze starymi pierdzielami, wspominając, jak to relacjonowali bombardowania podczas wojny – a jego zastępca był beznadziejny. Kiedy Murdoch* zaczął wydawać *Sun* i zmienił kompletnie kodeks postępowania na Fleet Street, Stan bełkotał coś o odpowiedzialnym dziennikarstwie i o tym, że te cycki na trzeciej stronie nigdy się nie sprzedadzą, ale kiedy sprzedaż *Post* spadła, jego głowa poleciała wraz z nią; ja trzymałem tylko jeden z noży, jakie wbito mu w plecy, ale to właśnie mnie powierzono jego posadę. Powiedziano mi, że mam dwanaście miesięcy na to, by podnieść nakład o utracone 100 000 egzemplarzy; podniosłem go o dwukrotność tej liczby. Dziś potrafię sprawić, że reporter zesra się w gacie, jeśli tylko pominię jakiś punkt widzenia lub nie zostawi konkurencji daleko w tyle. Miałem na biurku napisane: „Nikt nie może być lepszy od nas – więc nie spieprz”. Przedstawiono moją sylwetkę w sekcji dotyczącej mediów w *Independent*; napisano tam, że jestem najnowszą legendą na liście sięgającej najbardziej świetlanych dni Fleet Street. Tak właśnie mnie nazwali w tej wspaniałej, „poważnej” gazecie, cokolwiek by to oznaczało. Premier i większość członków gabinetu ma mój domowy numer telefonu, a rzecznicy prasowi pałacu Buckingham zaczynają trząść portkami, gdy słyszą, że puściłem w *Post* historię, którą woleliby zachować w tajemnicy.

* Rupert Murdoch (ur. 1931) – australijski wydawca, który stworzył międzynarodową sieć wydawnictw prasowych. W Wielkiej Brytanii należy do niego m.in. *Sunday Times*, *The Times* i *The Sun*; ten ostatni, jako brukowiec, na trzeciej stronie zawsze zamieszcza zdjęcie roznegliżowanej dziewczyny.

Kiedy szef służb specjalnych zapytał pewnego razu Daphne Byron, która teraz

jest moim naczelnym, czy nie jestem czasem psem, co dużo szczeka, a słabo gryzie, odpowiedziała mu, że nie tracę czasu na szczekanie. Mógłbym istnieć, spać, jeść i oddychać jedynie dla tej roboty; to jedyna rzecz, jaką warto robić.

W moim życiu prywatnym wszystko jest w porządku. Utrzymuję kulturalne stosunki z moją byłą żoną i dwiema córkami, które wiele dla mnie znaczą, mimo iż nie widuję się z nimi tak często, jak powinienem. Kathy jest na Oksfordzie, studiuje literaturę angielską; w niej właśnie skupiła się cała mądrość rodziny. Emma poszła zupełnie w drugą stronę, co mnie martwi, ale nie wiem, co mógłbym zrobić; być może ciężko przeżyła to, jak jej matka i ja się rozwodziliśmy. Dałem jej wszystko, czego tylko mogła chcieć – opłaty za tę szkołę, z której ją wyrzucono, wyniosły mnie majątek – i mogłem ustawić ją w branży, ale ona nie chciała. Próbowałem z nią rozmawiać, nawet przez jakiś czas miałem ją u siebie, lecz stale ciągnęło ją do tej bandy obiboków i ćpunów, z którymi się zadawała. Raz poszedłem się z nią zobaczyć tam, gdzie mieszkali; osoba, którą tam zastałem, to nie była moja córka, nie mówiliśmy nawet tym samym językiem, Próbuję wszystkiego, by zmusić ją do odejścia stamtąd, ale to nic nie daje. Przynajmniej jednak utrzymuje kontakty i udaje mi się od czasu do czasu zabrać ją na obiad. Pilnuję, żeby miała pieniądze, nawet jeśli oznaczałoby to, że płacę po sześćdziesiąt funtów za dzienną działkę jednego z jej przyjaciół. W żadnym razie nie pozwolę na to, by moja córka siedziała w łachmanach na posadzce jakiejś stacji metra, ignorowana przez przechodniów, prosząc ich o jakieś drobne. W końcu wszystko się ułoży, ona pewnego dnia wróci. Muszę tylko mieć otwarte dla niej drzwi.

Z wyjątkiem problemu z Emmą wszystko mam poukładane. Stephanie jest ze mną od jakichś trzech lat i nie czuję potrzeby, by dokładać starań i szukać alternatywy. Jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby mieć to co ja. Zbijam 70 000 funtów rocznie plus dodatkowe dziesięć kawałków w dodatkach; mam najlepszej klasy służbowe BMW, darmowe bilety na wszystko, co chciałbym zobaczyć, luksusowe mieszkanie w zachodnim Londynie, wymarzoną pracę, niezależność, władzę i dwudziestosześcioletnią brunetkę, która dotrzymuje mi towarzystwa w nocy. Nikt mi tego nie podarował, zapracowałem na wszystko sam i nikt mi tego nie odbierze.

Kolejną część mego życia – nie żeby znowu tak bardzo się liczyła – stanowi moja rodzina. Od czasu do czasu odwiedzam Naomi, która mieszka w Hertfordshire, ale wszyscy razem spotykamy się tak naprawdę tylko podczas głównego dorocznego zjazdu na Boże Narodzenie w Brookmans Park. Nie wiem, po co zawracamy sobie tym głowę, ale Naomi uważa, że to ważne. Tim przywozi

swoją rozklekotaną sierrą Claire, reprezentującą taki typ kobiety, który sprawia, że chciałbyś spalić każde łóżko na świecie – i zawsze zabierają ze sobą mamę. Co myślę o swojej rodzinie? Naomi – podziwiam ją; ma moją determinację i oboje zaszliśmy daleko. Być może w kilku przypadkach nie byliśmy całkiem uczciwi, ale uczciwość bywa zbędnym utrudnieniem. Tim jest tym, którego zostawiliśmy w tyle, głównie dlatego, że sam nie chciał się ruszyć. Teraz, kiedy wracam do Manchesteru – co zdarza mi się niezwykle rzadko – odnoszę takie dziwne wrażenie, że miejsce, gdzie się urodziłem i wychowałem, jest mi kompletnie nieznane. Wspomniałem o tym Naomi, a ona powiedziała to samo. Zaś Tim wciąż tam tkwi, nie tylko fizycznie, ale również dlatego, że zatrzymał się na najbliższym horyzoncie, do którego dotarł. Ma strasznie płaską mentalność... A może po prostu nie chciał uciec? Nie rozumiem tego, bo powodów do ucieczki znalazłoby się mnóstwo.

Jest też mama. Tim sądzi, że ją zna, ale to nieprawda. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć o niej wszystkiego – potrafi dobrze grać, kiedy chce – ale po śmierci taty w jej życiu zdarzyło się znacznie więcej, niż chciałaby to przyznać. Jestem absolutnie pewien co do Donalda Barraclougha, który mieszkał obok nas w Tattersall Close, a śmiem twierdzić, że byli też inni. I bardzo dobrze – stary stanowczo za długo trzymał ją na uwłazi. Pewnego dnia może powiem o tym Timowi.

Kto tam jeszcze jest? Roberta, córka Naomi, która nie zgadza się ze mną w kwestii dziennikarstwa, twierdząc, że najważniejsza jest etyka, ale tego przecież należy oczekiwać po pracownikach BBC. Jest i jej brat, David, który przypomina trochę swojego dziadka: zadziorny drań, któremu się wydaje, że jest darem bożym dla kobiet. Być może jest; miał ich w końcu niemało. Charles jest dobry, gdy jest potrzebny cynk z giełdy papierów wartościowych, ale nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego. Kiedy próbuję nakłonić go do zdradzenia jakichś ciemnych sekretów ze świata finansjery, bardzo wprawnie zmienia temat.

Nie mogę dopuścić do jednej rzeczy: by coś mnie przestraszyło, bo strach świadczy o wyłaniającej się słabości, a słabi w mojej profesji idą pod ścianę. Nadal pamiętam, jak bardzo bałem się w tamtej szpitalnej sali ponad trzydzieści lat temu, i poprzysiągłem sobie, że już nigdy sobie na to nie pozwolę. Nie zrobiłem tego, ale zostałem w to wciągnięty; Naomi i Tim ten jeden jedyny raz przejęli nade mną władzę. Teraz okłamują się na ten temat, mimo że zabicie starego

było najprawdopodobniej najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobili. To nie był mój pomysł, ja tylko... po prostu poszedłem za nimi, bo... no bo tak. Lepiej dla niego, że zmarł – i lepiej dla nas. Lepiej dla mamy. W każdym razie zasłużył na to. Nadęty, apodyktyczny cudzołożnik – za każdą spódniczką by poleciał – hipokryta, głupiec... Nienawidziłem drania i... Ale to nieprawda, że takie wydarzenie musi mieć zgubne skutki. Czy zaszedłbym tak daleko, gdyby w istocie tak było?

ROZDZIAŁ SIÓDMY: FLORENCE

HSA584600

PAHOME

AP

14:02

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Donald Barraclough, lat 78, który przez z górą czterdzieści lat mieszkał w domu sąsiadującym z domem Florence Barlow w Tattersall Close, Wilmsford, powiedział, że oczekiwała ona z niecierpliwością świątecznej wizyty w domu swojej córki.

„Zawsze byli blisko jako rodzina, mimo że spotykają się teraz wszyscy razem tylko raz w roku – dodał. – Rozmawiałem z nią tuż przed wyjazdem. Miała mnóstwo prezentów, które kupiła dla wszystkich. Z pewnością nie dostrzegłem nic, co pozwoliłoby przypuszczać, iż coś jest nie tak.”

Dawn Townsend, wiceprzewodnicząca Amatorskiego Towarzystwa Operowego w Wilmsford oznajmiła, że Florence Barlow była jedną z dłużej zaangażowanych członkiń i przez cały czas pozostawała aktywna.

„Oczywiście nie gra już głównych ról, ale od czasu do czasu nadal coś dla niej znajdujemy, a ona nigdy nie odmawia – powiedziała. – Wydaje się to potworne, by coś tak straszego przytrafiło się osobie zawsze zadowolonej z życia i obdarzonej szczęśliwą rodziną. Florence Barlow należy do najbardziej lubianych ludzi, jakich znam; jest zawsze uśmiechnięta, zawsze pełna energii.”

Pani Barlow, lat 74, owdowiała w roku 1959.

Czy jestem nikczemna? Nie czuję się taka, już nie; jestem po prostu inna, niż byłam. Tak wiele rzeczy zmieniło się w moim życiu, że jest prawie niemożliwością przyrównać świat mojego dzieciństwa do tego, w którym teraz żyję. Urodziłam się w dzień świętego Walentego w 1918 roku i dorastałam w czasach, gdy pomimo tumultu wojny ludzie nadal kurczowo trzymali się pewnych przyjętych zasad zachowania i je akceptowali. Roberta po raz pierwszy wzięła udział w wyborach, mając 18 lat – oczywiście głosowała na najbardziej lewicowego kandydata z Partii Pracy – podczas gdy moja mama uzyskała to prawo, będąc już w średnim wieku, i posłusznie głosowała na Konserwatystów, tak jak poinstruował ją ojciec. Co pomyślałaby o tym, jak się zachowałam? Po prostu nie mogłabym pozwolić,

by się tego choćby domyślała; byłaby przerażona. Widzicie, czasami wydaje mi się, że urodziłam się w niewłaściwej epoce, ale dożyłam tej właściwej. Dlatego tak bliska jest mi Roberta; gdybym urodziła się w latach sześćdziesiątych, byłabym dokładnie taka jak ona. Odważna, pewna siebie, *cool* (uwielbiam te słowa, które przywędrowały do nas z Ameryki), byłabym niezależna i czerpałabym naturalną radość z seksu. Ostatecznie też tego doświadczyłam, jednak dopiero w drugiej połowie swego życia.

Donald Barraclough był moim pierwszym kochankiem, a został nim w czasie, gdy powinnam była nadal oplakiwać Harolda; pierwszą częścią garderoby, którą pozwoliłam Donaldowi z siebie zdjąć, była czarna, żałobna sukienka. Stało się to w niecałe trzy miesiące po pogrzebie, a kiedy zaczął coś mówić, położyłam dwa palce na jego ustach i pokręciłam głową. Był dobrym kochankiem – bardzo szybko zdałam sobie sprawę, że musiał zdobyć mnóstwo praktyki podczas wyjazdów z domu – ale nie mogę udawać, że naprawdę podobał mi się ten pierwszy raz. Stało się to pewnego popołudnia w moim łóżku, gdy jego żona robiła zakupy w Manchesterze. Kiedy wyszedł, usiadłam w kuchni, popijając herbatę i paląc papierosa – aż do tamtego dnia palenie stanowiło mój jedyny grzech, mimo że w tamtych czasach było to już całkiem do przyjęcia. Czułam się winna z powodu tego, co właśnie zrobiłam, i musiałam spróbować jakoś się przed sobą usprawiedliwić. Powinnam była pokornie pogodzić się z faktem, że przede mną okres seksualnej abstynencji; drugie małżeństwo nie było wykluczone, ale nie w najbliższym czasie, a seks z żonatym mężczyzną był zdecydowanie zabroniony. Wiedziałam, że to, co działo się między mną a Donaldem podczas choroby Harolda, właśnie do tego prowadziło, ale dlaczego pozwoliłam mu posiąść się tak szybko? Nagle zdałam sobie sprawę, że stało się tak, bo chciałam uciec od własnej przeszłości, otrząsnąć się z niej, gdyż...

Zgasiałam jednego playersa o średniej zawartości nikotyny, by natychmiast zapalić następnego, próbując wszystko przeanalizować – naprawdę znalazłam się na równi pochyłej. Chodziło o coś więcej niż rozgoryczenie wywołane tym, jak moje życie zostało za mnie zorganizowane najpierw przez moich rodziców, później przez męża. Nie uciekałam jedynie od frustracji, która sięgała wielu lat wstecz, ale od czegoś, co wydarzyło się całkiem niedawno i było bardzo łatwe do nazwania. Była to śmierć Harolda – nie, nie jego śmierć, ale moment, w którym nastąpiła. Bo... bo chciałam, żeby mój mąż umarł. Jaka ja byłam okrutna dla tego biedaka. Czyżby to pragnienie okazało się na tyle silne, że jakimś cudem spowodowało to, co się stało, niczym gorliwa modlitwa, która została wysłuchana? To brzmi

idiotycznie, ale widzicie – upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by się do tego przyznać – ja nie tylko *pragnęłam* jego śmierci; ja myślałam, żeby go... Donald pracował w firmie farmaceutycznej i być może dałby mi coś, co mogłabym w jakiś sposób podać... Ból i strapienie rodzą w głowie rozmaite pomysły. Nie wspomniałam nawet o tym Donaldowi, ale taka myśl zaistniała i miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. I wtedy, co niemal graniczyło z cudem, Harold umarł spokojnie, niespodziewanie i w sposób, który lekarze po prostu uznali za jeden z możliwych wariantów, i nagle wszystko było dobrze. Wypłacono nam jego ubezpieczenie na życie, zdjęto wszelkie obciążenia z hipoteki domu. Nie stałam się bogata, ale mogłam żyć całkiem dostatnio, a Naomi i Tim mieli możliwość kontynuowania edukacji.

Dzieci... Ponad dwa centymetry popiołu wyrosły na końcu mego papierosa, gdy stawiałam czoło temu, co siedziało w mojej głowie, przed czym tak naprawdę uciekałam, pozwalając Donaldowi zabrać mnie do łóżka. Czy po tylu miesiącach one też pragnęły śmierci ojca? Pewnie nikt by się tego po nich nie spodziewał, ale byłoby to absolutnie zrozumiałe. Nic nie można było dla niego zrobić, jego życia nie można było nazwać życiem i rzucało to cień na całą ich przyszłość. Naomi i Tim martwili się również o mnie – nie miałam tej pewności co do Richarda – i podpowiadali, co mogą zrobić, by pomóc. Oboje powiedzieli, że skończą szkołę tak szybko, jak to tylko możliwe, i zaczną pracować. Nie zarobiliby wiele, ale zawsze coś. Powiedziałam im, że nie wolno im tego robić i że jakoś sobie poradzimy, ale oni wiedzieli, że tylko tak mówię, że nie widziałam wyjścia z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej wszyscy tkwiliśmy. Aż pewnej soboty znaleźli się z nim w szpitalnej sali sami...

Nie. Tylko nie to. Choćby i z miłości. Być może byłyby to akt dobroci wobec Harolda i jakieś wyjście dla mnie, ale ich życie stałoby się przez to zbyt straszne. Pogodziłam się z faktem, że moje dzieci mają przede mną tajemnice, ale nie mogłabym żyć z myślą, że jedna z nich może być aż tak potworna. To było niewyobrażalne, coś takiego zdarza się w melodramatycznych powieściach grozy, ale nie w zwykłych rodzinach mieszkających w bliźniaku na przedmieściu. Jednak szanowane wdowy w takich domach nie znajdowały sobie kochanków tak szybko po śmierci mężów... Bywają takie myśli, których nie mamy odwagi sobie uświadomić.

Romans z Donaldem trwał prawie dwa lata, podczas których wiele się nauczyłam, również tego, że w cudzołóstwie, tak jak i w małżeństwie, może mieć miejsce zdrada. Było to dla mnie szokiem, gdy zdałam sobie sprawę, że nie byłam jedyną kochanką w jego życiu, nie dlatego, że kochałam go do szaleństwa, ale

ponieważ musiałam na wszystko spojrzeć z innej perspektywy. Zwróciłam się do niego, szukając pocieszenia, choć nie przeczę, przyjemność fizyczna też nie była bez znaczenia, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że nie ma powodu, dla którego miałabym się ograniczać wyłącznie do niego. Kiedy stało się jasne, że on nie ograniczał się do mnie, zaczęłam inaczej patrzeć na te sprawy. Wszystkie dzieci opuściły już dom, a ponieważ w zasadzie nie musiałam pracować – choć pracowałam na pół etatu w bibliotece w Wilmsford, żeby nie zwariować – byłam w zasadzie wolną kobietą. I zaczynały się właśnie lata sześćdziesiąte, czas radowania się wolnością. W wieku czterdziestu dwóch lat wyglądałabym śmiesznie w miniówce, ale było mnóstwo innych rzeczy w modzie, które mogłam zaadaptować, włączając w to te seksowne. Manchester był w tym okresie ekscytującym miastem, ze swoimi grupami rockowymi i genialną drużyną piłkarską; życie towarzyskie otwierało możliwości, a ja byłam gotowa z nich skorzystać. Przez prawie dwadzieścia lat pozostawałam bierną, posłuszną żoną; teraz stałam się cudzołożnicą. Harold najpierw mnie uwięził; jego śmierć była moim wyzwoleniem.

Największą trudność stanowiło utrzymanie tego w tajemnicy przed moimi dziećmi, dla których cały czas byłam wdową po ich ojcu, bardzo porządną i godną szacunku. Naomi była na uniwersytecie, a Tim w kolegium nauczycielskim, więc musiałam się o to martwić tylko podczas wakacji, zaś Richard krótko po otrzymaniu pracy w *Messenger* oświadczył mi, że chce przeprowadzić się do wynajętego mieszkania. Zdawałam sobie sprawę, że spodziewa się moich obiekcji, więc musiałam być bardzo ostrożna, by nie pokazać po sobie, jak bardzo podobał mi się ten pomysł. Nie wyprowadził się daleko, niecałe dziesięć minut drogi samochodem, ale odwiedzał mnie bardzo rzadko. Z poczucia obowiązku pytałam, czy dobrze się odżywia, i proponowałam, że zrobię mu pranie, ale zawsze mi mówił, że sobie radzi. Przez jego kawalerkę – wyglądała, jakby uderzyła w nią bomba, gdy raz wpadłam tam niespodziewanie – najwyraźniej płynął nieustający strumień dziewcząt; ubawiła mnie myśl, co by się stało, gdybyśmy kiedykolwiek mogli porównać swoje wyniki. Ale choć oszukiwałam moje dzieci, to nadal się o nie martwiłam, świadoma faktu, że choroba i śmierć Harolda musiały na nich w ten czy inny sposób odcisnąć swoje piętno; ojciec miał silny wpływ na ich życie, a oni jakoś musieli pogodzić się z jego utratą. Ich reakcje były interesujące. Kiedy Naomi powróciła na przerwę świąteczną po pierwszym semestrze w Sheffield, prawie jej nie poznałam: ostry, jaskrawy makijaż i obcisła czarna miniówka; jej ojciec padłby trupem. Kiedy mówiła, odnosiłam wrażenie, jakby zupełnie inna młoda kobieta naśladowała jej głos. Zrobiło mi się przykro, bo była bardzo atrakcyjna i wyglądałaby oszałamiająco, gdyby nie ten image prostytutki z Picadilly Zrobiła dość

smutny grymas, gdy otworzyłam drzwi i ją zobaczyłam.

- Cześć, mamó – rzuciła. – Trochę się zmieniłam.
- Właśnie widzę. Wyglądasz... hm, z pewnością inaczej.
- Mnie się podoba. Przywykniesz do tego.

I na tym skończyła się nasza rozmowa na temat jej wyglądu. Gdy rozpakowywała się w swoim pokoju, ja zaparzyłam dzbanek herbaty i zastanawiałam się, jak każda z nas będzie się teraz zachowywać. Nie mogłam przecież zdradzić czegośkolwiek na temat romansu z Donaldem, zaś co do niej, nie byłam pewna, czy zdradzi mi, do jakiego stopnia zmieniła się poza swym wyglądem – bo z pewnością musiała się zmienić. Kiedy zeszła na dół, zapytałam o uniwersytet i jej przyjaciół, do jakich klubów wstąpiła, czy podobały jej się studia. Następnie zdałam jej wybiórczą relację z tego, co sama robiłam, wspomniałam o pracy w bibliotece, towarzystwie operowym, remoncie łazienki; kiedy zapytała, jak mają się Barracoughowie, powiedziałam jej, ile radości sprawiało mi pomaganie Cicely w prowadzeniu straganu z używanymi książkami, z którego dochód przeznaczony był dla Fundacji Ratowania Kościoła Świętego Łukasza. Musiałyśmy rozmawiać dobrą godzinę, zanim wspomnialiśmy o Haroldzie, który zmarł niecałe sześć miesięcy wcześniej.

– Kilka dni temu otrzymałam bardzo miły list od tego pana, który korespondencyjnie grał z tatą w szachy – powiedziałam. – Chciał mi tylko przekazać, że myśli o mnie w związku ze zbliżającymi się Świętami. To było bardzo uprzejme z jego strony.

– Jeszcze herbaty? – Naomi wstała i ruszyła w stronę kuchni, czekając na moją odpowiedź. Nie odezwała się, dopóki nie zniknęła z mojego pola widzenia. – To miło. Jak on się nazywał?

– Eric Summerville. – Zdałam sobie sprawę, że gapię się w pustą filiżankę. – Mieszka w Hampshire.

– Ach, tak. Pamiętam... Gdzie teraz trzymasz puszkę z herbatą?

– Tam gdzie zwykle. W szafce po lewej stronie. Dwie łyżeczki herbaty i pół dzbanka wody wystarczy.

Kiedy słyszałam, jak zapala gaz, żeby ponownie zagotować wodę w czajniku, i nuci jakąś piosenkę, wiedziałam, że nie ma ochoty rozmawiać o swoim ojcu – i być może ja też tego nie chciałam. Znałam swoje ku temu powody, ale zastanawiałam się, jakie były jej. Przez resztę ferii prawie o nim nie wspominałyśmy.

Tim był jej zupełnym przeciwieństwem: typowy relikwiarz studenta z lat pięćdziesiątych w szarej budrysówce i szaliku w paski w barwach swego kolegium, tak jakby uczeń liceum przebrał się jedynie w nowy mundurek. A w swych

cotygodniowych listach nie przestawał pisać o Haroldzie, mówić o nim, kiedy dzwonił, a już w szczególności, gdy wracał do domu. Komentował najdrobniejsze zmiany w domu, nawet te, które były nieuniknione, takie jak zniknięcie butów Harolda ze stojaka z obuwiami; wyglądało to tak, jakby wołał, by dom stał się muzeum – nie, czymś więcej, mauzoleum jego ojca, którego ja miałam być stróżem. Nie podobało mu się, kiedy widział mnie w nowym ubraniu, i nalegał, żeby pokój, który był jego sypialnią, pozostał taki sam; plakat Lena Huttona, kapitana angielskiej drużyny krykieta z 1954 roku, pozostał na jego ścianie aż do dnia ślubu, kiedy to ściągnął go i zabrał ze sobą; o ile wiem, nadal go ma.

Jego bezustanne wzmianki o ojcu denerwowały mnie, wręcz doprowadzały do szału, ale gryzłam się w język. Było to najwyraźniej coś, czego potrzebował jako punktu oparcia, i byłby zdruzgotany, gdyby dowiedział się, że uważam to za praktycznie nieistotne. Myślałam, że to etap, który przeminie, ale nigdy tak się nie stało. Gdy pierwszy raz przyprowadził Claire, żeby mnie poznała, oprowadził ją po ogrodzie, tłumacząc, jak zaprojektował go Harold, a potem uparł się, bym wygrzebała stare fotografie i pokazała jej, jak wyglądał jego ojciec. Claire wydawała stosowne dźwięki nad zdjęciami i zadawała stosowne pytania na temat Harolda, bo było oczywiste, że tego oczekuje po niej Tim. Starłam się nawiązać rozmowę na temat jej osoby, ale wydawała się taka tępa, na jaką wyglądała.

– Claire naprawdę cię lubi, mamó – powiedział mi Tim, kiedy zadzwonił w następnym tygodniu. Wydawał się zachwycony.

– Ja też ją polubiłam. – Zrobiłam do siebie głupią minę w lustrze w korytarzu. – Zdaje się, że jest bardzo miłą dziewczyną.

– Jej rodzice chcą cię poznać – dodał. – Mieszkają niedaleko, w Harper Close. Dałam im twój numer i skontaktują się.

Tak więc mój status jako przyszłej teściowej został mi narzucony w taki sam sposób, w jaki wcześniej została mi narzucona rola żony; historia powtórzyła się jak farsa.

No i pozostał tylko Richard. Tak jak Naomi prawie nie mówi o Haroldzie, ale faktem jest, że prawie go nie widywałam, odkąd się wyprowadził. Szczerze mówiąc, on nie bardzo mnie obchodzi, nie potrafię pogodzić się z faktem, iż powinien mnie obchodzić tylko dlatego, że jest moim synem. Zresztą on chyba myśli o mnie tak samo. Traktuje mnie protekcyjnie. Podobnie jak Tim, który w dodatku robi to w tak męczący sposób, jak gdybym w chwili śmierci Harolda natychmiast została starzejącym się eksponatem, który należało szczególnie dbać, o tak że mając wybór, wolę już obcesową arogancję Richarda od przyprawiającej o mdłości troski jego brata.

Reasumując, żadne z moich dzieci mnie nie rozumie i nie jestem pewna, czy ja je rozumiem. Nie są już takie, jak dawniej.

Raz do roku, w święta Bożego Narodzenia, spotykamy się wszyscy razem. Stało się to niemal tradycją, że jedziemy do Hertfordshire. Naomi i Charles mają taki piękny dom i są wspaniałymi gospodarzami. Moja córka, gdy tylko wyrosła z fazy zbuntowanej studentki, wystrzeliła w górę drabiny społecznej i stała się wielką panią na włościach (to podła uwaga, Florence, wiesz sama, że lubisz, by cię rozpieszczano w luksusach). Kiedy wnuczęta były małe, było cudownie – świątecznemu nastrojowi dobrze robi miłość do magii maluchów. Ale kiedy zaczęły podrastać, wyłoniły się ich osobowości i zaczęły się ściierać. Teraz są czwórką młodych dorosłych, a ja nie mogę uwierzyć, że jedno z nich uczyni mnie pewnego dnia prababcią. Wszyscy różnią się między sobą. Roberta oczywiście jest moim oczkiem w głowie, tą, którą sama chciałabym być. Jej brat, David, jest niesamowicie dobry w roztaczaniu swego czaru, gdy mu to pasuje, co zawsze mnie trochę dziwi, bo jest uderzająco podobny do Harolda, a osobisty urok nie był bynajmniej zaletą mego męża. Nie lubię Davida, bo nie jestem pewna, czy mogłabym mu zaufać. Kathy i Emma, córki Richarda, są jak ogień i woda. Kathy posiada chłód swego ojca, któremu towarzyszy bystrość i inteligencja – nie inteligencja, raczej intelektualizm, a to trochę co innego – i jest zbyt ambitna, by komukolwiek mogło to wyjść na dobre; Emma jest jak dziecko, które gryzmołi po tapecie nie po to, by zwrócić na siebie uwagę, ale by wzbudzić wściekłość w jakimś bezsensownym, chełpliwym geście buntu. Podziwiam Richarda za to, że nigdy się nie poddał, jeśli o nią chodzi – ja nie miałabym tyle cierpliwości – i udało mu się zachować dla niej miejsce w rodzinie, mimo że nieustannie wprawia tym wszystkich w zakłopotanie.

W sam środek tego wszystkiego wrzucono mnie jak starzejącego się rodzica, a ja obowiązkowo wypełniam swoją rolę, zachowując wiele ze swych sekretów tylko dla siebie. Jedyne miejsce w ciągu roku, kiedy muszę przybierać pozę, to Boże Narodzenie, gdy się spotykamy, mimo że dla Tima oznacza to trzysta kilometrów za kierownicą; wiem, że Claire wolałaby zostać w domu. Jediną osobą, której dotąd nie wspomniałam, jest mąż Naomi, Charles. Zwykłam trochę się go obawiać – Marlborough i Cambridge, rodzina jak prosto z kart książki o arystokracji – ale to bardzo kontaktowy człowiek i potrafi znaleźć się w każdym towarzystwie. Pewnej Wigilii przybył do domu prosto z bardzo oficjalnego spotkania w rządowych kręgach, ale już po kilku minutach rozmawiał z Timem o problemach nauczycieli z podstawówki. Dobre wychowanie, powiedziałyby moja mama,

zawsze da o sobie znać. Charles jest w stosunku do mnie bardzo uprzejmy, ale czasami mam wrażenie, że podejrzewa istnienie mej prawdziwej natury bardziej niż moje własne dzieci. Jest dokładnie takim zięciem, jakiego życzyłyby sobie Harold.

Och Boże, dlaczego Harold wciąż się tu pojawia? Na litość boską, on umarł w 1959 roku. Oglądając się wstecz, muszę przypominać samej sobie, że naprawdę byłam potulną żoną i obowiązkową matką. Kochałam go – cóż, może to minęło, ale zawsze szanowałam go i byłam mu posłuszna – i nie żałuję pod żadnym względem tego, co razem przeżyliśmy. Gdyby nie umarł, moje życie byłoby inne, ale stało się. Więc dlaczego tak często pojawia się w moich myślach? Zdarza się to, kiedy jestem z dziećmi albo o nich myślę, co znaczy, że... Nie wiem, co to znaczy. Pewnie już wkrótce zostanę prababcią maluchów, które będą dorastać w dwudziestym pierwszym wieku, będę zbyt stara, zbyt zmęczona i szczerze mówiąc, zbyt obojętna, by martwić się o swoje własne dzieci. Nie będę kopać i krzyczyć, jeśli zechcą umieścić mnie w domu starców; oni będą mogli dalej żyć własnym życiem, a mnie zostawią z moimi wspomnieniami. Może więc będę myśleć o Haroldzie tylko wtedy, gdy przyjdą mnie odwiedzić.

Widzicie, problem w tym, że nie lubię myśleć o swoim mężu, bo od bardzo dawna nie jest już częścią mego życia. Szczególnie zaś nie lubię myśleć o jego śmierci. Nawet po tak wielu latach, tylu kochankach, wnukach i tym wszystkim, co przeżyłam, istnieją myśli, które nadal nie dają mi spokoju. A kiedy stają się zbyt czarne, muszę sobie powtarzać, że w żadnym wypadku nie mogą być prawdziwe.

KSIĘGA
TRZECIA

PROLOG

Dwudziestego siódmego grudnia tragedia rodziny Barlow stała się tematem numer jeden południowych wiadomości telewizyjnych BBC; spiker mówił powoli i posępnie.

– Policja nadal przesłuchuje członków rodziny w domu w Hertfordshire, gdzie znaleziono dziś rano dwa ciała. – Na ekranie pojawiło się ujęcie Devon Lane, kamera przesunęła się z domu na ogród. – O godzinie ósmej trzydzieści stróże prawa zostali wezwani do domu bankiera Charlesa Stansfielda i jego żony Naomi w Brookmans Park, gdzie w jednym z pokoi na parterze znaleziono zwłoki. Obie ofiary zmarły od ran postrzałowych. Państwo Stansfield gościli kilkoro członków rodziny, która zjechała tam na Boże Narodzenie. – Przy akompaniamencie wymienianych nazwisk na ekranie ukazywały się zdjęcia. – Wśród gości był brat pani Stansfield, Dick Barlow, redaktor działu informacji w *Post*, i córka państwa Stansfield, Roberta, która pracuje dla wiadomości radiowych BBC.

Znalazła się tam także matka pani Stansfield, pani Florence Barlow – zdjęcie dziesięcioletniej Florence w kostiumie teatralnym na przedstawieniu *My Fair Lady* – i jej drugi syn, Timothy Barlow wraz z żoną Claire – zdjęcie ślubne z 1963 roku. Ponownie pojawił się spiker. – Rzecznik prasowy policji poinformował, że święta spędzali tam również inni członkowie rodziny. Ciała ofiar zostały zabrane do szpitala Barnet General. Policja, która nie poszukuje na razie nikogo w związku z tą tragedią, informuje, że tożsamość denatów zostanie podana jeszcze dziś wieczorem. Tragedia zaszokowała sąsiadów zamieszkujących dzielnicę finansjery Hertfordshire...

Spiker zamilkł, gdy ukazała się postać wielbego Piersa Lumleya, pastora z tamtejszego kościoła parafialnego, a w dole ekranu jego nazwisko.

– Wszyscy są zdruzgotani. To potworne i absolutnie niepojęte. Ci ludzie stanowią bardzo szczęśliwą i zżyłą rodzinę, która zawsze spędza Boże Narodzenie razem. W Wigilię Charles i Naomi z matką zjawili się w naszym kościele i wszystko wydawało się w porządku. Nie przychodzi mi do głowy żadne wytłumaczenie...

Kamera zatrzymała się na nim przez moment, gdy opuścił głowę, jakby w bólu, po czym pojawił się na powrót spiker, zmieniając lekko ton głosu.

– Ostatnie zawieszenie broni w Bośni i Hercegowinie zostało przerwane dzisiaj wczesnym rankiem, gdy pociski artylerii uderzyły w...

Zegar na ścianie w pokoju przesłuchań na posterunku policji Hertfordshire stał; zdawało się, że to jedyna nieruchoma rzecz w całym budynku. Kilku reporterów z komórek dzwoniło do swych redakcji, przekazując strzępki informacji i odbierając polecenia; ekipy telewizyjne sprawdzały ustawienie kamer przed stołem w jednym końcu pokoju, gotowe do przerwania programu wejściem na żywo; fotografowie otaczali rzecznika prasowego, susząc mu głowę, że muszą jak najszybciej dostać się do wnętrza domu. Wszyscy pragnęli tylko jednego – nazwisk ofiar, wokół których wszystko miało zacząć się kręcić. Agencja Prasowa nadal wypuszczała informacje, które mogły stanowić tło dla tragedii.

HSA581500 PAHOME AP 14:22

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

UWAGA REDAKTORZY PROWADZĄCY, REDAKTORZY DZIAŁÓW INFORMACJI I REDAKTORZY GRAFICZNI

Pierwsze zdjęcie z konferencji prasowej policji dotyczącej podwójnego morderstwa w Hertfordshire prawdopodobnie ukaże się przed 15.05. Zdjęć nadkomisarza Michaela Dundee należy się spodziewać przed 15.30.

HSA581507 PAHOME AP 14:30

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Trevor Webb, lat 33, właściciel mieszkania przy Bucklers Road, Hackney, Londyn E8, gdzie mieszka Emma Barlow, powiedział: „Jesteśmy pewni, że nic jej nie jest. Emma zawsze potrafiła się o siebie troszczyć”.

Zaprzeczył, jakoby mieszkańcy zażywali narkotyków, choć uważa się, że policja kilkakrotnie już dokonywała na to mieszkanie nalotów.

HSA581519 PAHOME AP 14:36

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Doktor Mark Peters, do którego prywatnych pacjentów zaliczają się Charles i Naomi Stansfield, rozmawiał krótko z reporterami przed domem Stansfieldów przy Devon Lane.

– To, co zastałem w środku, to potworność, koszmar – powiedział. – Wszyscy są w szoku. Powiedziałem policji, że dwie z obecnych tam osób powinny zostać jak najszybciej przewiezione do szpitala, mimo iż nie odniosły żadnych ran fizycznych.

Doktor Peters potwierdził, że obie ofiary były członkami rodziny, ale odmówił podania ich danych, zanim nie zrobi tego policja. Powiedział, że pokój, w którym znajdowały się ofiary, był „zbрызgany krwią... jak rzeźnia”, i dodał, że policja nie podejrzewa, by śmierć została zadana przez kogoś z zewnątrz.

„Jak rzeźnia...” – dobry cytat na tytuł, zwłaszcza gdyby udało się zdobyć zdjęcie pokoju... nałożyć na to twarze ofiar... robota dla artysty. Jakies słuchy o aresztowaniu? Cholera, na razie żadnych aresztowań; to nam może schrzanić wszystko, co moglibyśmy jeszcze powiedzieć. A może by dać drzewo genealogiczne? Pokazać, jak są spowinowaceni. Babcia od lat jest wdową, nieprawdaż? Więc trzeba zapomnieć o jej mężu. Zacząć od niej i rozrysować dalej. Ze zdjęciami. Jakoś należy wyróżnić dwie ofiary. Czarna obwódka wokół zdjęć? Coś w tym stylu. Trzeba komuś wcisnąć tę robotę. Która jest godzina? No dobra, za jakieś dziesięć minut wszystko będzie wiadomo.

HSA581537

PAHOME

AP

14:43

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Dziś o 14.30 karetka pogotowia zabrała nie zidentyfikowaną kobietę na noszach z domu przy Devon Lane. W krótkiej drodze do szpitala Barnet General, dokąd wcześniej zabrano ofiary zabójstwa, towarzyszyła jej inna kobieta.

Rzecznik szpitala odmówił podania nazwisk którejkolwiek z pań, ale oświadczył, że obie są w stanie szoku i zostaną na noc w szpitalu.

DO WIADOMOŚCI REDAKTORÓW GRAFICZNYCH: Kolorowe, poziome zdjęcie kobiety niesionej do karetki będzie dostępne w AP przed 15:00.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z wyjątkiem Kate, starszej córki Richarda, która spędzała święta z matką w Somerset, w to Boże Narodzenie zebrała się cała rodzina. Siostra Kate, Emma, najpierw odrzuciła zaproszenie, z nadąsaną miną mówiąc ojcu, że zanudzi się na śmierć, ale w ostatniej chwili stwierdziła, że nie ma co robić, a w Hertfordshire przynajmniej załapie się na darmową wyzerkę. Kiedy Richard pojechał po nią na jej koczowisko, został w samochodzie, a po córkę wysłał Stephanie.

Zaczęli zjeżdżać się w wigilijne popołudnie samochodami pełnymi prezentów będących symbolem dobrej woli, choć w niektórych przypadkach świadczyły one raczej o poczuciu obowiązku niż szczerości obdarowujących. Z upływem lat nauczyli się tolerować różnice między sobą, odrzucając urazy i zazdrość, akceptując cechy, które były do zaakceptowania jedynie u członków własnej rodziny. Trzeba się było podzielić nowinkami, wypytać o wieści pozostałych, no i zawsze ogarniało ich to swego rodzaju podekscytowanie, że oto znów byli razem. Prezenty tworzyły hałdę pod choinką i wszyscy zaczęli wtapiać się w atmosferę rodzinnego przyjęcia. Richard i Roberta sprzeczali się na temat dziennikarstwa, Tim i David grali w snookera w piwnicy przerobionej na pokój gier, Claire i Stephanie pomagały w przygotowaniu potraw na następny dzień, a Emma łaskawie zgodziła się do nich dołączyć; wieczorem Florence poszła z Charlesem i Naomi do kościoła. Zdarzały się okazjonalne tarcia osobowości, ale nic, co by raniło lub budziło gniew.

W rano Bożego Narodzenia wszystko odbywało się według starego schematu, który jakoby sam utarł się w ciągu minionych lat. Śniadanie było bardzo skromne – Naomi rozstawiła na stole różne rodzaje płatków i każdy sam sobie nakładał – a po nim wszyscy zebrali się w salonie, podczas gdy w kuchni szykował się lunch. Charles nastawił płytę kompaktową z kolędami śpiewanymi przez męski chór z kaplicy King's College w Cambridge i serwował sherry, mimo że Richard poprosił o whisky. Gawędzili o tym i owym, czekając na coś, co kiedyś stało się tradycją. Gdy dzieci były małe, to one wręczały prezenty i dopiero kiedy wszystkie zostały rozdane, można je było otworzyć. Pomimo iż straciło to już swój dziecięcy urok, Roberta i David podtrzymywali tradycję. Florence zażartowała jak zwykle, że nie może się już doczekać następnego pokolenia, które będzie to robić.

– Pierwszy jest dla... – Roberta odwróciła pakunek, by przeczytać – ...dla Tima. Proszę. Ten jest dla babci, a ten... aha, dla Kate. Czy możesz go wziąć, Richard? Dzięki. Łap... A ten dla kogo?

– Dla ciebie – odparł jej brat.

– No to się nim zaopiekuję. A ty ruszaj się, bo zajmie nam to cały dzień.

– Wujek Richard, znowu Kate i... Emma – wymieniał David.

– Mama, David... Tego nie dam rady rzucić, waży chyba z tonę... Claire... Tata... To musi być butelka dla... gdzie jest bilecik?... Znowu mama... Śliczny papier... Dwa następne dla taty... Ostrożnie z tym. To bardzo kruche... Tim... Emma... Co tu jest napisane? Ależ bazgroły... Ach, to dla babci... Możesz sięgnąć ten?... Richard... Nie, to prezent z drzewka na później. Musiał spaść... Proszę, Stephanie... Roberta, mam nadzieję, że spodoba ci się kolor... Na Boga, a cóż to za pokraczny kształt?... To dla mamy od Claire i Tima... Ta torba też jest dla niej... Coś jeszcze?... Boże, to już rozpusta... Dziękuję ci, najdroższy bracie... Dla Emmy od babci... To moje, moje, moje... Od tego odpadł bilecik. Ktoś poznaje?... David. Nie zjedz ich wszystkich naraz... O, wiem, co to jest... Richard. To musi być książka... Jest jeszcze jeden dla Claire... dobrze mówię? Tak, proszę.

Rozrzucony kolorowy papier i jedwabne wstążki gromadziły się na dywanie wśród okrzyków zachwytu, pocałunków wdzięczności i słów podziwu dla otrzymanych podarków. Byli zajęci swoimi własnymi odkryciami i nikt nie zauważył, jak Charles odłożył markową koszulę od córki i wziął do rąk długi pakunek, najwyraźniej pudło. Rozdarł opakowanie, zdjął pokrywę i wyjął śrutówkę.

– Dobry Boże, co za niespodzianka. – Uśmiechnął się do Naomi.

– Czyżbyś wiedział, że ją dostaniesz? – spytała Roberta.

– Musiałem iść z mamą ją kupić – odpowiedział. – Tylko ja mam pozwolenie na broń. Ale zostawiłem jej ją do zapakowania i obiecałem, że otworzę dopiero dzisiaj. Dziękuję, kochanie.

Podniósł broń, celując w srebrną gwiazdę na czubku choinki.

– Nie zestrzel jej – zażartowała Roberta. – To pewnie zwiastowałyby pecha czy coś w tym rodzaju.

– Nieprawda. Przecież zawsze wypowiadamy życzenia, widząc spadającą gwiazdę – dodał David.

– Ale nie wtedy, gdy ją sam zestrzelisz. – Z trzymanej w ręku paczki Roberta wyciągnęła sweter. – Spójrz na to! Richard, powiedz Kate, że będę ją kochać do końca życia. To jest absolutnie...

– Ależ to karabin!

Wszyscy przestali robić to, czym byli zajęci, słysząc oburzony głos Claire,

niosący się po pokoju. Ściskając w dłoniach prezent, który akurat otwierała, wpatrywała się z wyrzutem w Charlesa.

– Śrutówka – poprawiła ją Naomi. – Charles od dawna wspominał, że musi sprawić sobie nową, więc obiecałam mu, że spełnię jego życzenie.

– Na Gwiazdkę? To ma być czas pokoju na ziemi, a nie zabijania ludzi.

– To nie służy do zabijania ludzi – odparowała ze złością Naomi. – Nie bądź głupia. Charles będzie z nią polował na bazanty. Na litość boską, jadłaś je tu tyle razy i jakoś nigdy nie narzekałaś.

– Nie o to chodzi. Czy zdajecie sobie sprawę, że podczas gdy my tu siedzimy, niewinne dzieci giną od kul z broni?

– O Chryste – mruknęła pod nosem Roberta. – Odbiło jej.

– Claire! – Florence piorunowała synową wzrokiem. – Co w ciebie wstąpiło? Naomi może kupić Charlesowi w prezencie, cokolwiek zechce. To jest tylko jej sprawa. A teraz już cicho bądź. Psujesz wszystkim humor.

– Nie lubię broni – powtórzyła z uporem Claire. – I uważam, że to jest...

– Nikogo nie obchodzi to, co uważasz! – przerwała jej Florence.

Nastała cisza, po której Claire powiedziała: – Oczywiście, że nie. I nigdy nie obchodziło. – Delikatnie pociągnęła nosem. – W porządku. Przepraszam. Wybacz, Charles. Jestem pewna, że to przepiękna śrutówka. – Spojrzała na Tima, który odwrócił wzrok.

– Nic się nie stało, Claire – odparł Charles. – Przykro mi, że cię to zdenerwowało.

– Ale atmosfera – wyszeptał David do siostry siedzącej obok niego na podłodze.

– Pomóż mi zmienić temat – odrzekła również szeptem, po czym skoczyła na równe nogi i uściskała Florence. – Babciu! Są przewspaniałe! Gdzie je znalazłaś?

Florence uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. – To skromny prezent, kochanie, ale kobieta w sklepie mówiła, że jest teraz na nie szal.

– Są idealne. – Roberta nachyliła się i wyszeptała, całując ją: – No i staram się rozładować atmosferę.

– Wiem. Dobrze ci idzie.

Rozwijanie prezentów trwało, ale po kilku minutach Claire wstała i bez słowa wyszła z salonu. Nikt się nie odezwał aż do chwili, gdy Charles zaczął ponownie nalewać sherry.

– Weźmiesz kieliszek dla Claire? – spytał cicho Tima.

Ten zaprzeczył ruchem głowy. – Ona zaraz wróci.

– Moim zdaniem powinieneś pójść i upewnić się, że nic jej nie jest.

Tim poszedł niechętnie; nigdy nie potrafił radzić sobie z rodzinnymi sprzeczkami. Claire była w ich sypialni, wyglądała przez okno na pokryte szronem pola po przeciwnej stronie Devon Lane.

– Wszystko dobrze? Zejdiesz na dół?

– Chyba będę musiała. – Nadal patrzyła przez okno. – Mimo wszystko nie mogę popsuć świąt Naomi, prawda?

– To święta nas wszystkich.

– Nie, nieprawda. Są tylko jej. Jesteśmy uprzywilejowanymi wieśniakami zaproszonymi na dwór jaśnie pani. Musisz znać swoje miejsce i być zawsze uprzejmym dla gospodyni.

– To niedorzeczne.

– Czyżby? – Obojętnie wzruszyła ramionami. – Hm, jeśli tego nie dostrzeżesz, nie mam zamiaru strzępić języka, by ci to tłumaczyć. Dobrze. Zacinę zęby i postaram się nie zawstydzić już nikogo, odliczając godziny do wyjazdu z tego cholernego miejsca.

– W takim razie zejdiesz na dół?

– Jak będę gotowa. Nie martw się, nie powiem już nic, co mogłoby się komuś nie spodobać. Będę tam za kilka minut.

– Zaraz będzie lunch.

– Postaram się pamiętać, którego noża kiedy użyć, i nie będę mówić „serwietka”. – Obróciła się do niego przodem. – W porządku?

– Nie ma sensu wszczynać z tego powodu awantury.

– Nie. To rzeczywiście nie ma sensu. Ale musisz pamiętać, że to nie ja zaczęłam. – Wpatrywała się w niego, gdy wychodził z pokoju, a potem ciężko westchnęła i otworzyła torebkę, by poprawić makijaż.

Kiedy Tim zszedł na dół, Charles wychodził akurat ze swojego gabinetu.

– Odłożyłem śrutówkę – powiedział. – Gdzie jest Claire?

– Już schodzi. Przykro mi z powodu...

– Daj spokój – przerwał mu Charles. – Zdenerwowała się, ale już po wszystkim. Wszyscy już o tym zapomnieli.

Nikt o niczym nie zapomniał, ale przynajmniej sprawiali wrażenie, jakby tak rzeczywiście było, czekając, aż Naomi i Florence skończą przygotowywać lunch. Przeglądając biografię Ruperta Murdocha od swojej starszej córki, Richard nie zauważył, kiedy Stephanie podeszła i stanęła obok Davida, który wyglądał za okno przez sprezentowaną przez ojca lornetkę. W poprzednie święta, kiedy ona i David się poznali, rzucali sobie od czasu do czasu dwuznaczne spojrzenia i wymieniali po cichu uwagi. Nie zaszło nic więcej, ale nieoczekiwanie dla siebie

samej odczuła zawód, że nie znalazł sposobu, by się z nią później skontaktować – a może wcale mu nie zależało? Richard, mimo swego buntu wobec starości, zaczynał ją już nudzić. Początkową ekscytację romansem z redaktorem działu informacji *Post* zaczęła zastępować świadomość powiększającej się między nimi przepaści; jemu szkoda było czasu na słuchanie Guns'n'Roses, zaś według niej Status Quo dawno już przeminęli. Związek, który poza sypialnią nie ofiarował prawie nic, zaczynał się rozpadać.

– Studiujesz w Leeds, prawda? – spytała. – To moje miasto rodzinne. Prawdę mówiąc, zamierzam je odwiedzić w przyszłym miesiącu.

– Gdzie dokładnie mieszkałaś?

– W Headingley.

Opuścił lornetkę. – Ja mam mieszkanie przy Hobbs Road. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak... Czy mogę przez nią popatrzeć?

– Jasne. Widać nawet, która jest godzina na kościelnym zegarze.

– W którą to stronę? – Wzięła lornetkę i przyłożyła ją do oczu. – Nie widzę nawet kościoła.

– Tutaj. – Złapał ją za lewą dłoń i przesunął delikatnie w bok. – Widzisz?

– Nie. Jestem w tym beznadziejna.

Stał za nią bardzo blisko, kładąc ręce po bokach jej głowy i poruszając nią delikatnie. – Wpatruj kwadratowej wieży... Widzisz?

– Chyba tak, ale jest niewyraźna.

– Poczekaj. – Wyciągnął ręce. – Trzeba ustawić ostrość.

Gdy jego palce obracały pokrętko, ich ciała zetknęły się, a Stephanie celowo przylgnęła do niego, bardzo delikatnie, ale wystarczyło.

– Twoje włosy ładnie pachną – zamruczał.

– Dziękuję.

– Widzisz teraz?

– Tak.

– A zatem która godzina?

– Zbyt wczesna, by iść do łóżka.

Odsunęli się od siebie, gdy do pokoju weszła Florence, oświadczając, że lunch jest gotowy. Ręce Davida musnęły przód sweterka Stephanie, kiedy je opuszczał; oboje dobrze wiedzieli, co się właśnie zaczęło.

Konsternacja wywołana powrotem Claire została zatuszowana wszystkimi czynnościami i rytuałami związanymi z posiłkiem. Losowali niespodzianki od Harrodsa, by wygrać rzeźbione w drewnie ozdoby, drażnili się z Emmą, aż w końcu zgodziła się założyć swój papierowy kapelusik, aż wreszcie zaczęli jeść:

gruszki w sosie estragonowym na przystawkę, danie główne – szynka pieczona w cieście po włosku oraz indyk z przysmażoną cebulką, marchewką i pieczonymi ziemniakami lub krokietami. Był też świąteczny pudding z brandy lub krem pomarańczowy na deser. Florence stwierdziła, że zjadła tyle, iż nie będzie w stanie wstać i odejść od stołu.

Po lunchu Charles i Naomi wyszli z Robertą i Davidem, by odwiedzić ojca Charlesa w domu opieki, Florence zdrzemnęła się w fotelu, a Tim zaproponował spacer. Claire odmówiła, ale Richard, Stephanie i Emma zgodzili się i wyruszyli razem przez pola, oszronione, ciche i puste pod klaustrofobicznie niskim niebem, ciężkim od śniegu, który mógł spaść w każdej chwili. Nie tworzyli zgranej paczki: Richard pod wpływem wypitej whisky stawał się lekko agresywny; Tim czuł się nieswojo z powodu Claire; Emmy i Stephanie nie łączyło zupełnie nic poza płcią i znudzeniem.

– Claire zachowała się jak jakaś pieprzona chamka – wypalił prosto z mostu Richard do swojego brata, kiedy dotarli do pierwszej bramy już poza Devon Lane.

– O czym ty mówisz?

– O prezencie Charlesa oczywiście. Nikt jej przecież nie każe iść i strzelać. Chyba nie robi się z niej teraz jakaś durna wegetarianka, co?

– Ona nie lubi broni. – Choć nie podobało mu się to, co powiedziała jego żona, choć nie układało im się najlepiej w małżeństwie, Tim nadal czuł potrzebę, by ją bronić, zwłaszcza przed atakami brata.

– Nie lubię jej, ale jej o tym nie mówię. Głupia krowa.

Twarz Tima zapłonęła gniewem, po czym odwrócił się, otworzył bramę i pomaszerował przed wszystkimi, kuląc ramiona, a dłonie chowając głęboko w kieszeniach kurtki. Podążali za nim w ciszy, bo nikomu nie chciało się mówić, aż dogonili go, kopiającego kamienie na betonowej drodze prowadzącej do grupy gospodarskich budynków na końcu pierwszego pola.

– W którą stronę chcecie iść? – zapytał. – Ja idę w prawo. To dłuższa droga, ale porządny spacer.

– W takim razie ja idę w lewo – odparł Richard. – Jest za zimno, żeby się tak włóczyć. Chodźcie, dziewczyny.

– Ja nie chcę jeszcze wracać – rzekła Stephanie. – Pójdę z Timem.

Richard przez chwilę patrzył zdumiony, po czym wzruszył ramionami. – Jak sobie chcesz. Gównu mnie obchodzi, co robią inni. Emma?

– Dobra. Idę z tobą. Masz rację, że jest zimno jak jasna cholera.

Odkąd wyszli, praktycznie ani przez chwilę nie byli naprawdę razem, a teraz na dodatek rozdzielili się także dosłownie. Stephanie i Tim prawie się do siebie nie odzywali: ona nie była zainteresowana bratem swojego kochanka, a jego zawsze deprymowała jej pewność siebie i seksualność. Nieustannie fantazjował na jej temat, widząc ją taką, jak dziewczyny przedstawiane w magazynach, które kupował, wysmarowaną olejkiem, rozpaloną, nagą, sprawiającą, że poczucie winy mieszało się w nim z pragnieniem doświadczenia tego, czego nigdy nie doświadczył.

Idąc ze swym ojcem, Emma czuła, że powinna okazać mu choć odrobinę zainteresowania. – Ustawiłeś już tego nowego kolesia w *Post*? Tego z *Sun*, o którym mówiłeś, że jest jak wrzód na dupie? – Jako że nie odpowiadał, spojrzała na niego z czymś w rodzaju troski. – Co się stało?

– Nie ustawiłem. Nadal pamięta, jak go przekręciłem na jednym materiale kupę lat temu.

– No i co z tego? – Jej głos zabrzmiał lekceważąco. – Radziłeś sobie z gorszymi od niego.

– Wiem, ale on sączy wszędzie swój jad. – Spojrzał na nią. – Chce mnie udupić.

– Nie uda mu się.

W stwierdzeniu tym zabrzmiała po części otucha, a po części pragnienie wiary, że coś takiego nigdy nie może się zdarzyć; pomimo całej swej i buntowniczości Emmie Barlow potrzebna była świadomość, że nadal może polegać na sile ojca.

– Zawsze mi mówiłeś, że sztuka polega na tym, by być gorszym draniem niż inni.

– Tak. – Postawił kołnierz kurtki. – Ale oni zawsze czekają na twoje potknięcie.

– Potknięcie? Twoje? Bzdura.

Emma zrobiła coś, czego nie robiła od lat, wzięła ojca pod rękę. Jego przygnębienie niepokoiło ją, bo nigdy nie przyszło jej do głowy, że pewnego dnia to on może potrzebować jej wsparcia, a nie miała pojęcia, jak mu je ofiarować, podobnie jak on nie wiedział, jak o nie poprosić.

– No dalej. Nie zawieźdź mnie.

– A zawiodłem cię kiedyś?

– Zawiedziesz, jeśli dasz się udupić... ale tak się nie stanie. Prawda?

Richard nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w tonącą ognistą kulę, błyszczącą przez czarną koronkę bezlistnych drzew na horyzoncie.

– Nie, o ile będzie to ode mnie zależało... Chodź, wracajmy.

Florence wyprostowała się w fotelu, gdy Claire weszła do pokoju z herbatą, o którą teściowa ją poprosiła zaraz po przebudzeniu.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakie to było niekulturalne z twojej strony, komentować w taki sposób prezent Naomi dla Charlesa – powiedziała. – Wszystkich wprawiałaś w zakłopotanie, a przecież jesteś tu gościem.

Filizanka zadzwoniła o spodek, kiedy zadrżała tacka w rękach Claire. – Co się stało, to się nie odstanie. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia... i przeprosiłam za to.

– Przynajmniej gdybyś nic nie powiedziała, nie musiałabyś przeproszać, prawda? – Florence wzięła filiżankę. – Dziękuję... Ten prezent to nie była twoja sprawa; poza tym ciebie nikt w tej rodzinie nie krytykuje.

– Nikt w tej rodzinie mnie nie zauważa.

– Nie mów głupstw.

– To nie są głupstwa. Od lat wszyscy traktujecie mnie z góry. Nie myśl, że o tym nie wiem. – Claire powiodła ręką dookoła pokoju. – Rozejrzyj się tutaj. Naomi zawsze się przede mną przechwalała, jaka to ona jest bogata.

– Co ty, na Boga, wygadujesz? Charles i Naomi być może są bogaci, ale moja córka nie jest snobką i...

– Nie jest snobką? – przerwała jej sarkastycznie Claire. – Naprawdę tego nie widzisz? Gdybyś nie była jej matką, nawet by się z tobą nie zadawała. Nie byłabyś dla niej wystarczająco elegancka.

– Jak śmiesz!

Claire bardzo ostrożnie odstawiła filiżankę i pochyliła się do przodu w swym fotelu.

– Jak śmiesz? A czemu to miałabym nie śmieć? Mogłabym powiedzieć ci kilka rzeczy o Naomi. Poślubiła Charlesa dla jego pieniędzy, a pod wierzchnią warstwą tego wszystkiego jest tak samo pospolita jak ja. Prawdę mówiąc, jest nawet pospolitsza. Ja nigdy nie zrobiłam niczego, o czym wstydziłabym się powiedzieć własnej matce.

– Co masz na myśli?

– Lepiej dalej żyj w nieświadomości, to nie będziesz cierpieć.

Florence wstała i wygładziła spódniczkę. – Myślę, że z tobą jest poważnie coś nie tak, Claire. Na twoim miejscu po powrocie do Manchesteru poszłabym do lekarza. W każdym razie nie zamierzam tu siedzieć i tego wysłuchiwać. Idę do swojego pokoju.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Claire osunęła się na fotel i zaczęła szlochać. Pierwszy raz w życiu stawiała czoło komuś z pokolenia swoich rodziców, a i tak towarzyszyły temu ogromne emocje, bo wychowywano ją w przekonaniu, że oni zawsze wiedzą najlepiej. Instynktownie chciała zrzucić winę na menopauzę, ale wiedziała, że ucieknie się tym samym tylko do typowego usprawiedliwienia, by nie przyznać się przed sobą do tego, co sięgało wiele lat wstecz, do okrutnej ludzkiej samotności i przeświadczenia o kompletnej porażce. Nie istniało nic, co ceniła, co dawałoby jej poczucie spełnienia lub satysfakcji; a już najmniej ze wszystkiego ceniła samą siebie.

Dzień podzielił się dla nich wszystkich na dwie części. Radość – choćby i fałszywa – z wymienionych prezentów i lunch, przy którym mogli uciec się do tradycyjnych rodzinnych żartów i wspomnień poprzednich świąt, powoli prowadziły do frustracji. W świąteczną atmosferę zakradło się poczucie stagnacji spowodowane nadmiarem jedzenia, świadomość, że muszą spędzić resztę tego dnia i jeszcze następny razem, wrażenie uwięzienia w domu w środku zimy. A do tego jeszcze Naomi, Charles i dzieci przynieśli z domu opieki przygnębiającą atmosferę zbliżającej się śmierci.

– Jak się miewa twój ojciec? – spytała Florence Charlesa, gdy weszli. Zeszła na dół, kiedy pozostali wrócili ze spaceru, ale świadomie ignorowała Claire.

– Praktycznie bez zmian – odparł Charles. – Ucieszył się z naszej wizyty.

– Wcale nie. Czuł się fatalnie. – Roberta prawie płakała ze złości. – Wie, że jest Gwiazdka, i wolałby być tutaj niż tkwić w tamtym miejscu.

– Kochanie, nie sądzę, by dziadek cokolwiek jeszcze wiedział – powiedział jej Charles. – Ale ucieszył się z naszej wizyty.

Roberta spojrzała swemu ojcu w twarz, po czym go pocałowała. – Tak. Masz rację. Oczywiście, że tak. Przepraszam, tato.

– Co za ironia losu, prawda? – Florence uśmiechnęła się współczująco do Roberty. – Dziadek, którego nie znałaś, zakończył życie w bardzo podobny sposób.

– Czy ktoś pomoże mi przygotować herbatę? – spytała raptem Naomi. – Później możemy napocząć ciasto i zdjąć prezenty z choinki.

– Ja pomogę. – Głos Richarda zabrzmiał nadspodziewanie wyraźnie i stanowczo, kiedy wstał, trzymając whisky, którą sobie nalał. – Jeszcze nic tutaj nie zrobiłem.

Poszedł za siostrą do kuchni i słuchał instrukcji, gdzie znaleźć podstawki, kubki, spodki i talerzyki, podczas gdy ona zaczęła kroić lukrowany na biało placyk owocowy z małymi choinkami i Świętym Mikołajem na sankach.

– Staruszek Charlesa staje się ciężarem, prawda? – stwierdził Richard. – Ile mu jeszcze dają?

– Może umrzeć lada dzień... Ale nie chcę o tym rozmawiać. Nie, nie ta tacka. Ta w kwiaty. W górnej szufladzie jest do niej lniana serwetka.

Naomi zajęła się ponownie tym, co robiła.

– Więc nie macie tego problemu co z naszym starym, co?

– Zamknij się, Richard. – Jej dłoń lekko zadrżała, gdy kroiała następny kawałek. – Piłeś.

– I co z tego? Skoro jeszcze trzymam się na nogach, to nie jestem chyba aż tak pijany.

– Wypiłeś o wiele za dużo. Podaj mi te talerze.

Pochylił się nad zlewem, patrząc, jak siostra kroci i przy pomocy srebrnej łopatkę układa ciasto.

– Jedno muszę ci przyznać – powiedział. – Cholernie dobrze się ustawiłaś.

– O czym ty, na Boga, mówisz?

– O tym. Wielki dom, bogaty mąż, koneksje. Gdy człowiek pomyśli, jak to było w dzieciństwie...

– Richard! – Naomi wyprostowała się, łopatką dźgając go w pierś. – Co w ciebie wstąpiło?

– Przede wszystkim mam już dość odgrywania tych rodzinnych fars w każde święta.

– Nie musisz przyjeżdżać.

– Owszem, muszę. Spójrz prawdzie w oczy, Naomi. Gramy to od ponad trzydziestu lat. Oddane dzieci gromadzą się wokół owdowiałej matki. Dla Tima stało się to obsesją na całe życie, ty zgrywasz córkę, która odniosła sukces i wspaniałomyślnie dzieli się swoją fortuną, a ja wspinałem się na szczyty w swym fachu, ale nie zapominam o swoich korzeniach... no, w każdym razie coś w tym stylu. Jakby na to nie patrzeć, jesteśmy wszyscy cholernymi kłamcami.

– Kłamcami? – powtórzyła Naomi z niedowierzaniem. – Dobre sobie, i kto to mówi? Przecież ty kłamstwami zarabiasz na życie.

– Lecz nauczyłem się tego znacznie wcześniej, nieprawdaż?

Naomi nagle zdała sobie sprawę, że drzwi do kuchni są na wpół otwarte. Mimo iż reszta towarzystwa pozostała w salonie na drugim końcu holu, ktoś mógł ich podsłuchać.

Zdecydowanie zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

– Teraz posłuchaj – powiedziała. – Nie wiem, co cię sprowokowało – nie licząc whisky – ale masz w tej chwili przestać. Rozumiesz? Co ty usiłujesz zrobić? Po tylu latach próbujesz się usprawiedliwiać?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym przetarł oczy. Ze spuszczoną głową rzekł:

– Powiedz mi tylko jedno.

– Co?

– Że to nie był mój pomysł. – Słowa te zostały wymamrotane jak wyznanie człowieka dręczonego przez wyrzuty sumienia.

– Słucham? – Naomi przeszła przez kuchnię i położyła dłonie na jego ramionach. – O czym ty mówisz?

– O zabiciu starego.

Fasada Richarda runęła i Naomi patrzyła na osobę, której nie znała i której istnienia nigdy nie podejrzewała. Usłyszała kogoś w holu i obróciła się zaalarmowana, że ten, kto tam był, wejdzie do kuchni, ale kroki zadudniły na schodach prowadzących na górę. Szybko odwróciła się z powrotem do brata.

– Przestań! – Potrząsnęła nim gwałtownie. – Wytrzeźwiej!

– To nie wina alkoholu.

– Jak nie alkoholu, to czego, do diabła?

Podniósł wzrok, a Naomi ujrzała w nim usilne błaganie. – Nie wiem, jaki jest teraz tego powód, może chodzi o ojca Charlesa, o jego stan lub... Nieważne. Rzecz w tym, że dręczy mnie to od zawsze... Wciąż śnią mi się koszmary. Nie dalej jak tydzień temu Stephanie musiała mnie obudzić, bo krzyczałem.

Naomi usiłowała poradzić sobie z docierającą do niej przerażającą świadomością, że oto ten silny brat okazał się taki słaby. – To wszystko nie ma teraz znaczenia. Poradziliśmy sobie.

– Ty może tak, ale nie ja.

Naomi wzięła głęboki oddech. – W takim razie zacznij sobie radzić. Na Boga, wszyscy już się z tym pogodziliśmy. Czy sądzisz, że osiągnęłabym to, co mam, gdybym poddała się poczuciu winy?

– Nadal mi nie powiedziałaś.

– Nie powiedziałam ci czego? – W całej swej konsternacji i niepokoju zapomniała, że zadał jej pytanie.

– Że to nie był mój pomysł.

Było to niemal dziecinne błaganie o pokrzepienie tak niewspółgrające z wizerunkiem, który Richard Barlow przedstawiał światu, że zmieniło to przerażenie Naomi w złość.

– Nie bądź głupi – wybuchła. – Oczywiście, że to był twój pomysł! Czy myślisz, że zrobilibyśmy coś takiego, gdybyś ty tego najpierw nie zasugerował? Nie próbuj teraz zrzucić winy na mnie, Richard. Nie pozwolę ci na to.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, po czym wyszedł z kuchni bez słowa. Naomi zdała sobie sprawę, że jej dłoń zaciśnięta na łyżeczce do ciasta, na rączce z kości słoniowej, jest mokra od potu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ostrokrzew pochodził z żywopłotu w jej własnym ogrodzie, ale jemiolę Naomi zerwała z niskich konarów drzew rosnących na końcu Devon Lane. Teraz zwisała ona z czteroramiennego żyrandola w holu – podłużne zielone listki i białe kulki owoców – rozjaśniona łańcuchem złotych bombek i świecącymi niemi lamety. Stephanie nie zauważyła jej aż do gwiazdkowego wieczoru, i dopiero wtedy padł na nią jej wzrok, gdy schodziła po schodach. Rodzina rozproszyła się po domu, niektórzy oglądali telewizję, Tim był w piwnicy, grał sam ze sobą w snookera. Roberta pomagała Naomi w kuchni, Emma dopalała skręta w swoim pokoju, otworzywszy okno, by wypuścić dym, i natychmiast je zamykając z powodu zimna. Kiedy Stephanie dotarła do ostatniego stopnia, z ubikacji na dole wyszedł David.

– Właśnie zauważyłam jemiolę – powiedziała. – A nikt mnie jeszcze pod nią nie pocałował.

- Więc musimy coś na to poradzić, prawda?
- Powinam pójść poszukać Richarda.
- Szkoda zachodu. Przysypia w fotelu.
- W takim razie nie miałabym z niego teraz wielkiego pożytku, prawda?
- Nie... Za to ja jestem do twojej dyspozycji.

David Stansfield miał w sobie zarozumiałość młodego, bogatego, pewnego siebie przystojniaka, a Stephanie Phillips doskonale zdawała sobie sprawę, jak jej wygląd oddziałuje na mężczyzn. Przy tym oboje mieli charakter, w którym do głosu nigdy nie dochodziło sumienie. Wyjaśnili sobie, że pocałunek to tylko preludium do czegoś więcej, tak szybko, jak tylko uda się to zorganizować. Byli tak zajęci przekazywaniem sobie tej informacji, że nie zauważyli Emmy, która doszła do półpiętra i gwałtownie zrobiła krok w tył.

– Na razie wystarczy – wyszeptwała Stephanie. – Nie chcemy chyba, żeby ktoś zaczął się zastanawiać, gdzie się podziałśmy.

– W porządku... Oczywiście wiesz, że moja sypialnia jest zaraz obok twojej i Richarda. – David starł chusteczką jej szminkę ze swoich ust i ruszył w stronę salonu.

– Ty zarozumiała draniu – mruknęła pod nosem Stephanie. Wyglądało na to, że naprawdę jej się to spodobało.

Po kilku chwilach Emma ostrożnie wyjrzała przez poręcz: hol był pusty. Zeszła na dół i dołączyła do reszty oglądającej telewizję; Stephanie siedziała na podłodze w nogach Richarda, opierając się ramieniem o jego kolano, a David usiadł na kanapie koło babci, proponując jej czekoladkę z bombonierki. Emma podziwiała ich opanowanie, myśląc o tym, jak może wykorzystać to, czego się właśnie dowiedziała.

W kuchni Naomi upuściła kryształowy kieliszek do wina, który roztrzaskał się w drobny mak na czerwonych płytkach.

– To do ciebie niepodobne, mamo. Jesteś zawsze we wszystkim taka ostrożna. – Roberta otworzyła szafkę i wyciągnęła miotłę i szufelkę. – Stój spokojnie, żebyś nie nastąpiła na szkło. Ja posprzątam.

Naomi spojrzała w dół na głowę swojej córki, kiedy ta zamiatała wokół jej stóp. Nigdy niczego nie upuściła, przynajmniej niczego, co miało jakieś znaczenie. Rzeczy materialne były dla niej ważne, stanowiły namacalne dowody nie tyle zamożności, co bezpieczeństwa; Naomi Barlow mogła jedynie marzyć o posiadaniu takiego kieliszka, Naomi Stansfield miała ich cały tuzin. Dlatego też Naomi Stansfield nie jest...

Wraz z wybuchem Richarda powróciła na nowo Naomi Barlow, wystraszona, targana wyrzutami sumienia, niespokojna i spokoju nie dająca. Jako jeden z prezentów Tim otrzymał książeczkę z karykaturami na temat krykieta i zauważył, że ojcu na pewno bardzo by się ona spodobała. Naomi zakrzuszyła się winem, którego łyk akurat wzięła, i wybiegła do kuchni, zapewniając usilnie, że nic jej nie będzie, jeśli tylko zostawi ją w spokoju. Ale wcale tak nie było. Stojąc przy zlewie, gdzie usiłowała pokonać nudności, widziała swoje odbicie w przyciemnionej szybie okna przed sobą. Szczegółne załamanie światła zatuszowało zmarszczki i inne zmiany, jakie w niej zaszły z biegiem lat, powodując, że wydawała się sobie młodsza, wyglądała tak jak wtedy, gdy... Jej ciało zgięło się w torsjach. Co takiego było w tegorocznych świętach? Jakież to połączenie zdarzeń i emocji miało wstrząsnąć ścianami tego, co wydawało się dotąd bezpiecznym schronem?

– Przesuń trochę stopę. – Nadal kucając przy nogach swojej mamy, Roberta postukała w jej prawy but miotłą. – Wystarczy. Już prawie skończyłam.

Ale na pewno wszystko będzie dobrze. Richard był po prostu pijany, rano będzie miał kaca, ale zapomni. Nie będzie chciał o tym więcej rozmawiać, zbyt będzie przejęty perspektywą rychłego powrotu do swego ukochanego *Post*. Wszyscy się wkrótce rozjadą i znów będziemy tylko my, Charles i ja z Robertą i Davidem odwiedzającymi nas, gdy najdzie ich ochota. Ojciec Charlesa na pewno

już długo nie pociągnie – a przed następnymi świętami powiemy im wszystkim, że wyjeżdżamy. To przerwie tradycję. Mama będzie zawiedziona, ale innym nie będzie na tym zależało. Wynos się stąd, Naomi Barlow. Nie ma tu dla ciebie miejsca.

– Gdyby tata zauważył, powiem mu, że to moja wina. – Roberta wyprostowała się i puściła do niej oczko. – Kolejny mały rodzinny sekret.

– Co masz na myśli?

Roberta była zaskoczona ostrością głosu matki. – Chciałam tylko powiedzieć, że tata nie musi wiedzieć o tym, co się tu stało... O co chodzi?

– Nic... Ja tylko... Powiedz mu zresztą co chcesz. – Odwróciła się, nie mogąc spojrzeć córce w oczy, i znowu ujrzała swoje odbicie. – Boże, wyglądam potwornie; pójdę na górę doprowadzić się do porządku. Zobacz, czy... Spytaj, czy nikt nie jest głodny. Jest indyk na zimno i bułki sezamowe... i możesz ukroić jeszcze szynki... Zaraz zejść na dół, żeby ci pomóc.

Roberta zawinęła stłuczony kieliszek w gazetę i wyrzuciła pakunek do kosza. Wyczuła, że coś z jej matką jest nie tak, odkąd wrócili z domu opieki; stała się nerwowa i rozdrażniona, w pewnym momencie szorstko skarciła Florence, z wściekłością pokręciła głową, gdy Charles zaproponował następną kolejkę drinków. To było do niej tak niepodobne, zwłaszcza gdy pełniła rolę idealnej gospodyni...

– Hej.

Roberta ocknęła się z zadumy. – To ty, Emma. Ktoś jest głodny?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się przebiegle. – A jak już ktoś odczuwa głód, to na pewno nie jedzenia.

– Co? Mów do rzeczy, na litość boską. Nie jestem w nastroju do takich gier.

Jej kuzynka przeszła przez kuchnię i usiadła na blacie pod szafkami, biorąc sobie daktyla z napoczętego pudełka. Wrogość między nią a Robertą sięgała czasów dzieciństwa; Roberta była o sześć lat starsza i gdy urosły na tyle, by razem się bawić, zawsze robiła wszystko, by postawić na swoim, stosując przy tym często dziecięce formy przemocy. Na dodatek Roberta była ładną, małą dziewczynką, która wyrosła na szczupłą, aktywną młodą kobietę; Emma, pulchny bobas, była teraz nastolatką z nadwagą i fatalną cerą. Najpierw czuła urazę do swojej starszej kuzynki, a później zaczęła nią gardzić; jednym z powodów, dla których zaczęła buntować się przeciwko konwencjom, było właśnie to, że Roberta stała się taka konwencjonalna, uczyła się pilnie, poszła na studia, znalazła dobrą pracę. Emma rozkoszowała się tymi rzadkimi chwilami, gdy miała okazję do zemsty.

– Mówię o tym, że twój brat czuje głód. – Z dwuznaczną miną przeżuwała daktyla. – Potężny głód.

– Wyrzuć to z siebie wreszcie, Emma – zniecierpliwiła się Roberta. – Nie mam nastroju na... No coś ty, zachowujesz się jak świnia!

– Kazałaś mi to wyrzucić.

– Nie chodziło mi o to, co masz w buzi. Teraz to zbierz.

– Sama sobie zbierz... A może wykręcisz mi rękę i zmusisz mnie, żebym to zrobiła?

– Chryste, dorośnij wreszcie – rzekła znużona Roberta, po czym znów miotłą i szufelką zmiotła z podłogi daktyla. – A teraz mów, o co ci chodzi z Davidem?

– Chce sobie zaszaleć.

– O czym ty, na Boga, mówisz?

– On i Stephanie chcą się pieprzyć.

– Och, na litość boską – rzekła z rozdrażnieniem Roberta. – Czy mogłabyś choć na chwilę tak naprawdę wyjść z tego swojego rynsztoka? Dasz radę? Wiem, że ludzie, z którymi przebywasz, noszą swoje mózdzki, o ile w ogóle je mają, w rozporoku, ale niektórym naprawdę udaje się iść przez życie i nie myśleć bez przerwy o seksie. To się nazywa dojrzałość. Słyszałaś kiedyś o tym?

Emma wzruszyła ramionami. – Oni i tak chcą się ze sobą przespać. Zresztą wcale jej się nie dziwię. David jest całkiem niezły.

– Tak się składa, że ona jest dziewczyną twojego ojca.

– Tak, ale staruszek mógł się już znudzić, nie uważasz? Nie możesz jej winić za to, że chce kogoś, kto byłby w stanie lepiej dotrzymać jej tempa.

Roberta wpatrywała się w nią, po czym pokręciła głową. – Czegoś ty się naćpała? Ecstasy? Zaczynasz mieć halucynacje.

Emma wzruszyła ramionami i zesła z blatu. – No to chyba mi się przywidziało, że widziałam, jak się namiętnie całowali w holu, a jego ręka ścisnęła jej tyłek. Tak czy inaczej, pójdę teraz i sprawdzę, czy ktoś chciałby coś jeszcze zjeść.

W Robercie serce opadło, gdy Emma wyszła z kuchni. Miała dobre wspomnienia o tych świętach sięgające jeszcze czasów dzieciństwa; teraz Gwiazdka zaczynała jej się kojarzyć z katogą. Nadal była przygnębiona po odwiedzinach u dziadka i martwiła się o mamę; a do tego jeszcze Emma zaczynała mącić wodę z czystej złośliwości. Pomysł, że coś mogło zajść między Davidem a Stephanie, był idiotyczny. Oczywiście David uważał się za pożeracza niewieścich serc i miał zasady moralne skorumpowanego prawnika, ale z pewnością nie byłby aż tak głupi, by zacząć kręcić ze Stephanie tuż pod nosem Richarda. Roberta odrzuciła tę myśl. Miała ważniejsze zmartwienia na głowie.

Już wczesnym wieczorem zbiorowe uczucie nudy dawało się we znaki wszystkim i wtedy to Florence inteligentnie zaproponowała grę w kalambury. – Kiedyś zawsze w to graliśmy – powiedziała. – Dlaczego by do tego nie wrócić? To wspaniała zabawa.

– Oczywiście, babciu. – Roberta aż podskoczyła z zadowolenia, że ktoś wpadł na pomysł, by przerwać tę śmiertelną monotonię. – Ja zacznę.

Stała przed kominkiem i myślała przez chwilę, wreszcie rozłożyła dłonie wnętrzem do góry, po czym uczyniła gest, jakby trzymała filmową kamerę.

– Książka i film – oświadczyła Florence, jakby ktoś nie zrozumiał.

Roberta pokazała cztery palce.

– Cztery słowa w tytule.

Wskazała na pierwszy palec.

– Pierwsze słowo.

Roberta pociągnęła się za ucho.

– Rymuje się z...

Roberta wykonała gest, jakby kręciła korbą.

– Obracać – powiedział David.

– Nawijać – zasugerował Tim.

– Wymądrzać się. – Charles uśmiechnął się szeroko do córki, która odwzajemniła mu się udawaną nachmurzoną miną.

Wyciągnęła ręce do góry i opuściła, jakby coś zjeżdżało na dół.

– Winda – powiedziała Florence.

Roberta pokręciła głową i jeszcze raz zakręciła wymaginowaną korbą.

– Kołowrót.

Roberta wskazała na Stephanie i przytaknęła.

– Brzmi jak kołowrót – powiedział Tim. – Co to może być? Krótsze słowo?

Dwie sylaby? Powrót?

– *Powrót do przyszłości* – rzuciła Florence.

– Czy to na pewno była adaptacja książki? – zapytał Charles. – Poza tym za mało słów w tytule.

– Zgadza się – przyznała Florence. – Co to jeszcze może być?

Roberta wskazała ostatnie słowo i ponownie złapała się za ucho, po czym skręciła gwałtownie głowę w jedną stronę i rzuciła się niby do biegu.

– Wygląda mi to na kiepską grę aktorską – stwierdził David.

Roberta wytknęła do niego język.

– Bieg... ucieczka... strach... potwór... stwór... *Powrót E.T.?*... Za mało słów...

Szybkość?

– Pęd – rzuciła Naomi. – Coś, co rymuje się z pęd. *Powrót do Howard's End*.

– Zgadłaś, mamó – potwierdziła Roberta. – Teraz twoja kolej.

Naomi wyszła niechętnie na środek. Nie była w nastroju do gier towarzyskich, ale ponieważ zaproponowała to jej mama, nie chciała sprawić jej zawodu. Miała pustkę w głowie, a David zaczął ponaglać ją klaskaniem, kiedy wszyscy czekali.

– Chwileczkę – zaprotestowała. – Zastanawiam się... No dobrze.

Pokazała również książkę i film, po czym uniosła dwa palce, wskazała pierwsze słowo i pokazała znowu dwa.

– Dwie sylaby – zgadł Tim.

– *Tramwaj zwany pożądaniem* – rzuciła natychmiast Claire.

– To są trzy słowa – poprawiła ją Roberta. – Dalej, mamó.

Naomi zawahała się, po czym zrobiła gest „rymuje się z” i narysowała w powietrzu sylwetkę kobiety.

– Kurczę, muszę zobaczyć ten film! – krzyknął David.

– Pani... dziewczyna... sexy... laska... dziewięćdziesiąt-sześćdziesiąt-dziewięćdziesiąt... z czym, u diabła, to się może rymować?...

Naomi pokręciła głową i narysowała w powietrzu ptaka.

– Latawica... podfruwajka...

Naomi poruszyła rękami i zrobiła stosowną minę, starając się wyglądać jak kracząca wrona.

– Kwoka... Indyk...

Naomi dała im sygnał, żeby przestali, i wskazała drugi palec oznaczający drugie słowo. Richard siedział najbliżej niej i spojrzała na niego z wściekłością, podnosząc obie ręce i jakby drapiąc paznokciami jego twarz. Otumaniony alkoholem Richard był tylko na wpół świadom tego, co się wokół niego działo, i aż podskoczył.

– Nienawiść – ktoś krzyknął. – Zabić... atakować... zniszczyć... zamordować...

– Przestańcie! – Richard zerwał się na równe nogi i się zachwiał.

Nie dopita whisky wylała się i poplamiała dywan.

Zapadła przerażająca cisza.

– To tylko gra, Richard – szybko powiedziała Naomi. – Wszystko jest w porządku.

– To nie była gra, to było...

– Nie! – Popchnęła go gwałtownie, aż potknął się o fotel Charlesa.
– Naomi! – ostro rzucił Charles. Pomógł szwagrowi wstać. – Przykro mi, Richard. Chodź i usiądź.

Wszyscy patrzyli na nich, z wyjątkiem Tima, który wpatrywał się w siostrę. Jej twarz zamarała, kiedy zdała sobie sprawę z podtekstu hasła, które wybrała. Rymuje się z „ona” i „wrona”, ostatnie słowo to „gniew”. *Grona gniewu*. John Steinbeck, teraz niemodny, ale gdy była nastolatką, był to jeden z pierwszych poważnych pisarzy, których czytało jej pokolenie. Autor, którego wyrafinowana Naomi Stansfield odrzuciła jako drugorzędny, a którego Naomi Barlow dosłownie pochłaniała...

Wybiegła z pokoju.

– Wszystko w porządku, Roberto – rzekł Charles, gdy jego córka wstała z fotela. – Ja do niej pójde. Zdaje się, że mama jest po prostu bardzo zmęczona. Przepraszam wszystkich. David, zapytaj, czy ktoś nie chciałby jeszcze ostatniego drinka na dobranoc, dobrze?

Poszedł na górę przekonany, że Naomi ukryła się w zaciszu sypialni. Leżała na łóżku twarzą w dół i płakała.

– Zostaw mnie w spokoju! – Prawie natychmiast, jak tylko otworzył drzwi, stłumione żądanie zostało wykrzyczane z dziecięcą niemal złością.

– Nie, dopóki nie powiesz mi, co się dzieje.

Usiadł przy niej i próbował pogłodzić ją po włosach. Strząsnęła z furią jego dłoń.

– Nie dotykaj mnie!

– Dobrze. Posiedzę tylko tutaj.

Spokój jej męża i jego troskliwość były dla Naomi dodatkową torturą. W ich srebrne gody na początku tego roku odbyli podróż sentymentalną do kościoła, gdzie wzięli ślub, i zrobili sobie fotografię, stojąc ponownie razem w kruchcie. Zdjęcie w ramce stało teraz na stoliku nocnym Naomi, która uznała je za ostateczny dowód na to, że tego, co postanowiła osiągnąć pewnego popołudnia 1963 roku na przyjęciu w ogrodzie w Sheffield, nikt już jej nigdy nie odbierze. Gdy chwilę wcześniej wpadła do pokoju, zdjęcie natychmiast rzuciło jej się w oczy, tak że musiała stłumić krzyk. Zbudowany na kłamstwach i oszustwie, jej bezpieczny świat walił się, a fakt, że Charles nadal wyciągał do niej wśród tych ruin pomocną dłoń, tym bardziej ją dobijał. Nie rozumiał, co się działo, ale jego miłość do niej była tak niewzruszona, jak fałszywe było jej poczucie bezpieczeństwa.

– Przepraszam – wymamrotała. – Nie czuję się dobrze... To nic... Ja po prostu... Zejdź na dół i powiedz im... Nie mogę o tym rozmawiać, nie teraz... Zaraz

poczuję się lepiej... Proszę... – Jej głos zanikł, gdy przełykała ślinę. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Charles ponownie dotknął jej włosów i tym razem się nie sprzeciwiła. – Zostań tu, a ja zaraz przyjdę.

Roberta czekała na niego w holu. – Co się dzieje?

– Nie jestem pewien, kochanie. Mówi, że źle się czuje, ale tu chodzi o coś więcej. Jest przygnębiona z jakiegoś powodu. Na pewno to zauważyłaś.

– Oczywiście, że tak. – Kiwnęła głową w stronę zamkniętych drzwi salonu. – Coś nam zatrulo ten dzień. W powietrzu można zawiesić siekierę albo użyć go jako gazu trującego. Co się z nami wszystkimi dzieje?

– Być może ta tradycja utrzymała się o jedno święta za długo – stwierdził Charles. – Już dawno wyrosliśmy z tęsknoty za wspólną Gwiazdką. Tak czy inaczej, wkrótce będziemy to mieli z głowy. Czy ktoś wybiera się może do łóżka?

– Na pewno babcia, sądzę, że Claire też ma już dość. No i nieszczęsny Richard powinien się położyć, zanim się przewróci – nadal pije zupełnie bez umiaru.

– Chodź, damy im do zrozumienia, co powinni zrobić.

Kiedy to mówił, drzwi salonu otworzyły się i stanęła w nich Florence.

– Idę spać... i zasugerowałam, by pozostali zrobili to samo. Jak tam Naomi?

– Położyła się – odparł Charles. – Jest przemęczona. Przykro jej z powodu tego wybuchu.

– Cóż, gdyby jej własny brat nie był aż tak pijany... – Florence wydeła usta z dezaprobatą. – Nie jest teraz w stanie przeprosić, więc zrobię to za niego. Bardzo przepraszam, Charles.

– Nic się nie stało... Dobranoc.

– Śpij dobrze, babciu. – Roberta pocałowała Florence w policzek.

– Dobranoc, kochana. Dziękuję ci za cudowny dzień. – Poszła na górę.

– Chodźmy i postarajmy się, by zrozumieli, że pora już iść do łóżek – powiedział Charles.

Gdy wrócili do salonu, posypały się zdawkowe pytania o to, jak się ma Naomi, a Charles odpowiadał na nie ogólnikowo, aż w końcu Claire i Emma powiedziały dobranoc. Claire była wyraźnie niezadowolona, że Tim nie poszedł z nią, tłumacząc się, że nawet trzy łazienki w tym domu nie pomieszczą wszystkich naraz. Po jakichś dziesięciu minutach Charles postanowił wreszcie wrócić do Naomi, rzucając tylko nieco cierpko, by ostatnia osoba zgasiła światło. Roberta wyszła za nim do holu.

– Dlaczego po prostu nie powiesz im wszystkim, żeby poszli w cholerę do łóżek? – spytała gniewnym szeptem. – Przecież to twój dom.

– A oni są moimi gośćmi. To chyba kwestia tego, jak mnie wychowano.
– Też jesteś zmęczony, prawda? I martwisz się. – Ucałowała go ze współczuciem. – Idź i sprawdź, jak się czuje mama. Powiedz jej, że ją Kocham. Sama się nimi zajmę.

Kiedy wróciła, bezceremonialnie zaczęła sprzątać pokój, ostro odrzucając nieśczerą ofertę pomocy ze strony Stephanie.

– Zaraz się z tym uwinę – powiedziała. – Nie chcę nikogo zatrzymywać... David, czy nie powinienes już zażyć swej dobowej dawki snu piękności?

Była wściekła na brata. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu zatroskany o matkę i kompletnie zawiódł ojca, nie oferując mu wsparcia, którego ten potrzebował. Roberta zawsze wiedziała, że David jest samolubny, a im był starszy, tym stawał się gorszy. Uwaga Emmy wygłoszona w kuchni zakolała jej się w pamięci; czyjego umysł naprawdę był zajęty tylko tym, jak się spiknąć ze Stephanie?

– Racja – rzekł. – Na pewno nie potrzebujesz pomocy, siostrzyczko?

– Potrzebuję... Ale od ciebie jej się nie doczekam. – Nie przerywała zbierania na tacę brudnych talerzyków i pustych kieliszków.

– O co ci chodzi?

– Nieważne. Po prostu idź spać.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wyszła z salonu i ruszyła do kuchni. Miała nadzieję, że pójdzie za nią... Jednak usłyszała tylko, jak idzie na górę, nucąc pod nosem.

– Ty egocentryczny gnojku – mruzczała, wkładając naczynia do zmywarki. – Policzę się z tobą jutro.

Kiedy wróciła do salonu, zastała w nim już tylko Richarda i Tima.

– Stephanie poszła na górę – wyjaśnił niepotrzebnie Tim.

Roberta wątpiła, by Richard był czegokolwiek świadom. Twarz miał opuchniętą i wydawało się, że próbuje skupić wzrok, ale szło mu to równie kiepsko, jak usiłowanie wprawienia w ruch własnego mózgu.

– A kiedy wy dwaj zrobicie to samo, ja też się położę – rzekła. – No już, to się staje...

– Chcę porozmawiać z Naomi. – Głos Richarda brzmiał tak bełkotliwie, że ledwo można go było zrozumieć.

– Słucham? – spytała Roberta.

– Z Naomi – powtórzył i podjął wyraźny trud przemówienia z pełnym godności zniecierpliwieniem, tak jakby jego słuchacze celowo nie chcieli go zrozumieć. –

To ważne. Musimy porozmawiać. Gdzie ona jest? Pójdę i... – Podniósł się i zatonął.– Tim, zaprowadź brata do łóżka – poleciła bez ogródek Roberta. Nie chcę go widzieć w takim stanie w pobliżu mojej mamy.

– Nie twojej mamy – wymamrotał Richard. – Naszej siostry. Była naszą siostrą dawno temu... wiele, wiele lat temu... jak nasz stary jeszcze żył. Zawsze we trójkę... Przebrzydła trójca, tak nas nazywano... Robiliśmy różne...

– Richard, siedź cicho! – Tim wyrwał szklaneczkę whisky z ręki brata. – Wystarczy. Roberta ma rację. Idziemy spać.

Próbował wziąć Richarda pod rękę, ale ten odepchnął go niezdarnie.

– Najpierw muszę zobaczyć się z Naomi... porozmawiać. Ona myśli, że to był mój pomysł. Ty tak nie uważasz, prawda? Ja po prostu robiłem to co wy. Nigdy nie chciałem...

Roberta krzyknęła lekko, gdy Tim go uderzył.

– Przestań! Za dużo wypiełeś. Na litość boską, bądź cicho!

Zaczerwienione oczy Richarda zwróciły się ku niemu. – Uderzyłeś mnie... draniu. Nie wolno ci tego robić... Wybiję ci te pieprzone zęby... chodź tu.

Tim zadławił się, gdy Roberta chwyciła go za kołnierzyk koszuli i pociągnęła do tyłu, po czym stanęła pomiędzy nim a jego bratem. Płakała z wściekłości.

– Nie wiem, o co w tym, do diabła, chodzi, ale macie w tej chwili przestać – ostrzegła. – Jak *śmiecie*? To jest nasz dom. Tata zamartwia się o mamę, połowa całego pieprzonego towarzystwa chodzi, jakby miała wybuchnąć, a wy zachowujecie się jak świnię! I może jestem niewysoka, ale uwierzcie mi, że znam parę nieczystych zagrywek w walce. Więc albo się obaj natychmiast uspokoić i pójdziecie do łóżek, albo zacznę was kopać po jajach. Zrozumieliście?

– On mnie uderzył – powtórzył ponuro Richard. – Nie wolno mu... – Zaskomlał z bólu, gdy Roberta kopnęła go w gołęń.

– Ostrzegałam cię, Richard. A następnym razem będę mierzyć wyżej.

Spojrzał na nią z konsternacją; Naomi kopnęła go tak raz w altanie w ogrodzie w Tattersall Close i po tych wszystkich latach nadal to pamiętał. Jego pierś zafalowała, a z ust wydobył się gulgoczący odgłos.

– Jak mi się tu porzygasz... – Roberta chwyciła Inianą serwetkę, którą przeoczyła podczas sprzątania pokoju, i przytknęła mu ją do twarzy.

– Idź już na górę.

Wydawało się, że Richard nagle otrzeźwiał i nie bardzo wiedział, co się dzieje. Trzymając serwetkę przy ustach, skinął głową i ostrożnie minął drzwi.

– Teraz ty – rzuciła Roberta, gdy wyszedł.

Tim masował szyję tuż nad rozdartą koszulą i mrugał szybko.

– Nie wiem, co ty masz na swoje usprawiedliwienie, bo przynajmniej wydajesz się trzeźwy. Zresztą i tak nie mam ochoty cię słuchać. Po prostu spieprzaj już tak jak twój cholerny brat!

– Przepraszam, Roberto. Nie powinni byliśmy... Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Nie trudź się. Dobranoc.

Stała do niego plecami, ramiona krzyżując na piersi, zdecydowana tak stać, dopóki nie wyjdzie. Dopadł ją nagły ból głowy i znów zaczęła płakać, już nie z wściekłości, ale dlatego, że odczuła swoistą bolesną ulgę.

Kiedy usłyszała, jak Tim zamyka drzwi, musiała chwycić się fotela, bo nogi się pod nią ugięły.

– Jezu Wszechmocny – zapłakała. – Wyñoście się już stąd, do cholery. Wszyscy...

ROZDZIAŁ TRZECI

W nocy na dworze zrobiło się tak, jakby już nic nigdy nie miało się więcej porużyć. Lód cicho skuł powierzchnię wodnego oczka w ogrodzie, a szron przesłonił okna i pozostawił srebrne malunki na kruchym szkle i metalu samochodów na podjeździe. Gałęzie drzew skamieniały, białe i sztywne jak kości. Wewnątrz domu też wszystko wydawało się zastygłe, choć nie ustawały w nim drobne, intymne ruchy. Naomi jęknęła przez sen, a Charles objął ją ramieniem; Florence nie mogła zasnąć, wciąż zła i zawstydzona zachowaniem syna; Roberta przewracała się niespokojnie, martwiąc się i szukając wytłumaczenia na to, co się stało; Tim wpatrywał się w sufit, mrugając nerwowo. Richard chrapał w alkoholycznej śpiączce, od czasu do czasu wyrzucając z siebie niezrozumiałe urywki zdań. Stephanie udawała, że śpi, kiedy przyszedł na górę, z pogardą wysłuchując, jak ciska przekleństwami, usiłuje wygramolić się z ubrania i pada koło niej, cuchnąc obrzydliwie; co teraz pomyśleliby w *Post* o swoim superredaktorze działu informacji zdegradowanym do odrażającego stanu żalostnego pijaczyny? Kiedy stękał i układał się na łóżku, odsunęła się na brzeg, na wypadek gdyby zachciało mu się zacząć do niej dobierać, ale prawie natychmiast zasnął. Po kilku minutach wyslizgnęła się po cichu z łóżka, założyła szlafrok i wykradła się na korytarz; spod drzwi Davida sączyło się światło. Kiedy otworzyła je i po cichu weszła do pokoju, podniósł wzrok, odrywając go od książki, którą czytał.

– Witaj – rzucił swobodnie. – Już myślałem, że nie przyjdiesz. Jak tam Richard?

– Nie wie o bożym świecie. – Zamknęła drzwi. – Tak przy okazji, mam nadzieję, że jesteś na to przygotowany.

Otworzył szufladę swojej szafki nocnej i wyjął paczkę prezerwatyw, od niechcienia rzucając ją na kołdrę obok siebie. Zauważyła, że była już otwarta.

– Nigdzie się bez nich nie ruszam.

– Jesteś strasznie pewny siebie, co?

– Tak.

– Boże, ależ z ciebie zarozumiała drań. Nie jestem jedną z tych uniwersyteckich ciż, które posuwasz.

– A jednak tu przyszedłeś.

Spoglądał na nią z rozbawieniem. Stephanie zdała sobie sprawę, że gdyby teraz

wyszła, zaśmiałyby się obojętnie do siebie i powrócił do książki. On naprawdę był... Nagle stał się dla niej tym bardziej atrakcyjny, pociągając ją mocą wyzwania, które sobą reprezentował. Rozwiązała pasek podomki i pozwoliła, by osunęła się po jej ciele na podłogę. Wyraz twarzy Davida zmienił się.

– Na to nie pozostałeś obojętny, prawda? – powiedziała sucho. – A czy teraz powiesz mi, jak się czujesz, że tu jestem, czy mam wyjść?

Delikatnie skinął głową. – Bardzo cieszę się, że tu jesteś.

– Tak lepiej.

Gdy się do niego zbliżyła, jego dłoń powędrowała do lampki na stoliku.

– Nie. Zostaw zapaloną. Chcę widzieć twoją twarz.

Budząc się z krótkiego, niespokojnego snu, Roberta spojrzała na budzik; było dwadzieścia po czwartej.

– Jezu – jęknęła, padając z powrotem na łóżko.

Za kilka godzin wszyscy się obudzą, a wówczas czy powrócą klótnie, zaczynając się tam, gdzie się skończyły? Ile czasu upłynie, zanim Richard zacznie znowu żłopać whisky? Co, u licha, można było robić w drugi dzień świąt, poza tkwieniem w domowym więzieniu, z którego każdy chciałby się jak najprędzej wydostać? Wesołych, kurde, świąt. Dobrze, że do przetrwania został jeszcze tylko jeden dzień; dwudziestego siódmego Tim będzie chciał jak najszybciej wyruszyć do Manchesteru, a Richard pogna z powrotem do Post, odwożąc po drodze Emmę i Stephanie. Roberta obiecała sobie, że poświęci trochę czasu na rozmowę z mamą...

Poczuła się zupełnie wybita ze snu, a na dodatek zaschło jej w ustach; pośród wieczornych emocji zapomniała przynieść sobie szklankę wody. Wzdychając z rezygnacją, wstała. Obezna od dziecka z domem rodziców, nie potrzebowała zapalać światła na schodach, co oznaczało, że natychmiast zauważyła blask nadal sączący się spod drzwi jej brata. Początkowo z niczym jej się to nie skojarzyło, lecz po chwili zatrzymała się u szczytu schodów. Dlaczego nie spał? A może... Skrzywiła się na myśl o tym, co powiedziała Emma, i mało brakowało, by weszła do jego pokoju, jednak się powstrzymała. Jeśli zastanie to, co podejrzewa, wybuchnie i obudzi pół domu – ale i tak musiała wiedzieć. Delikatnie otworzyła drzwi sypialni Richarda i zajrzała do środka: głośno chrapiąc, leżał sam w łóżku.

Roberta oparła głowę o framugę drzwi, płacząc i szepcząc do siebie.

– Ty pieprzony, bezmyślny, samolubny, jurny... *gnojku!*

W tej chwili Roberta nienawidziła swojego brata bardziej niż kogokolwiek na świecie w jakichkolwiek okolicznościach. Nie chodziło tu o spanie ze Stephanie,

Roberta nigdy nie miała żadnych złudzeń co do dziewczyny swojego wujka. Ta była fizycznie i seksualnie nadrozwinęta, natomiast umysłowo niedorozwinęta. Jeżeli chciała kręcić z Davidem, w porządku. Ale żeby jej brat był tak bezduszny i nieświadomy tego, co działo się wokół niego, że nie poczekał, aż będą mogli być bardziej dyskretni... Roberta zeszła na dół, zdecydowana zrobić mu piekło, jak tylko nadarzy się okazja.

W cichej kuchni przygotowała sobie filiżankę herbaty; czuła się wykończona, ale nie miała chęci iść z powrotem do łóżka. Zamiast tego poszła do salonu, zapalając tylko lampki na choince dla oświetlenia pokoju. Naomi postanowiła, że tegoroczne drzewko będzie w odcieniach czerwieni, różu, karmazynu, amarantu i wiśni, świecących pośród ciemnych igieł sosny. Roberta uśmiechnęła się kwaśno, zdając sobie sprawę z atmosfery burdelu, którą te barwy stwarzały. Zapaliła jednego ze swych nielicznych papierosów – zły znak, powiedziała sobie, za dużo napięcia – i usiłowała coś z tego zrozumieć. Richard był wkurzony i nie była to jedynie kwestia pijackiego bełkotu; Tim aż go uderzył, a jej matka znalazła się na krawędzi. Wszyscy troje zdawali się emocjonalnie kruszyć, nie potrafili się opanować chociażby ze względu na dobre maniery... Niepokoiło ją to, bo takie zachowanie było do nich zupełnie niepodobne. No, ale został jeszcze tylko jeden dzień, przez który trzeba przebrnąć, a potem... Zasnęła, podczas gdy papieros zarzył się cały czas w popielniczkę. Wkrótce cały dom zaczął się budzić.

Co ty tu robisz na dole?

– Mmm? – Roberta zamrugwała sennie. – Och, cześć, mamusiu.

Przepraszam, obudziłam się o jakiejś nieludzkiej godzinie i zachciało mi się herbaty. Musiałam przysnąć... Która jest godzina?

– Prawie ósma. Zacznę przygotowywać śniadanie.

– Boże, to prawie tak, jakby trzeba było nakarmić dywizję wojska... Pomogę ci. – Przetarła oczy i wstała, przyglądając się matce z uwagą. – Jak się czujesz?

– Dobrze. – Naomi zacisnęła mocniej pasek szlafroka.

– Wcale nie. Wyglądasz potwornie.

– Och, dziękuję ci, słonko. Ty sama nie wyglądasz jak z obrazka.

– Nie żartuj sobie, mamó. Martwię się o ciebie. O co poszło wczoraj wieczorem? Tim i Richard prawie się tutaj pobili.

– Słucham? – Naomi wydawała się zaskoczona. – O co?

– Bóg raczy wiedzieć. Richard był oczywiście wściekły jak pies. W kółko

powtarzał, że chce z tobą porozmawiać. Musiałam go aż kopnąć, żeby się wreszcie zamknął.

– Nie... – Naomi odwróciła się. – Nie mieszaj się w to, kochanie. My... on i ja pokłóciliśmy się wcześniej... Zresztą to nieważne. Do rana na pewno już o tym zapomni. Po prostu przebrnijmy jeszcze przez ten jeden dzień i... Chodź, jeśli chcesz mi pomóc, to zaczynajmy.

Wracam do siebie.

David poruszył się, półprzytomny, kiedy Stephanie wstała z łóżka.

– Richard zrobi piekło, jak nie będzie mnie przy nim, gdy się obudzi. – Założyła szlafrok i szybko go pocałowała. – To był najlepszy świąteczny prezent, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Do zobaczenia później.

Ale on już spał.

Wyjrzała na korytarz, po czym pośpieszyła do pokoju obok. Czuć w nim było wyziewy whisky, a Richard nadal chrapał. Położyła się obok niego, czując ciepło i satysfakcję. David Stansfield być może jest zarozumiały nie do zniesienia, ale ona zniosłaby każdego mężczyznę, który potrafił się tak kochać... Opatuliła się ciaśniej kołdrą, przeżywając raz jeszcze tamtą zmysłowość i spełnienie, już planując, kiedy by to można powtórzyć.

Chcę dzisiaj jechać do domu – oznajmiła Claire. – Mam już tego dość.

Tim pokręcił głową. – Nie możemy tego zrobić. Zawiedlibyśmy mamę. Wiesz, jak bardzo lubi tu przyjeżdżać.

– Tak. I oboje wiemy dlaczego, prawda?

– O co ci chodzi?

– Po prostu pławi się w tym całym luksusie, jakby sama się w nim urodziła. Gdyby twoja siostra nie poślubiła pieniędzy, twoja mama nigdy nie przekroczyłaby progu takiego domu.

– Na litość boską...

– Na litość boską, co! Niedobrze mi się robi, kiedy widzę, jak siedzi sobie rozanielona, podczas gdy ty i ja jesteśmy poniżani. Nie widzisz, jak się zmienia, kiedy ją tu przywozimy? Roberta klei się do niej przez cały czas, David traktuje ją jak jakąś cholerną królową. Rzygać się chce. A jeśli chodzi o zachowanie twojego brata minionego wieczora...

– Claire...

Nieudolnie próbował ją objąć, ale gwałtownie go odepchnęła. Przed wyjazdem bała się dorocznej katorgi związanej ze spaniem w jednym łóżku, no i doświadczenie to okazało się tak nieprzyjemne, jak się tego spodziewała. Budziła się co chwila, świadoma faktu, że śpiący obok niej mężczyzna jest jej mężem; po tak długim czasie powinna to być normalna rzecz w ich małżeństwie, powinni czuć się swobodnie ze swoją fizyczną bliskością, mając w pamięci niezliczone chwile namiętności, które mogliby przeżyć raz jeszcze, spokojniej i intensywniej. Powinno to być ciepłe, dobrze utrzymane, sekretne gniazdko miłości, a nie narzędzie nieustających tortur przypominające, czego jej w życiu brakuje. Jej odrzucenie wyzwoliło w nim postawę obronną i stał się ponury.

– I tak nie możemy pojechać – powtórzył. – Musimy tu wytrzymać jeszcze tylko jeden dzień. Na Boga, przecież chyba jakoś to zniesiesz.

– Dobrze, ale w przyszłym roku przyjeżdżasz sam, jeśli zechcesz; ja zostaję w domu.

Dzień dobry, Charles.

– Dzień dobry, Florence. Dobrze spałaś?

– Niestety, nie najlepiej. Zamierzam później porozmawiać z Richardem i powiedzieć mu, że musi cię przeprosić. Jego zachowania wczoraj wieczorem nie da się niczym usprawiedliwić.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła. To zupełnie nieistotne i nie ma sensu...

– Ma. Wprowadził wszystkich w zakłopotanie i najwyraźniej zdenerwował Naomi... Jak ona się dzisiaj czuje?

– Zdaje się, że dobrze. Jest w kuchni i przygotowuje śniadanie.

– Tak jakby nie dość się jeszcze napracowała... Pójdę jej pomóc.

Bez tradycyjnego ustalonego wzorca drugiego dnia świąt, schodzili na dół, jak im się podobało; choć minęła jedenasta, Emma wciąż jeszcze się nie pojawiła i Richard stwierdził, że po nią pójdzie.

Leżała na łóżku, nie śpiąc, z odsłoniętymi zasłonami i wzrokiem wbitym tępo w sufit.

– Zejdiesz na dół? – zapytał.

– Po co? – Nie poruszyła się.

– Nie możesz tak po prostu leżeć cały dzień.

– Dlaczego nie? A co innego, kurde, można tutaj robić?

- Chodź, Em. Zrób to dla swojego staruszka.
- Odwróciła głowę i spojrzała na niego chłodno. – A co mój staruszek kiedykolwiek zrobił dla mnie?
- Co to ma znaczyć?
- To, co słyszysz... Dobra, zaraz zejść... Jak tam Stephanie dzisiaj rano?
- Stephanie? W porządku. Dlaczego pytasz?
- Tak tylko się zastanawiam... Być może znalazła jakiś sposób, by się zabawić w tym cholernym domu.
- O czym ty mówisz?
- O niczym. Idź... Powiedziałam, że zejść.

Roberta dołożyła szczególnych starań, by dobrze wyglądać tego ranka. Umyła włosy i uczesała swą krótką, błyszczącą, kasztanową czuprynę, założyła beżową, wełnianą spódniczkę od kostiumu Armaniego, który dali jej rodzice na święta, i jedwabną bluzkę Nicole Farhi. Przyglądając się sobie w lustrze, postanowiła spróbować poprawić nastrój w domu. Kiedy weszła do kuchni, pierwszą osobą, jaką zobaczyła, była Claire – trwała, zapinany sweterek we wzory, ciemna spódnica w szkocką kratę, buty na płaskim obcasie – która spojrzawszy na nią, natychmiast spuściła wzrok i zaczęła wpatrywać się w swoją herbatę.

- Dzień dobry, babciu. – Roberta pocałowała Florence.
- Dzień dobry. Bardzo ładnie wyglądasz. Czytałam w jednym z magazynów, że długie spódniczki znów stają się modne.
- Bardzo modne. – Okręciła się na swoich wysokich obcasach. – Niech mnie tylko tak zobaczą w redakcji. Będę musiała się opędać od facetów. – Uśmiechnęła się przekornie. – Podobnie jak ty, babciu.
- Wystarczy, młoda damo. Jestem szanowaną panią w więcej niż średnim wieku.

Roberta zrobiła minę pełną udawanego niedowierzania. – Naprawdę? Co ty nie powiesz?

Claire bolały spojrzenia, które Florence i Roberta wymieniały między sobą. Prywatne żarciki pomiędzy bliskimi sobie osobami znaczyły tak wiele. Gdyby Harry żył, teraz mogłaby już mieć wnuczki, które może wyrosłyby na jej przyjaciółki.

- Dokąd pojechał Richard? – zapytała Roberta, robiąc sobie kawę.
- Do wioski kupić sobie *Post* – odparła Florence. Podobało jej się to, jak mieszkańcy Brookmans Park mówili na swoje centrum.
- W takim razie kupi też wszystkie inne gazety, które dzisiaj wyszły. Boże, to wstyd przed towarzystwem mieć w domu *Sun*. Ale przynajmniej się czymś

zajmie. A co będzie robić reszta z nas? Claire?

Claire wstała. – Zrobię to, co mi każą, Roberto. Tak jak zawsze.

Roberta warknęła ze złości, gdy jej ciotka wyszła. – Nie musiała mi tego robić, babciu. Próbuję tylko rozruszać ludzi w tym domu.

– Wiem, kochanie. Tylko że z Claire to jest zawsze syzyfowa praca.

– Wiem, że tak, ale... – Roberta usiadła przy stole naprzeciw Florence. – Co się ze wszystkimi dzieje? Wkurzają mnie. Mama tak się napracowała, a oni na to wszystko srają. Przepraszam, zwykle nie używam takiego języka w rozmowie z tobą, ale...

– Nie szkodzi – przerwała jej Florence. – Jeżeli zaczną się dziać tak nonsensowne rzeczy jak zeszłego wieczora, być może usłyszysz, jak podobne słowa padają z moich ust. Richard był odrażający.

– Nie on jeden.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne. – Roberta wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń babci. – Ty i ja przeciwko nim wszystkim? Dla dobra mamy i taty?

– Jasne. Wszystko będzie dobrze.

Dzień był zbyt pusty, zbyt wiele w nim było luk, by wypełnić je czymkolwiek, co rozluźniłoby atmosferę. I były rzeczy, które według pewnych osób musiały zostać powiedziane. Zaczęła Florence, kiedy zastała Richarda samego w salonie.

– Czy przeprosiłeś Naomi? – spytała.

– Za co?

– Za zeszły wieczór, oczywiście... Proszę, odłóż tę gazetę. Byłeś pijany i wprowadziłeś wszystkich w zakłopotanie.

Richard opuścił Daily Mirror, ale nadal trzymał go w dłoni. – Naomi nic nie mówiła.

– No to ja ci mówię. Spodziewałam się, że moje dzieci będą się zachowywały grzeczniej.

– Nie jestem już twoim dzieckiem, do jasnej cholery. Mam prawie pięćdziesiąt lat.

– Wczoraj wieczorem z pewnością na tyle nie wyglądałaś. Nie będę tego tolerować, Richardzie.

– Tolerować? Czego? – Z głową pękającą z powodu kaca Richard wybuchnął złością. – Jeżeli Naomi będzie chciała mnie ochrzanić, to jej sprawa. Ale przestań traktować mnie jak dziecko. Nie podoba mi się to.

– Nie interesuje mnie, co ci się podoba, a co nie. Byłeś odrażający. Gdyby tylko twój ojciec mógł...

– Zamknij się! – *Mirror* zatrzepotał i rozleciał się, gdy rzucił gazetę w stronę matki. – Co, do kurwy nędzy, *on* ma z tym wszystkim wspólnego?

Twarz Florence napięła się. – Jesteś popieprzony, Richard! Zdziwiło cię to, nieprawdaż? Ale nigdy nie mów o swoim ojcu w ten sposób! Jeśli już nic innego nie możesz zrobić, przynajmniej okaż mu trochę szacunku.

– Szacunku? Temu hipokrycie, zadowolonemu z siebie, nadętemu łajda...

– Richard! Przestań! Czy ty już zacząłeś dzisiaj pić?

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, po czym drzwi otworzyły się i weszła Naomi.

– Co tu się, do diabła, dzieje? Trzecia światowa...? – Zamilkła, gdy odwrócili się w jej stronę. – Och, nie wiedziałam, że to wy.

– Wybacz, Naomi – rzekła sztywno Florence. – Właśnie mówiłam Richardowi, że powinien przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie, ale wygląda na to, że jest w dość szczególnym nastroju dzisiejszego ranka. Zrobiłam, co w mojej mocy. Może przy tobie będzie się zachowywał mniej histerycznie. Idę na chwilę do swojego pokoju.

– Dziękuję, mamó, ale nie trzeba było...

Naomi westchnęła, gdy Florence wyszła, po czym zmęczona zwróciła się do Richarda.

– O co w tym wszystkim chodziło, do diabła starego?

– Nieważne. Po prostu mnie wkurzyła.

– Mówiąc ci, żebyś przeprosił?

– Nie... Zapomnij o tym. I wybacz mi. Zachowywałem się wczoraj jak świnia.

– Owszem... A ja sporo o tym myślałam, Richard. Jeżeli nie obiecasz, że w przyszłości będziesz bardziej nad sobą panował, to nie będziesz już w tym domu mile widziany. Nie potrafiłabym znieść jeszcze jednej takiej sytuacji jak ta wczorajsza. A ty i tak nigdy nie lubiłeś tu przyjeżdżać. Tak jak mówiłeś, może to tylko pozory, które zachowujemy z niewłaściwych powodów. Po prostu odpuśćmy sobie.

– Nie możesz tego dla mnie zrobić? – zapytał cicho.

– Nie zaczynaj do nowa – ostrzegła go. – Nie chcę tego słuchać. Po prostu... po prostu sam musisz sobie z tym poradzić. Tak jak ja i Tim. I nie prosz, bym dźwigała ten cholerny ciężar za ciebie. Dobrze?

– Ale powiedziałaś, że...

– *Milcz!* – Naomi zamknęła oczy i wzdrygnęła się. – Dobrze wiem, co powiedziałaś. I mówiłam poważnie. To wszystko. A teraz, na Boga, sam musisz się jakoś z tym uporać.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Richard patrzył za nią przez chwilę, po czym poszedł i nalał sobie kolejnego drinka.

*

W odstępnie niecałej sekundy rozległy się dwa strzały, odbijając się echem wśród ciszy lasu, cichnąc wśród spłoszonego trzepotu skrzydeł ptaków ulatujących w niebo. Schowana pośród krzewów sarna uciekła w popłochu. Było wczesne popołudnie, słońce nadaremnie wytyężało swe promienie, gdy blade, zimne światło na cytrynowo zabarwiało delikatną mgiełkę i błyszczało na szronie i lodzie. Charles opuścił broń i zgiął ją wpół, wyrzucając puste, dymiące naboje; nie próbował niczego zabić, celował do wysokiej gałęzi martwego drzewa.

– Strzelałeś kiedyś z takiej? – zapytał.

– Dawno temu – odparł Richard. – Nauczyłem się podstaw na darmowym szkoleniu jakieś dziesięć lat temu.

Charles naładował i podał szwagrowi broń. – No to spróbuj teraz. Odrzut nie jest tak gwałtowny, jak można by się spodziewać.

Stanął za Richardem, kiedy ten składał na powrót broń i celował w niebo. Stephanie zakryła uszy rękawiczkami z owczej wełny, które pożyczyła jej Naomi, a dwa grzmoty znów przerwały ciszę.

– Można by tym obudzić umarłego – narzekwała.

– Nie martw się, najbliższy dom znajduje się jakieś dwa kilometry stąd – uspokoił ją Charles. – Chcesz spróbować, David?

– Chętnie.

Wziął broń od Richarda i sam ją nabił.

– Co to... Znaczy się, to nie są chyba prawdziwe kule, co? – zapytała Stephanie.

Teraz, kiedy David trzymał w ręku broń, zaczęła się nią interesować.

– Nie, to śrut. – David rozejrzał się po polanie, na której stali. – Widzisz ten pień?

Trzymając broń na wysokości pasa, wypalił. Otaczająca drzewo gruba warstwa opadłych liści wzniosła się w górę, a fragmenty kory oderwały się od pnia i spadły w krzaki.

– Chodź zobaczyć.

Stephanie przeszła z nim przez polanę i ukucnęli; kora była usiana małymi dziurkami. David podniósł ołowianą łuskę.

– Tylko sobie wyobraź, że jesteś ptaszkiem na drodze paru takich drobinek.
– Wolę wyobrazić sobie coś innego – odparła cicho i przejechała palcami po lufie strzelby, którą nadal trzymał. – Bardzo freudowskie są te przedmioty, prawda?

– Nie teraz – mruknął.

– Za to potem... I chcę od ciebie dostać dwie takie lufy.

– Chryste, jesteś nienasycona. Lubię to w kobietach. – Jego usta prawie się nie poruszały, gdy to mówił. Wreszcie wyprostował się i odwrócił w stronę ojca.

– Masz rację co do odrzutu, tato. Prawie się go nie czuje.

– Chodźcie, czas wracać – rzekł Charles.

Zaproponował wcześniej, by przetestować jego prezent w ramach ucieczki od dusznej atmosfery domu, ale teraz chciał już wrócić do żony.

Kiedy szli w stronę samochodu, Richard objął Stephanie i poczuł, jak jego kochanka usiłuje zapanować nad wrogością własnego ciała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na wieczór drugiego dnia świąt zaproszono na drinka sąsiadów, ludzi z zewnątrz, którym należało zaprezentować obraz szczęśliwej rodzinnej zabawy.

– Tak, to bardzo miło, gdy wszyscy zbiorą się razem... Od lat już przyjeżdżamy do Naomi i Charlesa. Zawsze spędzamy tu wspaniałe święta... Jesteś nauczycielem? Musisz porozmawiać z Timem... Spróbuj tego. Jest przepyszne... Nie mogliśmy tego opublikować, ale wiemy, że przed śmiercią Maxwell... Tuż pod Manchesterem. Niedaleko pola krykietowego Lancashire. Wiesz, gdzie to jest?... To pani pierwsza wnuczka? Jak miło... Podobają się wam? Dostałem to od siostrzenicy... Claire, ta pani też lubi robić na drutach... Wyjeżdżamy jutro rano... Miło nam było poznać... Do zobaczenia...

Kiedy Charles i Naomi zamknęli drzwi za ostatnią wychodzącą parą, nastąpiła pustka i znowu się rozdzielili. Florence, dla której ostatnie dwie godziny były takie, jaka w jej mniemaniu powinna być cała Gwiazdka w Hertfordshire, usiadła z wypożyczoną książką, którą ze sobą przywiozła; Claire, która uznała sąsiadów za snobów, czytała *Daily Mail* ze stosu gazet Richarda; Tim od niechcenia przeglądał setki świątecznych pocztówek rozrzuconych po pokoju. Chwilami pobrzmiewały rozmowy o niczym, bezsensowna paplanina, która miała tylko wypełnić ciszę. Stephanie zapytała, czy może pożyczyć suszarkę, i poszła na górę umyć włosy; Charles powiedział, że ma jakąś pilną pracę w swoim gabinecie.

– To jakiś koszmar – wyszeptała Roberta do swojej mamy. – Musimy coś z nimi zrobić.

– Zaraz będzie film na BBC2. Mogliby go obejrzeć. – Naomi wyglądała na wykończoną. – Ja idę do innego pokoju napisać kilka listów.

Roberta zdawała sobie sprawę, że jej rodzice zaniedbują obowiązki gospodarzy, jak gdyby kompletnie przestało już im zależeć na gościach. Dobrze, że była już prawie dziewiąta; niecałe trzy godziny i wszyscy powinni być w łóżkach. Zaczął się film, zapewniając jeszcze jedną drogę ucieczki przed koszmarem – sprytna hollywoodzka produkcja, która musiała mieć happy end... Richard zauważył nagle na głos, że Stephanie nie wróciła po umyciu włosów, i powiedział, że pójdzie jej poszukać. Roberta natychmiast zdała sobie sprawę, że David wyszedł z pokoju jakieś piętnaście minut wcześniej.

– Nie, zostań – powiedziała pośpiesznie. – I tak muszę iść na górę. Ty zaczekaj.

Poczuła nowy przypływ gniewu i pobiegła na piętro, pokonując po dwa schody naraz, irracjonalnie wmawiając sobie, że skoro spodziewa się najgorszego, to na pewno się to nie stanie. Pokój Richarda i Stephanie był pusty, a suszarka, którą pożyczyla, nadal leżała w opakowaniu na łóżku.

– Cholera, na pewno to robicie, co? – powiedziała do siebie, po czym przeszła przez korytarz i otworzyła na oścież drzwi sypialni brata.

Gwałtowne ruchy kopulujących ciał nagle ustały i nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza, podczas której żądza w nich wygasła i rozdzieliły się. David miał zdjęte spodnie i majtki, ale nadal był w koszuli i skarpetkach; spódniczka i figi Stephanie leżały zmięte na podłodze, a jej sweter i stanik podciągnięte były pod szyję, odsłaniając piersi. Taka połowiczna nagość sprawiała, że wyglądali ohydnie, jak przyłapani na gorącym uczynku przestępcy.

– Nie wiesz, że grzeczność wymaga, by zapukać? – zapytał sardonicznie David.

– Jezu, wy... świnię! – Roberta plunęła na nich tym słowem. – Ubierajcie się i zaraz schodźcie na dół. Osobno. Przypadkiem wiem, że robiliście to samo minionej nocy. Czy nie moglibyście zachować pozorów przyzwoitości, przynajmniej dopóki nie wyjedziecie? Potem możecie zapieprzyć się na śmierć, ale nie w tym domu, to obrzydliwe.

– Odwal się, siostrzyczko. Nie robimy nikomu krzywdy.

– Nie robicie krzywdy...? – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Czy ty, do jasnej cholery, nie masz pojęcia, co się wokół ciebie dzieje, David? Wszyscy skaczą sobie do gardła, mama jest załamana. Nasz dom jest jak bomba, która zaraz wybuchnie, a ty potrafisz tylko myśleć o ciupciani tej szmaty!

– Co? – Stephanie usiadła z błyszczącymi oczami. – Ty świętoszkowata krowo! Odwołaj to zaraz albo... o, *kurwa!*

Padła z powrotem na łóżko i zastygła, zapatrzona w sufit. Roberta zdała sobie sprawę, że David patrzy nie na nią, lecz gdzieś dalej, na korytarz, i odwróciła się; stał za nią Richard.

– Nie! – Chwyciła go za rękę. – Nie wszczynaj awantury. Proszę...

Zachwiała się, gdy gwałtownie odepchnął ją na bok, a David skoczył na podłogę, kiedy wujek rzucił się na niego przez łóżko, zwałił się na Stephanie i przelał na drugą stronę, myśląc tylko o złapaniu siostrzeńca.

– Ty gnojku! Niech cię tylko...

Półnagi i bezbronny David rzucił w niego książką z półki; Richard zatoczył się, unikając pocisku, który trafił w ścianę, po czym złapał Davida za kostkę, gdy ten próbował koło niego przemknąć.

– Przestańcie! – Roberta podbiegła do silujących się mężczyzn, desperacko próbując ich rozdzielić. – Stephanie, na Boga, pomóż mi!

Richard odepchnął ją i złapał Davida, wykonując zamach i mierząc w jego twarz. Roberta złapała go za prawy nadgarstek i zdołała utrzymać przez chwilę, nim uwolnił się i uderzył Davida w usta. Kiedy ponownie podniósł pięść, Stephanie zarzuciła mu ręce na szyję i przechyliła się w tył, a ciężar jej ciała pociągnął Richarda za sobą; David nieporadnie wycofywał się jak przerażony krab, przeklinając i podnosząc dłoń do rozciętej wargi. Roberta stanęła pomiędzy nimi dwoma, szlochając.

– *Dość* już! Przestańcie! Jesteście odrażający! Obaj.

– Ja jestem odrażający? – Twarz Richarda była czerwona z wściekłości. – Powiedz to swojemu cholernemu bratu.

– W takim razie ją też uderz – wściekła się Roberta. – Raczej nie musiał skubać jej łańcuchami, żeby do tego doszło.

– Nie, nie musiał. – Richard odwrócił się do Stephanie, która puściła go i jedną dłonią podnosiła z podłogi spódniczkę, a drugą obciążała stanik i sweter. – Które z was to zaczęło?

– Czy to ma jakieś znaczenie? Stało się i już.

– Zeszłej nocy też... – Roberta zamilkła: emocje rozwiązały jej język, a teraz było już za późno.

– Zeszłej nocy? – wybuchnął Richard. – Twierdzisz, że...?

– Nie! – Przeszła przez pokój i zamknęła drzwi. – Nie wiem, widziałam tylko... Pewnie się myliłam.

– Co widziałas? – dopytywała się Stephanie. – Chwileczkę, już raz to mówiłaś. Rany boskie, podglądałaś?

– Nie bądź głupia! Zauważyłam światło pod drzwiami. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale... Przepraszam, powinnam była trzymać buzię na kłódkę.

– Jasne. – Richard wstał, pocierając kostki prawej dłoni. – A oni niechby dalej robili ze mnie wała. – David skurczył się, gdy wuj zrobił krok w jego stronę. – Nie martw się, nie zamierzam już więcej maltretować twojej cennej buźki... Za to zamierzam ponownie się schlać.

– Richard, nie. – Roberta błagała go wzrokiem, stojąc oparta plecami o drzwi, by nie pozwolić mu wyjść. – Tak mi przykro, ale... – Zaczęła znowu płakać. – Ale to takie okropne. Nie wiem, co się ze wszystkimi dzieje. To jak życie nad kraterem wulkanu. Czy nie możesz poudawać przynajmniej do rana? Proszę.

– Udaję przez całe pieprzone życie i jestem już tym zmęczony. – Potarł dłonią czoło. – W porządku. Niczego nie mogę obiecać, ale spróbuję. I tak dość jest zamętu w tej rodzinie.

– O co ci chodzi?

– Nieważne.

Popatrzyła na niego zdumiona, odsuwając się od drzwi i pozwalając mu wyjść; znała go całe życie, a nadal wydawał się jej całkiem obcy.

– Krew mi leci... – David mówił jak rozkapryszony bachor.

– Zamknij się i ubieraj. – Robercie zrobiło się niedobrze z obrzydzenia. – A potem zejdź na dół i przez resztę wieczoru bądź normalny. Jutro możesz się wkurzać i robić, co ci się żywnie podoba. Ale teraz chcę, żebyście oboje zachowywali się przyzwoicie. Zrozumiano?

– Gdybyś tu nie wpadła, nic by się nie wydarzyło. – David wziął chusteczkę z pudełka przy łóżku i wycierał nią wargę. – Zamierzaliśmy zachować to w tajemnicy. Spieprzyłaś całą sprawę.

Roberta odwróciła od niego wzrok. – Jeśli naprawdę tak myślisz, David, to nie potrafię już z tobą rozmawiać.

Zostawiła ich i poszła do swojego pokoju, gdzie musiała oprzeć się o ścianę, bo dostała zawrotów głowy. Głęboko w jej wnętrzu wciąż jątrzyła się osobista rana spowodowana tym, co stało się z Martinem. Właściwie nie widziała go w łóżku z Suzanne, ale przez długi czas potem torturowała się, wyobrażając sobie, co zrobili nawzajem swoim ciałom. Przelotny widok jej brata i Stephanie, dyszących i ogarniętych żądzą, wywołał na powrót uczucie zazdrości i nienawiści, i poniżającego zwątpienia we własną wartość.

– Daj wreszcie spokój! – powiedziała na głos. – To już nie ma znaczenia. Po prostu wytrwaj przez resztę wieczoru.

Zmyła rozmazany przez łzy makijaż, po czym siedziała przez kilka minut bez ruchu, próbując odzyskać spokój, by wrócić na dół. Stephanie już była w salonie i siedziała na podłodze przy nogach Richarda. Robercie przyszło do głowy, że trochę przesadzają z tym udawaniem, ale przynajmniej się nie dotykali. Była zaskoczona, że całe to zajście zabrało tak mało czasu, nie było jej w pokoju niecały kwadrans, a jej nieobecność zakamuflowało powszechne zainteresowanie filmem, jak gdyby wszyscy bardzo się starali zachować spokój. Florence była jedyną

osobą, która na nią spojrzała i uśmiechnęła się, by zaraz ponownie skupić uwagę na ekranie.

Gdy David schodził na dół, z mniejszego pokoju dziennego wyszła Naomi.

– Coś ty, na Boga, sobie zrobił?

– Co? Ach to. – Ostrożnie dotknął wargi w miejscu, gdzie plaster ukrywał ranę. – Poślizgnąłem się w łazience. Nic się nie stało.

– Masz też siniaka... pokaż...

– Daj spokój, mamo. – Cofnął się, gdy do niego podeszła. – Wszystko w porządku.

– Krew sączy się przez plaster. Daj mi tylko zobaczyć...

– Odczep się! Nie jestem dzieckiem!

Urażona jego zachowaniem, Naomi spojrzała na syna. – Nie zachowujesz się szczególnie dorośle. No dobrze, skoro chcesz chodzić z krwawiącą wargą, to twoja sprawa. I bez ciebie mam dość problemów, z którymi muszę się uporać. Czy wszyscy nadal oglądają telewizję?

– O ile wiem, to tak.

– W takim razie może zechcesz pomóc mi pełnić rolę dobrej gospodyni? Roberta już i tak dość się już narobiła.

Konieczność napisania listów stanowiła jedynie wymówkę. Przez minioną godzinę Naomi siedziała w samotności, przekonując siebie, że jej mury obronne są bezpieczne i nie można ich tak po prostu zniszczyć i wystawić jej na niebezpieczeństwo. Jak najszybciej będzie musiała spotkać się z Richardem w mieście i dowiedzieć się, co go tak nagle nadważyło, wzmocnić własne mury obronne, odbudowując jego. Być może będzie też musiała porozmawiać z Timem; po trzydziestu latach nie wolno im wszystkiego zaprzepaścić. Tymczasem trzeba było jeszcze przebrnąć przez ten ostatni etap świąt. Bez problemu urządziła udane Gwiazdki przez tak wiele lat, dlaczego więc tym razem miałyby być inaczej? Musiała jedynie traktować wszystkich normalnie, jak w każdej innej rodzinie; akurat najmniej potrzebna jej teraz była opryskliwość syna sprowokowana jedynie jej troską.

Gdy przez ekran telewizora płynęły końcowe napisy filmu, dało się wyczuć, że wszystkich ogarnął lęk przed koniecznością ponownego komunikowania się ze sobą. Było tuż po jedenastej i Florence natychmiast oznajmiła, że idzie spać.

– Mamy jutro przed sobą długą drogę, a w prognozach pogody mówili, że w środkowej Anglii spodziewają się jutro opadów śniegu, więc powinniśmy wyruszyć wcześniej. – Podeszła do Naomi i pocałowała ją. – Dziękuję ci. To były wspaniałe święta. Jak zawsze. Gdzie jest Charles?

- Nadal pracuje. Ma jutro ważne spotkanie.
- W takim razie podziękuję wam obojgu jeszcze raz rano. – Florence rozejrzała się po pokoju. – Czy ktoś jeszcze idzie na górę?
- Tak – odparła Claire. – Masz rację co do pogody. Będziemy musieli wyruszyć jak najwcześniej. Tim?
- Tylko to dokończę. – Uniósł swoją szklaneczkę.
- Niech to nie trwa zbyt długo.

Emma, czując głód skręta, prawie natychmiast poszła za nimi, ale Richard powiedział, że chce obejrzeć wieczorne wiadomości, i wyraźnie dał do zrozumienia, że Stephanie ma zostać z nim. Roberta wpatrywała się w Davida tak długo, aż ten pojął znaczenie jej spojrzenia i wyszedł.

- Pójdę jeszcze zobaczyć, czy wasz tata już skończył – powiedziała Naomi.

Jak tylko wyszła, Stephanie wstała i usiadła z dala od Richarda. Roberta westchnęła po cichu. Pamiętała, co powiedział o udawaniu przez całe życie, i zastanawiała się, co miał na myśli, tym bardziej że przez minione dwa dni wszyscy zachowywali się bezsensownie! Nagle poczuła dla niego litość: oto silny człowiek, który nie może poradzić sobie z myślą, że musi spędzić noc w tym samym łóżku co jego dziewczyna, którą widział z innym kochankiem. Ale nie było możliwości zapewnienia im osobnych pokoi: w domu nie było miejsca, a poza tym mogło to sprowokować pytania ze strony Naomi, zaś on mógł być już na tyle pijany, że jeszcze by na nie odpowiedział. Jako że zdążył się upić, tym razem na chłodno i z determinacją, choć w środku kipiał ze złości.

- Idę spać – oświadczyła nagle Stephanie. – Jestem zmęczona.

Richard zignorował ją, ale kiedy wyszła, zwrócił się do siostrzenicy:

- Ty też idź, Roberto.
- Nie mów mi, co mam robić w moim własnym domu.
- Idź – powiedział. – Chcę porozmawiać z Naomi i Timem. Sam na sam.
- Nadal nie zamierzam...
- Zachowuję się tak, jak chciałaś – przerwał. – W zamian chcę teraz, żebyś poszła spać. Jeżeli tego nie zrobisz, mogę powiedzieć coś, o czym lepiej, żeby nikt nie wiedział.
- O czym ty mówisz? – Tim był zaskoczony i trochę przestraszony.
- Roberta wie – odparł Richard. – Dlatego teraz pójdzie spać.

Wcześniej poczuła dla niego litość: jego żaloszny szowinizm facecika w średnim wieku topniał, a arogancja została zachwiana przez wcześniejsze wydarzenia, zakrawające wręcz na farsę. Teraz gardziła nim, gdy tak siedział z czerwoną twarzą i mówił jej, co ma robić. Najgorsze było to, że musiała mu ulec; gdyby tego

nie zrobiła, on powiedziałby rodzicom to, co ona tak desperacko chciała przed nimi zataić.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale nigdy więcej mi nie groź, Richardzie. Dobranoc, a ponieważ nie mam ochoty cię rano oglądać, żegnam. Szczęśliwego Nowego Roku, kiedy nadejdzie.

Wyszła z pokoju; na końcu holu w kuchni paliło się światło i zdała sobie sprawę, że musi tam być jej matka.

– Dobranoc, mamó – rzuciła od progu.

– Dobranoc, kochanie... Co się stało? Wyglądasz na strasznie rozzłoszczoną.

– Richard chce porozmawiać z tobą i z Timem, więc wysłał mnie do łóżka.

– Słucham? Na pewno nie miał tego na myśli.

– Miał. – Jej złość zaczęła się z niej sączyć w postaci łez. – Przepraszam, mamó, ale poza tobą, tatą i babcią nienawidzę w tej chwili wszystkich i wszystkiego w tym domu. To były najgorsze święta w całej historii świata.

– Och, kochanie. – Naomi odstawiła szklanekę z wodą, którą właśnie sobie naląła, i objęła córkę. – Wiem, że były okropne, i dziękuję ci za to, że byłaś przy mnie i pomagałaś.

– Ale co się dzieje? – szlochała Roberta, tuląc się do niej. – Dlaczego wszyscy są tacy okropni?

– Nie są. – Naomi pogładziła ją po włosach. – Wiesz, że nie są. Babcia jest taka sama jak zawsze, prawda? I Emma. I David.

Popatrzyła zdumiona, gdy Roberta gwałtownie się wyrwała.

– David jest samolubną świnią!

– Dlaczego? Co zrobił?

– Nieważne... Nie chciałam tego powiedzieć. Zapomnij o tym. – Roberta otarła łzy wierzchem dłoni. – Idę teraz spać... Gdzie jest tata?

– Poszedł już na górę. Był bardzo zmęczony.

– W takim razie pójdę powiedzieć mu dobranoc. – Ponownie podeszła do Naomi i pocałowała ją. – Kocham cię.

– Ja ciebie też kocham, skarbie. Nie martw się o nic. Wszystko będzie w porządku. Dobranoc.

Naomi najbardziej przejęła się tym, że atmosfera w domu tak bardzo zraniła Robertę. Żyjąc w przekonaniu, że jej własne dzieciństwo – dzieciństwo Naomi Barlow – zostało zniszczone przez ojca, zawsze z całej duszy pragnęła, by jej dzieci były szczęśliwe, rozumiane i otrzymywały należną im uwagę. Była dumna z Roberty i Davida, odnoszących sukcesy, kontaktowych, spełnionych, stanowiących kolejny dowód na to, jak zmieniała się w kobietę, którą była; ich krzywdy

zagrozały także jej.

Zachowanie Richarda wywołało w niej najpierw strach i zmartwienie; teraz była na niego zła. Nim zdążyła wrócić do salonu, nalał sobie i wypił połowę z kolejnej dużej whisky, przechodząc od fazy pijackiego bełkotu do agresji.

– Dobrze, że jesteś – rzekł, kiedy weszła. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Tak, Roberta mi powiedziała.

– Roberta? Ach, racja. Musiałem wysłać ją do łóżka.

– Co było niewybaczalne, ale o tym porozmawiamy, kiedy będziesz w stanie cokolwiek zrozumieć. Tak czy inaczej, co takiego chcesz mi powiedzieć, co jest aż tak ważne?

– No wiesz.

– Nie, nie wiem... a ty, Tim?

– Gada ciągle o tacie i...

– No właśnie – przerwał Richard. – Stary. Chcę wam coś o nim powiedzieć.

Wy dwoje tego nie wiecie, ale...

– Tim, pomóż mi zaprowadzić go do łóżka – rzuciła ostro Naomi. – Do rana o wszystkim zapomni.

– O nie. – Richard wstał i oddalił się od drzwi. – Nie, dopóki nie usłyszycie o... jak ona miała na imię? Ta walijska dziwka z wielkimi cyckami. Pracowała w Coombes Brothers.

– Coombes Brothers? – powtórzyła Naomi z niedowierzaniem. – Na litość boską, Richard, aż taki jesteś pijany? Co ty właściwie wyprawiasz?

– Chcę wam coś powiedzieć... Tylko posłuchajcie. Miała na imię... No zaraz... Jak to było... Megan! Mam. Megan Williams. Nasz stary ją posuwał. Nie wiedzieliście o tym, prawda?

– Nie bądź głupi – Tim był wściekły. – I nie mów takich rzeczy o...

– Tim, on nie wie, co mówi. – Zniecierpliwiona Naomi machnęła ręką. – I nie zamierzam tego dłużej wysłuchiwać. W tej chwili tak sobie myślę, Richard, że już nigdy nie chcę z tobą rozmawiać. Jesteś odrażający.

– Odrażający? Już drugi raz ktoś tak do mnie mówi dzisiaj wieczora.

– Nie dziwię się. Kto mnie ubiegł?

– Roberta. Tylko dlatego, że starałem się nauczyć czegoś twojego cholernego synalka.

Naomi zwróciła się do Tima. – O co tu poszło?

– O nic – zapewnił. – Oglądaliśmy wszyscy telewizję. Nie sądzę, by Richard i David w ogóle ze sobą rozmawiali.

– No właśnie. Jest tak pijany, że wydaje mu się, iż pokłócił się dziś wieczorem z Davidem, więc nie musisz się przejmować niczym, co mówi o tacie. W tej chwili nie pamięta nawet własnego imienia. Zostaw go tutaj. Jak na moje, może spać choćby na podłodze.

Trzęsąc się z gniewu, odwróciła się w stronę drzwi. Pozostawanie sam na sam z braćmi i duchem ich ojca po tylu latach wydawało się przerażające.

– Nimmy – zaczął Tim.

– Nie nazywaj mnie tak! – Obróciła się jak derwisz w jego stronę. Imię z dzieciństwa przywołało Naomi Barlow, a tę należało natychmiast zaatakować i zniszczyć, atakując Tima. – Na Boga, dorośnij wreszcie. Spójrz na siebie. Maluczki nauczyciel, który nie potrafi nawet zapanować nad klasą siedmiolatków. Gadający bezustannie o tandetnych chińskich restauracjach, jakby były prowadzone przez najznamienitszych szefów kuchni. Ubrania masz jak z lumpeksu. Trzymasz się mamusi jak jakiś cholerny gówniarz. Nie zdajesz sobie sprawy, jaki jesteś żaloszny? Można się z ciebie jedynie śmiać, Tim. Zaś co do ciebie, Richard... Hmm, zawsze myślałam, że mam dwóch braci, ale okazuje się, że mam jedynie dwie słabiutkie siostrzyczki. Pijak i niedorozwinięty chłopczyk. Żaden z was nie pomógł mi od czasu, gdy... – zakrzusiła się słowami i nie była w stanie powiedzieć nic więcej, przełykając tylko ślinę i szlochając. – Po prostu wynoście się stąd. Odejdźcie. Wy... Wy... Co wy próbujecie osiągnąć? Zniszczyć wszystko, co mam? – Popatrzyła na nich oskarżającym wzrokiem, po czym wybiegła z pokoju.

– Co miałaś na myśli, mówiąc...? – Tim krzychał za nią z zaciśniętymi pięściami. Odwrócił się do swojego brata. – Słyszałeś to? Po tym wszystkim, co zrobiłem dla mamy, kiedy ona zmieniła się w madame, a ty próbowałaś wybić się na Fleet Street.

– Madame? – powtórzył Richard sarkastycznie. – Chryste, nie słyszałem tego słowa od trzydziestu lat. Naomi ma rację, ty nigdy nie dorosłeś. Jesteś wciąż taki sam.

– I dzięki Bogu. Przynajmniej jestem uczciwy.

– Doprawdy? Przestań, żadne z nas nie jest uczciwe, Tim. Nie poważilibyśmy się na uczciwość. – Zapalił papierosa i z ustami pełnymi dymu dopił swoją whisky. – Chcę zapytać cię o coś, o co pytałem już wcześniej Naomi. Czy to był pomysł?

– Jaki pomysł?

– Wiesz, o czym mówię. Kto pierwszy pomyślał o zabiciu starego?

– Słucham? – Tim pokręcił głową. – Jezu, Richard, przecież wiesz. Ty to wymyśliłeś.

- Richard zamilkł, po czym skinął głową, jak gdyby nagle coś do niego dotarło.
- Rozumiem. Zmówiliście się.
- Co ty, do diabła, wygadujesz?
 - Mówię o tobie i Naomi. Nie możecie tego znieść, więc zrzucacie całą winę na mnie. To łatwe, prawda? Wszyscy mówią, że to ja jestem tym twardym draniem. To usprawiedliwia was oboje.
 - To byłeś ty – upierał się Tim. – Od samego początku. Wymyśliłeś, jak to zrobić, a potem nas nakłoniłeś, byśmy ci pomogli. I najszybciej, jak mogłeś, uciekłeś od tego i stałeś się tym, kim jesteś. Pozwoliłeś, byśmy zrujnowali sobie życie, bo byłeś zainteresowany tylko i wyłącznie sobą. Ja kochałem tatę i...
 - Bzdura. Nienawidziłeś go tak samo jak my.
 - Nigdy więcej tego nie mów, Richard. Ostrzegam cię... I coś ty, u licha, wygadywał o nim i jakiejś kobiecie w Coombes Brothers?
 - Mówiłem wam. Posuwał ją.
 - Kłamca. – Tim groźnie zrobił krok w jego kierunku. – Na pewno nie! Tata by nigdy czegoś takiego nie zrobił. Do czego ty zmierzasz? Chcesz znaleźć usprawiedliwienie tego, że pomogłeś go zabić?
 - Nie bądź głupi. Nie zabiłbym go za to. To tylko pokazuje, jakim był dwulicowym gnojkiem. Założę się, że ta Walijka nie była jedyna. Choć muszę powiedzieć, że trudno go winić. Miała największe...
- Zachwiał się i poleciał do tyłu, gdy brat popchnął go jak małe dziecko usiłujące walczyć ze starszym prześladowcą.
- Odwal się, sieroto! Jak nie podoba ci się prawda, to mnie o nią nie pytaj.
 - To nie jest prawda! Jesteś...
- Richard złapał go za koszulę. – Posłuchaj, dupku. Rznął ją tak, że jej oczy z orbit wychodziły. Możesz się oszukiwać, ile chcesz, ale ja to wiem.
- Nie... nie! – Timowi urwał się guzik od koszuli, gdy walczył, by się uwolnić i wycofać. – Za długo kłamiesz, Richard – w końcu za to ci płacą – ale nie potrafisz już uwierzyć, że ktoś mógłby być przyzwoity. Choćby twój własny ojciec.
 - W porządku, nie chcesz, to nie wierz. Ale zapytajmy mamę. Nigdy słowa na ten temat nie powiedziała, ale musiała coś zauważyć. Zawsze była bardzo spostrzegawcza.
 - *Nie waż się mówić czegokolwiek mamie!*
 - Dlaczego? Teraz to już nieistotne. A ona spędziła od tamtej pory wiele wspaniałych chwil w łóżku. Myśli, że nikt nie wie, ale pamiętasz Dona Barracougha, który mieszkał obok? Przedstawiciel firmy farmaceutycznej czy coś takiego. Wiele lat temu, jak pracowałem w *Messenger*, pewnego popołudnia

wpadłem niespodziewanie, a oni byli razem na górze. Mama krzyknęła, że pomaga jej coś naprawić, ale nie poprosiła mnie, bym wszedł na górę i im pomógł. Prawdę mówiąc, kazała mi poczekać, aż sama zejdzie. Kiedy się wreszcie pojawiła, miała wypisane na twarzy, co robili. Próbowwała to ukryć, ale ja wiedziałem. I jestem cholernie pewny, że on nie był jedyny.

Tim zaczął się trząść, a łzy wściekłości i poczucia zdrady popłynęły mu po policzkach. Oddychał głęboko i nieregularnie i przez chwilę wyglądał tak, jakby miał upaść. Przełknął z trudem ślinę, a gdy przemówił, słowa popłynęły wraz z bolesną sapką.

– Nie... nie... nie... Nimmy ma rację... jesteś chory... Tata nigdy by nie... Pan Barraclough był... Nie rób tego, Richard... przestań... to okrutne... Tylko nie mama... Kochasz chyba... – Urywane zdania zanikły pośród potężnego szlochu. – Jesteś podły!

Richard zaśmiał się. – A ty żałosny, tak jak powiedziała Naomi. Być może uwierzysz, kiedy mama sama się przyzna. A teraz odwal się i jak grzeczny chłopczyk idź do swojej pieprzonej, beznadziejnej żony. Ja zamierzam zostać tu na dole i dopić tę szkocką. I tak nie mam po co iść do łóżka.

Nadal szlochając, Tim odwrócił się i wybiegł z pokoju równie szybko jak jego siostra. Przeżywszy całe życie w kłamstwie, nagle usłyszał zbyt wiele prawdy naraz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W przypadkach innych morderstw, w sprawie których Michael Dundee prowadził śledztwo, ofiary znajdowały się w miejscach, które odzwierciedlały okrucieństwo i brutalność przestępstwa – spalony samochód, zapuszczone mieszkanie komunalne zajmowane przez ćpunów, zaśmiecone, źle oświetlone, cuchnące starym moczem przejście podziemne. Dom przy Devon Lane zupełnie do tego nie pasował; to był adres, który policja może odwiedzić w związku z wykroczeniem drogowym, być może poważnym oszustwem, ale nie po to, by znaleźć dwa ohydnie okaleczone ciała, zmasakrowane jak zwierzęta, w eleganckim pomieszczeniu. Ręka upadającej kobiety musiała strącić wysoki chiński wazon z politurowanego fortepianu, sztuczne kwiaty leżały rozrzucone wokół jej ciała tak, jakby umieścił je tam oplakujący przyjaciel.

Tu wszystko wydawało się nieproporcjonalne. Kiedy Charles Stansfield otworzył tego ranka drzwi, zachowywał się nieskazitelnie poprawnie, szok i przerażenie kryły się pod właściwej grubości maską odpowiedzialności. Niczego nie dotykano, zapewnił Dundee. Kiedy obudziły go strzały, zszedł na dół i znalazł ich. Od razu zdał sobie sprawę, że oboje nie żyją, więc natychmiast zadzwonił po policję, jeszcze przed wezwaniem lekarza. Zapytał nawet Dundee o pozwolenie, by nalać sobie whisky, po czym złożył klarowne, spójne zeznanie. Teraz, kiedy Dundee musiał z nim ponownie porozmawiać, jego spokój nadal przesłaniał cierpienie i poczucie winy.

– Pańska strzelba, panie Stansfield. Po pierwsze, dlaczego nie była zamknięta w bezpiecznym miejscu? Jestem pewien, że zna pan warunki swojego pozwolenia na broń.

– Oczywiście, że znam, i normalnie tak by było, nadkomisarzu. Jestem w pełni świadomy swojej odpowiedzialności za to, co się stało, i... Cóż, będę musiał nauczyć się z tym żyć. Strzelba nie leżała na swoim właściwym miejscu – pokażę panu, gdzie powinna się znajdować, jeśli pan chce, w moim gabinecie byłaby idealnie bezpieczna – jednak wczoraj po południu poszedłem ją wypróbować. Powiedziałem panu, że był to prezent świąteczny od żony. Kiedy wróciłem, coś odwróciło moją uwagę i oparłem ją o ścianę w kącie przy drzwiach wejściowych. To niewybaczalne, ale potem po prostu o tym zapomniałem.

– I zostawił pan z nią naboje?

– Obawiam się, że tak. Miałem jeszcze kilka w kieszeniach i położyłem je na stoliku w przedpokoju.

Dundee nie krytykował; Charles Stansfield dobrze wiedział, co zrobił, wiedział, że było to niebezpieczne i zakończyło się tragedią. Nigdy sobie tego nie wybaczy.

– Oprócz pana kto jeszcze w domu potrafiłby nabić broń i strzelić? – zapytał.

– Mój syn, David, którego sam uczyłem. Moja żona, choć już dawno zarzuciła ten sport. Mój szwagier – to znaczy pan Richard Barlow – mimo iż do wczoraj nie wiedziałem, że robił to już wcześniej. Nie wiem, kto jeszcze... och, przepraszam, Roberta kiedyś się tym interesowała, ale to było wiele lat temu.

– I jest pan pewien, że nie zostawił jej pan załadowanej?

– Absolutnie. Być może byłem niewybaczalnie beztroski, ale nie byłem głupi.

– Rozumiem, proszę pana, i nie zamierzam pana o nic oskarżać. – Dundee obdarzył go spojrzeniem pełnym współczucia, po czym zaczął mówić dalej: – Rzecz jasna, jeśli broń została nabita przez kogoś, kto wiedział, jak to zrobić, ktoś inny mógł z niej strzelić.

– Oczywiście... Ale właśnie przyszło mi coś do głowy. Jeśli ktoś obcy wszedł do domu i...

– Obawiam się, że nic takiego nie miało miejsca – przerwał mu Dundee. – Zdaję sobie sprawę, że tak byłoby dla was wszystkich najlepiej, ale nie istnieją żadne podstawy, by to podejrzewać. Funkcjonariusze, którzy przyjechali na miejsce pierwsi, mówią, że około siódmej padał śnieg, niezbyt mocno, ale wystarczyło, by pokryć ziemię. Zauważyli, że jedyne ślady kół na podjeździe należą do samochodu lekarza, który przybył chwilę przed nimi. Potem sprawdziliśmy na zewnątrz domu. Nikt nie mógł się do niego zbliżyć, nie zostawiając śladów. A nie było żadnych.

– Jednak ktoś mógł przyjść, zanim zaczął padać śnieg.

– Być może, ale jak wszedł? Jest pan najwyraźniej dobrze zabezpieczony. Wszystkie drzwi i okna są pozamykane i nic nie zostało wyważone. Niezależnie od tego, gdyby ktoś włamał się w nocy, to co miałby tu jeszcze robić o ósmej rano? – Dundee uśmiechnął się smutno. – Przykro mi, proszę pana, ale nie mamy tu do czynienia z nieprawdopodobnym morderstwem, którego zagadka znajduje ostatecznie jakieś śmieszne rozwiązanie. Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach. To zabójstwo zostało popełnione przez kogoś z domu. Muszę się tylko

dowiedzieć, kto to był, i jeśli ten ktoś sam się nie przyzna, ustalę to najprawdopodobniej za pomocą czegoś tak trywialnego jak odciski palców. W międzyczasie muszę uzyskać jeszcze pewne informacje. Pytanie, które w tej chwili nurtuje mnie najbardziej, to dlaczego... Czy podczas świąt pomiędzy członkami rodziny powstały jakieś kłótnie?

Charles Stansfield westchnął. – Nie jestem pewien, czy można to nazwać kłótniami, ale pojawiło się pewne napięcie. To było coś, co... Miałem wrażenie, że moja żona wiedziała więcej, niż była gotowa mi powiedzieć.

– Niestety, pani Stansfield nie jest teraz w stanie niczego nam powiedzieć – rzekł Dundee. – Chyba że... może pan mógłby mi pomóc. Od chwili przybycia policji pańska żona wypowiedziała tylko jedno zdanie. Jedną z moich funkcjonariuszek starała się nakłonić ją do mówienia. Naturalnie zwróciła się do niej „pani Stansfield”, ale wtedy pańska żona sprostowała nagle: „Nazywam się Naomi Jean Barlow”. To wszystko. Rzecz jasna, wiem, iż jest to jej panięńskie nazwisko, ale dlaczego miałyby go użyć teraz ponownie?

– Nie wiem, nadkomisarzu, ale żona jest w potwornym szoku i nie może pan oczekiwać, by zachowywała się rozsądnie. I tak nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie.

– Ma pan rację – przyznał Dundee.

– A kiedy pozwolicie mi się z nią zobaczyć? Rozumiem, że musicie teraz kontrolować wszystkie nasze posunięcia, ale to odseparowanie staje się nie do zniesienia. Gdzie ona jest?

– Jest nadal w domu, proszę pana. Jest z nią lekarz. Zabiorę pana do niej lub przyprowadzę ją tutaj tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Proszę opowiedzieć mi więcej o tym, jak pan je nazwał, napięciu...

Przez ponad godzinę Naomi Stansfield nie oderwała oczu od okna, które znajdowało się naprzeciwko niej, ale wydawało się, że i tak nic nie widziała. Jej twarz wyglądała tak, jakby najmniejszy ruch jakiegokolwiek mięśnia mógł wywołać potworny wybuch smutku i przerażenia, które dusiła w środku; poza tym jednym zdaniem, o którym Dundee powiedział Charlesowi, nie rzekła nawet słowa, odkąd pojawiła się policja.

– Naomi. Połknij te tabletki – nalegał Mark Peters, przyciskając proszki do jej ust i delikatnie próbując je rozchylić. – Poczujesz się po nich lepiej. No dalej. Proszę.

Jej usta zeszywniały, kiedy nacisnął mocniej, następnie gwałtownie pokręciła głową i odepchnęła jego dłoń.

– Naomi, nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. – Westchnął, a ona nadal wpatrywała się w okno. – Nie będę w stanie ci pomóc, jeżeli mi na to nie pozwolisz. To tylko kilka pastylek... spójrz, położę je tutaj z wodą. Obiecuję, że je weźmiesz.

Zostawił tabletki i szklankę na stoliku obok jej krzesła i przez chwilę patrzył na nią ze smutkiem, po czym wyszedł, zostawiając ją z milczącym policjantem w małym pokoju dziennym. Policjantka w holu uśmiechnęła się współczująco, gdy wyszedł.

– Nadal nic?

– Nie, ale chcę, żeby wzięła te tabletki, zanim przeniesiemy ją do szpitala. Jeżeli nadal będzie się wzbraniała, będę musiał dać jej zastrzyk... Jednak to oznacza, że ktoś będzie musiał ją trzymać.

– Możemy panu w tym pomóc.

– Dziękuję. Dam jej jeszcze kilka minut, może weźmie je sama.

– Wygląda pan na wyczerpanego – stwierdziła policjantka. – Zapoznałam się trochę z kuchnią, gdy ci z wydziału kryminalnego już tam skończyli. Proszę ze mną pójść i napić się herbaty. Na razie zrobił pan dla nich wszystko, co możliwe.

Poszedł za nią i zapalił papierosa, siadając przy stole. Policjantka włączyła czajnik i dodała cukier do torebki z herbatą znajdującej się w kubku.

– Zna pan ich od dawna, prawda?

– Byłem lekarzem Naomi, kiedy rodziła Robertę i Davida. Prawdę mówiąc, jestem ojcem chrzestnym Davida.

– Tak myślałam, że to dla pana coś ważniejszego niż po prostu tragedia jeszcze jednej zwyczajnej rodziny. Bardzo mi przykro. To ciężkie, nawet jeśli nie jest się z nimi osobiście związanym... Co się według pana stało?

Lekarz spojrzał na nią chytrze. – Czy to jest oficjalne przesłuchanie?

– Nie. – Czajnik wyłączył się i kobieta nalała wody do kubka. – Nie jestem z wydziału kryminalnego. Po prostu interesuje mnie, co pan o tym myśli. Nie sądzę, by powiedział mi pan coś, czego nie powtórzyłyby później moim kolegom.

– A co ja mogę im powiedzieć? Charles zadzwonił do mnie zaraz po tym, jak się to stało, i przyjechałem tu, by zastać policję, dwa ciała i... ile to?... osiem osób w stanie szoku. Wygląda na to, że nikt nie ma pojęcia, co się naprawdę wydarzyło, więc skąd ja miałbym to wiedzieć? A co myśli wasz pan Dundee?

– Ja jestem dla nich tylko miejscową policjantką. Nie zwierzają mi się. Ale z tego, co usłyszałam, nie mogą wydobyć od nikogo sensownych zeznań. Trudno się temu dziwić. Większość z nich spała i obudziły ich strzały.

– I nie ma żadnych... żadnych poszlak, co do tego doprowadziło?

– Ja bynajmniej o niczym nie słyszałam, ale musiało to być coś dramatycznego. Mogłabym uwierzyć w pijacką kłótnię, która wieczorem wymknęła się spod kontroli, ale nie o tej porze, nie tak rano.

– Nie. – Petersowi wreszcie udało się pomyśleć obiektywnie. – Oznacza to, że wstali, trzeźwi i obojętni, zeszli na dół i... Dobry Boże. To czyni wszystko jeszcze potworniejszym, nieprawdą?

– No i pytanie: ile osób wstało? – dodała policjantka.

– Z pewnością tylko ta dwójka. Jedno z nich musiało popełnić samobójstwo. Wydaje się oczywiste, że lufa strzelby tkwiła w ustach mężczyzny.

– Ale czy włożył ją tam sam?

– Z pewnością. Człowiek nie pozwoli nikomu tak zwyczajnie wpakować sobie naładowanej strzelby między zęby.

– Chyba, że najpierw zostanie pozbawiony przytomności – a z głowy nie zostało nic, co mogłoby stanowić dowód, że tak nie było.

– Czy tak właśnie uważa policja?

– Dopóki nie będzie dokładnie wiadomo, co się stało, wydział kryminalny dopuszcza wszelkie możliwości, ale z pewnością nikt od nich nie będzie ze mną o tym rozmawiać. Jednak wątpię, by znalazło się na to jakieś sensowne wytłumaczenie, panie doktorze. – Podała mu herbatę. – Jak się mają pozostali?

– Pani Barlow – szwagierka Naomi – zemdląca i trzeba było zabrać ją do szpitala. Ci z wydziału kryminalnego nie pozwalają, by ktokolwiek inny opuścił dom, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne. Wciąż jeszcze muszą zadać mnóstwo pytań. Pozostali uczestnicy tragedii są bardziej opanowani, niż można by się spodziewać. Oczywiście to szok. Później się rozkleją. – Jednym haustem połknął pół kubka herbaty. – A tak przy okazji, nie mogłaby się pani pozbyć tych cholernych reporterów? Napadli na mnie jak stado wilków, gdy wyszedłem.

– Znajdują się na drodze publicznej i nie powodują żadnych utrudnień w ruchu – odparła. – Na dodatek jak na ich standardy, to całkiem nieźle się zachowują.

– I czekają tylko, by umieścić to na pierwszych stronach gazet.

– Oczywiście, że tak. Tego oczekują od nich czytelnicy.



Zniecierpliwieni oczekiwaniem dziennikarze zamarli, kiedy do sali konferencyjnej wszedł Dundee w towarzystwie zastępcy szefa policji i rzecznika prasowego i wszyscy usiedli przy stole przed kamerami. Nastąpiła chwila zwłoki, gdy nadkomisarzowi przypinano mikrofon do klapy.

– Po pierwsze przepraszam za przesunięcie godziny rozpoczęcia naszego spotkania – zaczął. – Ale mamy jeszcze wiele czynności śledczych do przeprowadzenia... Najpierw odczytam oświadczenie, którego kopie będziecie państwo mogli otrzymać od sierżanta Davis natychmiast po konferencji.

Jego wzrok przeniósł się na kartkę papieru, którą trzymał w dłoni.

– Dziś o ósmej trzydzieści rano funkcjonariusze policji Hertfordshire przybyli na wezwanie do domu przy Devon Lane w Brookmans Park. W pokoju na parterze zastali ciała dwóch osób, które zmarły na skutek ran postrzałowych. Zostały one zidentyfikowane jako panna Roberta Stansfield, lat dwadzieścia trzy, i jej wuj, pan Timothy Barlow, lat czterdzieści dziewięć. Panna Stansfield była córką Naomi i Charlesa Stansfieldów zamieszkałych pod wyżej wymienionym adresem. Mieszkała przy Muswell Hill w Północnym Londynie. Pan Barlow był bratem pani Stansfield zamieszkałym w Wilmsford, Greater Manchester. Była jeszcze jedna osoba, która doznała lekkich ran postrzałowych. Policja bada strzelbę, która została znaleziona na miejscu zbrodni.

Podniósł wzrok.

– Tak brzmi oficjalne oświadczenie wydziału kryminalnego, szanowni państwo. Sami rozumiecie, że na tym etapie śledztwa są szczegóły, których nie mogę ujawnić, ale odpowiem na wszystkie te pytania, na które będę mógł... Tak?

– Czy komuś przedstawiono zarzuty, inspektorze?

– Nie.

– Ale wkrótce do tego dojdzie?

– Nie mogę na razie odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy oskarżona zostanie któraś z osób przebywających w domu?

– Jeżeli w ogóle do tego dojdzie, to tak.

– Czy może nam pan powiedzieć, kto jeszcze był w domu? Już mamy pewne nazwiska.

– Mogę potwierdzić, że pan i pani Stansfield, ale wolałbym nie wypowiadać się na temat pozostałych.

– Czy którekolwiek z nazwisk zostało błędnie opublikowane?

– Nie znam wszystkich nazwisk, które podano do publicznej wiadomości.

Powtórzę tylko, że wszyscy poza jedną osobą byli członkami rodziny i spędzali razem święta Bożego Narodzenia.

- Kto jest tym wyjątkiem?
- Ktoś ze znajomych jednego z członków rodziny.
- Kobieta?
- Tak.
- Czy może nam pan zdradzić jakieś szczegóły dotyczące ran?

Dundee milczał chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Panna Stansfield miała rany górnej części ciała. Pan Barlow odniósł obrażenia głowy.

- Czy obie komory magazynka zostały opróżnione?
- Tak.
- Inspektorze, jeśli chodzi o rany głowy pana Barlowa. Czy mogły one powstać na skutek umieszczenia lufy w jego ustach?
- Z pewnością tak.
- Jeżeli rzeczywiście tak było, to czy on sam ją tam umieścił?
- Skoro nie wiemy, czy tak się w istocie stało, oczywiście jest, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.
- Powiedział pan, że była jeszcze trzecia osoba, która doznała obrażeń. Kto to taki?
- Nie mogę tego w tej chwili ujawnić.
- Ale musiała tam być, kiedy to się stało.
- Owszem. I złożyła już zeznania.
- Był to mężczyzna czy kobieta?
- Przykro mi, ale nie zamierzam mówić nawet tego.
- Kto wezwał policję?
- Pan Charles Stansfield, właściciel domu.
- Czy to on został ranny?
- Nie odpowiem na to pytanie.
- Czy podejrzewacie już, jaki był motyw?
- Mamy... kilka tropów. Powiedziano nam o... o pewnych niesnaskach, które miały miejsce podczas świąt.
- Czego one dotyczyły?
- Chyba nie oczekujecie państwo, że policja to ujawni?
- Kiedy nastąpiły zgony?
- Z tego, co nam powiedziano i co ustalił lekarz, wynika, że krótko przed tym, jak wezwano policję.
- O ósmej trzydzieści?
- Wtedy pojawili się pierwsi policjanci. Otrzymaliśmy wezwanie o... –

Dundee przez chwilę szeptał z rzecznikiem prasowym – o ósmej czternaście. Radiowóz dotarł do domu w jakieś piętnaście minut później, zaś pierwsi z oficerów policji kryminalnej pojawili się tam około dziewiątej.

- Więc stało się to o... o której? O ósmej?
- Mniej więcej.
- Czy ofiary były ubrane?
- Były w strojach do spania.
- Czy może je pan opisać? Te stroje.

Dundee natychmiast rozpoznał pęd prasy brukowej do doszukiwania się seksualnych podtekstów. – Były zupełnie zwyczajne. Poza tym obie ofiary miały na sobie poranniki.

- Więc żadne z nich nie było nagie?
- Nie... Poproszę o następane pytanie.
- Panie Dundee, pojawiły się doniesienia, iż pan Charles Stansfield mógł być zamieszany w nielegalny handel bronią. Czy może to mieć jakiś związek?
- Nie wiem nic na ten temat. Jednak na tym etapie śledztwa nic nie wskazuje na jakiegokolwiek czynniki zewnętrzne związane z tą sprawą.

– W jaki sposób broń znalazła się w domu?

– Był to prezent świąteczny dla pana Stansfielda od jego żony. – Dundee wyczuł wzmożone zainteresowanie na sali. – Pan Stansfield ma licencję na posiadanie broni, a strzelba została zakupiona w legalnym sklepie.

– Więc broń, która zabiła jego córkę, była jego własną strzelbą kupioną mu przez żonę?

– Obawiam się, że tak. – Dundee skinął głową i wstał, gdy szef policji dotknął jego ramienia. – I wydaje mi się, że to wszystko, co możemy w tej chwili powiedzieć. Pragnę tylko dodać, że policja jest wdzięczna, iż jak dotychczas nie było żadnych nadużyć ze strony mediów, i mam nadzieję, że tak pozostanie. Wiemy, że musicie wykonać swoją pracę, ale ufam, iż zrozumiecie, jaka to potworna tragedia. Jeżeli postawimy kogoś w stan oskarżenia, Brytyjska Agencja Prasowa i inne agencje zostaną natychmiast poinformowane. Dziękuję.

HSA589569

PAHOME

AP

19:36

POLICJA Zwłoki PILNE

Rzecznik prasowy policji Hertfordshire oświadczył, że Richard Barlow jest przesłuchiwany w związku ze śmiercią jego brata i siostrzenicy.

HSA589574

PAHOME

AP

19:45

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Richard Barlow, redaktor działu informacji gazety *Post*, został przesłuchany dziś wieczorem w sprawie śmierci swego brata, Tima Barlowa, i siostrzenicy, Roberty Stansfield.

Pan Barlow, lat 49, spędzał Boże Narodzenie u swojej siostry i szwagra Naomi i Charlesa Stansfieldów w Brookmans Park, Hertfordshire. Pozostali członkowie rodziny, którzy również byli gośćmi w ich domu, pomagają policji, uczestnicząc w przesłuchaniach.

HSA589577

PAHOME

AP

19:50

POLICJA Zwłoki – informacja dodatkowa

UWAGA REDAKTORZY DZIAŁÓW INFORMACJI, REDAKTORZY PROWADZĄCY I REDAKTORZY GRAFICZNI

Najnowsze zdjęcie Richarda Barlowa jest teraz dostępne w dziale fotografii AP. Policja nie sprzeciwiła się jego publikacji. Dostępne jest także kolorowe zdjęcie (w pionie) ofiar, Roberty Stansfield i Timothy'ego Barlowa razem. Próbujemy uzyskać wywiad z członkami rodziny i czekamy na przedstawienie zarzutów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

To, co Richard Barlow powiedział Wydziałowi Policji Kryminalnej, nie było prawdą, jako że musiał chronić siebie przed własną przeszłością. Nigdy jednak nie odstąpił od swojej wersji zdarzeń, niezależnie od tego, czy rozmawiał z rodziną, czy udzielał wywiadu przedstawicielom swej własnej profesji.

Łańcuch zdarzeń rozpoczął się około wpół do trzeciej nad ranem dwudziestego siódmego grudnia. Richard został na dole, pijąc whisky, zanim nie zapadł w niespokojny sen. Alkohol wywołał u niego przygnębienie i gdy się obudził, ogarnęła go nieprzewyciężona świadomość porażki. Jego posada w *Post* – i wiążące się z nią sukces, władza i znaczenie, na których mógł zbudować szacunek dla samego siebie – była zagrożona do takiego stopnia, że tylko kwestią czasu była jej utrata. Jego dziewczyna, podstawowy dowód jego obumierającej męskości, zdradziła go i poniżyła. Brat i siostra pozbawili go wszelkich złudzeń dotyczących morderstwa ich ojca, za którymi się chował. Jego prywatny system obronny legł w gruzach, więc musiał spojrzeć sobie w twarz, a nie potrafił znieść tego, co zobaczył.

Przypomniało mu się, że chyba widział strzelbę przy drzwiach wejściowych. Zamroczony i zagubiony poszedł po nią, zabierając naboje, które Charles zostawił na stoliku w holu. Nie sposób powiedzieć, czy w tamtej chwili naprawdę chciał się zastrzelić, jednak broń stanowiła ucieleśnienie idei samobójstwa, opcji, nad którą wiele osób zastanawia się w najbardziej krytycznych chwilach życia. Kiedy ją załadował, opcja stała się tym bardziej realna, gdy ważył ją w dłoniach, czuł się, jakby kładł na jednej szali atrakcyjność natychmiastowej śmierci, zaś na drugiej żal nad samym sobą, nad swoim nieszczęściem i porażką. W pewnym momencie faktycznie włożył lufę do ust, ale wywołało to u niego torsje i odrzucił głowę do tyłu, na wszelki wypadek umieszczając palce jak najdalej od cyngla. Tym melodramatycznym gestem znowu chciał siebie oszukać. Chcę to zrobić... mógłbym to zrobić... to będzie szybka śmierć... czemu nie? Ale właściwie dlaczego? Dlaczego pozwolić im się pokonać? Jeżeli *Post* się go pozbędzie, natychmiast rzuci się po niego jakaś inna gazeta. Na dodatek po świecie chodziło mnóstwo wolnych młodych kobiet. Miał atuty, by odegrać się na bracie i siostrze; mógł powiedzieć Naomi o Davidzie i Stephanie, mógł zmusić Tima, by stawiał czoło prawdzie o rodzicach. A zatem samobójstwo byłoby głupotą, Czując się nieco

podbudowany, położył strzelbę na podłodze, po czym rozparł się w fotelu i na powrót zapadł w alkoholową nieświadomość.

Dręczony tym, co Richard powiedział o rodzicach, Tim prawie nie spał. Początkowo usiłował sobie wmówić, że to wierutne kłamstwa, ale przecież brat zagroził, że skonfrontuje to z mamą, co byłoby niewybaczalne; gdzieś na dnie świadomości czaiła się myśl będąca źródłem jego obaw, myśl, że to, co usłyszał, mogło być prawdą. Kolejne życie zbudowane na oszustwach było zagrożone. Tuż po siódmej trzydzięci nie mógł już tego dłużej znieść i poszedł poszukać brata.

Widząc Stephanie samą w łóżku, zszedł na dół; Richard chrapał w fotelu z szyją dziwacznie przekrzywioną na jedną stronę.

– Obudź się! – Tim gwałtownie potrząsnął jego ramieniem. – Richard! Obudź się!

– Co? – Richard prawie krzyknął i podskoczył, gdy tak brutalnie został przywrócony do świadomości; nagły ruch wywołał przejmujący ból głowy. – Jezu! – Złapał się obiema dłońmi za głowę i zaraz też poczuł mdłości, gdy zawartość żołądka cofnęła mu się do gardła.

– Obudź się! – powtórzył zniecierpliwiony Tim. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Odpieprz się! Zostaw mnie w spokoju.

– Nie, dopóki mi nie obiecasz.

– Czego?

– Że nie powiesz mamie o... Wiesz o czym. O tacie.

Richard zamruczał. – Która jest godzina?

– Nieważne! – Tim znów nim potrząsnął. – Posłuchaj mnie! Nie wolno ci nic powiedzieć! To wszystko kłamstwa. Richard, jeżeli nie obiecasz, to ja... to ja...

– To ty co? – Richard ze zniecierpliwieniem odepchnął jego rękę. – Wpadasz tutaj jak... jak... jak sam nie wiem co. Odwal się i zostaw mnie w spokoju.

Tim sapał z poruszenia. – Ale musisz mi obiecać! Daj słowo skauta.

– *Słowo skauta?* Chryste, ty się chyba z choinki urwałeś. A może jesteś zalany tak jak ja?

– Na pewno zdążyłeś już trochę wytrzeźwieć.

– Zaraz to naprawię. Gdzie jest ta pieprzona szkocka?

Tim pchnął Richarda z powrotem na fotel, kiedy ten chciał wstać.

Atak fizyczny rozwścieczył Richarda tak, że skoczył na równe nogi i uderzył brata w twarz, trafiając w usta. – Trzymaj swoje pieprzone łapy z dala ode mnie! Rozkwaszę ci tę żałosną gębę!

Zamrugał, wyraźnie jakby się czemuś dziwił, i chwycił się fotela, gdy zakręciło mu się w głowie; po chwili odzyskał siły i lekko chwiejnie ruszył w stronę barku, mrużąc do siebie.

– Głupi palant. Słowo skauta, kurwa mać! – Przez chwilę walczył z gałką przy drzwiczkach barku, a gdy już je otworzył, wyjął pustą kryształową karafkę. – Cholera. Nic już nie zostało.

– Richard!

– Och, do kurwy nędzy, zamknij się już i...

Odwrócił się z rozdrażnieniem, a jego ciało podskoczyło ze strachu. Tim podniósł strzelbę z podłogi przy fotelu, gdzie Richard sam ją zostawił, i celował w niego.

– Odlóż to, ty głupi dupku!

– Nie, dopóki nie obiecasz.

Richard oszacował poziom hysterii w tym żądaniu. – Dobrze! Obiecuję, na Boga! Obiecuję ci wszystko, tylko...

– No oczywiście, że tak! – Tim wlepił w niego wzrok, jakby coś nagle stało się dla niego jasne. – Ty zawsze obiecujesz. Tylko nigdy swych obietnic nie dotrzymujesz, prawda? Nigdy.

– O co ci chodzi? – Richarda ogarniała obezwładniająca panika, gdy widział wyraz twarzy swego brata. – Dobrze, słowo skauta! Ręka na sercu. Jak, do jasnej cholery, mam cię przekonać, żebyś mi uwierzył?

– Nie ma takiego sposobu. – Tim pokręcił głową. – Nienawidzę cię, Richard, dlatego że ty nienawidzisz wszystkich innych. Jesteś niszczycielem. To był twój pomysł, żeby zabić ojca, a teraz swoimi kłamstwami chcesz zniszczyć mnie i mamę. Ty... ty nie pasujesz do świata porządných ludzi.

– Hej, braciszku. Uspokój się. Posłuchaj, przepraszam za wszystko, co powiedziałem o...

Oczy Richarda biegały niespokojnie po pokoju, szukając mebli, które mogłyby mu dać schronienie. Choć jeszcze chwilę temu nie wiedział o bożym świecie, teraz był kompletnie przytomny i świadomy tego, że jego brat przestaje nad sobą panować.

– Posłuchaj, po prostu odlóż to na bok i...

– *Tim!*

Obaj mężczyźni odwrócili się w stronę drzwi. Obudzona przez ich krzyki Naomi zeszła na dół.

– Co wy robicie?

Tim wycelował ponownie w brata. – On zamierza naopowiadać mamie kłamstw. O tacie. Nie wolno mu tego zrobić.

– Na litość boską, przemów mu do rozsądku! – błagał Richard.

– Proszę, Tim – rzekła cicho Naomi, podchodząc bliżej. – Wszystko będzie

w porządku. No dalej, daj to Nimmy.

Cofał się, kręcąc głową. – Nie. Wiesz, jaki on jest. Jest podły. To on jest tym, który zabił tatę.

– Nie zabiłem! Ty... ona... wszyscy to zrobiliśmy! – Richard złapał pustą karafkę i cisnął nią przez pokój, ale nie trafił w brata; karafka wpadła w gałęzie choinki, rozbijając świąteczne dekoracje.

– O mój Boże!

Naomi odwróciła się, słysząc za sobą głos. – Zostań tam, Roberto. Albo nie, idź po tatę.

– Ale co się dzieje?

– Tim jest zdenerwowany i... Najlepiej przyprowadź tatę.

– Czy ta strzelba jest nabita?

– Przestań pytać! – krzyknęła Naomi.

– Wiem, jak można się o tym przekonać – rzekł cicho Tim.

Kiedy ponownie podniósł broń, Richard dał nura za kanapę i ruszył na kolanach w stronę drzwi. – Zawołajcie kogoś! Jemu odbiło! Zadzwońcie po policję!

Tim rzucił się naprzód, mijając Naomi i odpychając ją na bok. – To nic nie da, Richard. Nie możesz całe życie uciekać.

– *Przestańcie!* – Roberta zrobiła krok do przodu i stanęła przy fortepianie, w miejscu, gdzie Richard miał się za chwilę wyłonić z kryjóWKi.

Naomi zachłysnęła się z przerażenia. – Tim, odłóż to. Nie wiesz, co robisz. Nie zastrzelisz przecież Richarda.

Przez chwilę Tim zawahał się, a wtedy jego brat nagle ukazał się za Robertą i rzucił się w stronę drzwi. Tim przesuwiał lufę broni, podążając nią za Richardem; Roberta instynktownie ruszyła w tę samą stronę i nagle wszystko w pokoju zatrzęsło się od huku eksplozji. Pełna moc uderzenia odrzuciła Robertę do tyłu wzdłuż krawędzi fortepianu, a gdy upadała na podłogę, jej prawa ręka straciła wazon. Richard krzyknął i przytknął dłoń do policzka, w który uderzyły go trzy zabłąkane kulki śrutu.

– Nie! Nie! *Nie!* – krzyknęła Naomi i pobiegła do córki, padając przy niej na kolana i tuląc do siebie jej ciało.

Tim wpatrywał się w siostrzenicę: niebieski porannik w strzępach, twarz ziejąca jedną wielką raną, nie do poznania. Następnie spojrzał na strzelbę w swoich dłoniach, jak gdyby usiłował zrozumieć coś niepojętego.

– Nie chciałem... – Nadal trzymając broń, podszedł bliżej i uklęknął obok siostry. – Przepraszam, Nimmy. To był...

Oniemiały z szoku i niedowierzania, nie opierał się, kiedy Naomi delikatnie

położyła Robertę i zabrała mu broń. Bez wahania odwróciła ją i podniosła tak, że końcówka lufy prawie dotykała jego twarzy. Niezdolny do żadnego ruchu, Richard zamknął oczy, a ona odstrzeliła Timowi głowę. Następnie odłożyła strzelbę i znów wzięła córkę w ramiona, tak jakby poza nimi dwiema nie istniał już nikt na tym świecie. Na dywanie dokoła różowe i lawendowe kwiaty z wazonu ciemniały, gdy ich płatki chłonęły krew.

Richard uświadomił sobie, że słyszy pospieszne kroki na schodach, i wyszedł do holu w chwili, gdy Charles dotarł już do drzwi.

– Nie wchodź tam! – Złapał gwałtownie ramię swego szwagra. – Zadzwoń tylko po...

Ale Charles już go minął. Przystanął na chwilę w drzwiach, po czym wszedł do salonu. Richard oparł się o ścianę i znowu zamknął oczy, otwierając je, gdy na dół zbiegł David.

– Co to, do diabła, było?

– Zdarzył się wypadek. Z bronią.

– Chryste. Czy ktoś został ranny?

– Tak... Posłuchaj, twój ojciec już tam jest i...

Richard zdrygnął się, gdy na schodach pojawiła się Florence, a za nią Claire. Odwrócił się do Davida:

– Nikt nie może wejść do tego pokoju. Zamknę drzwi, a ty je zatrzymaj; ja za chwilę do ciebie dołączę i ci pomogę. Nie stój tutaj, rusz się.

David zwrócił się w stronę schodów, skąd padały przestraszone pytania, a Richard wszedł z powrotem do salonu. Charles jakoś już oderwał Naomi od ciała Roberty i pomagał jej wstać.

– Richard, mógłbyś ją zabrać? – poprosił; nie było po nim widać hysterii, jedynie chłodny spokój, oszołomienie i troskę. – Ja zadzwonię po policję.

Ciało Naomi było jak martwe, kiedy brat objął ją ramieniem i wyprowadził, zamykając za sobą drzwi. Twarz Charlesa Stansfielda pozostawała nieruchoma, gdy patrzył w dół na zwłoki swojej córki, a potem przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę.

– Z policją proszę... Policja? Nazywam się Stansfield i dzwonię z Devon Lane 11, Brookmans Park. Obawiam się, że zdarzył się... wypadek. Zginęły dwie osoby. Czy możecie natychmiast przyjechać? Nie, nikt nie jest teraz w niebezpieczeństwie... Zgadza się, numer jedenaście. Posesja nazywa się „Pod modrzewiami”. Dopilnuję, by nikt nie wychodził z domu... Tak, proszę wezwać karetkę. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i wykręcił kolejny numer.

– Mark? Tu Charles Stansfield. Przepraszam, że dzwonię, ale mógłbyś tu natychmiast przyjechać? Roberta została... – Zakrzuszył się z bólu. – Została zastrzelona. Jestem pewien, że nie żyje, ale być może mógłbyś pomóc Naomi. Nie, nikt inny nie jest ranny poza... po prostu przyjedź tu, Mark. Proszę. Natychmiast.

Odłożył słuchawkę, a wychodząc z pokoju, by dołączyć do pozostałych, nie spojrzął już więcej na żadne z ciał.

Oto, co się naprawdę stało.

Biorąc pod uwagę fakt, że Richard Barlow był świadkiem dwóch brutalnych i krwawych zgonów, wydawało się Dundeeemu, że jest on wręcz nieprawdopodobnie opanowany, ale złożył to na karb silnej osobowości. Przez cały dzień jego policjanci dowiedzieli się bardzo dużo o redaktorze działu informacji *Post*. Trzymając kopię zeznania, Dundee usiadł na krześle naprzeciw niego przy stole w pokoju przesłuchań.

– Chciałbym tylko wyjaśnić kilka punktów z pańskiego zeznania, panie Barlow – wyjaśnił.

Richard skinął głową. – Co chce pan wiedzieć?

– Zeznał pan... – Dundee zerknął na pierwszą stronę – że wieczorem w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia nie poszedł pan do łóżka, ale pozostał w salonie na dole. Dlaczego?

– Piłem i zasnąłem w fotelu.

– Czy nikt nie próbował nakłonić pana, by poszedł pan do łóżka?

– Nie... Sporo wcześniej wypilem i obawiam się, że stałem się dość niemily. Chyba wszyscy uznali, że lepiej zostawić mnie w spokoju.

– Rozumiem... I spał pan w fotelu przez całą noc?

– Pamiętam jak przez mgłę, że obudziłem się kilka razy, ale zaraz na powrót zasypiałem.

– Aż do chwili, gdy obudził pana brat... Która to była godzina?

– Nie jestem pewien, ale musiało być około ósmej.

– I natychmiast zaczęliście się kłócić?

– Tak. Mieliliśmy sprzeczkę poprzedniego wieczora – tuż przed tym, jak poszliśmy spać – i po przebudzeniu Tim nawiązał do niej ponownie.

– Tak z samego rana? To musiało być coś poważnego.

– Dla niego owszem. Chodziło o naszego ojca.

– Ojca? – Dundee ponownie zerknął na zeznanie. – Myślałem, że wasz ojciec nie żyje.

- To prawda. Zmarł w 1959 roku.
- To o co się posprzeczałyście po tak długim czasie?

Richard zapalił papierosa. – To zawiła historia, ale krótko rzecz ujmując, powiedziałem bratu, że ojciec miał romans, kiedy byliśmy nastolatkami. Nie wiedział o tym i zdenerwował się, kiedy mu to uświadomiłem. Oskarżył mnie o kłamstwo. Powiedziałem mu, że nie kłamię i że jestem pewien, iż nasza matka o wszystkim wiedziała. Zasugerowałem, że możemy zapytać ją rano.

Dundee oparł się na krześle. – I nazajutrz rano, zaraz po wyjściu z łóżka pański brat był nadal... podenerwowany z tego powodu? Z powodu czegoś, co stało się ponad trzydzieści lat temu?

– Musi pan zrozumieć pewną rzecz, gdy chodzi o Tima. Po śmierci naszego ojca bardzo zbliżył się do matki, stał się w stosunku do niej wręcz nadopiekuńczy. Najwyraźniej czuł, że jeśli wspomnę jej o tym, co wiem, zdenerwuje się.

- A byłoby tak w istocie?
- Szczerze mówiąc, nie sędzę. Wydaje mi się, że ona o wszystkim wiedziała.
- Tak więc reakcja pańskiego brata wydaje się w tych okolicznościach przesadzona.

Richard wzruszył ramionami. – On naprawdę bardzo kochał matkę. Uważał, że w jakimś sensie jej zagrażam.

– A czy powiedziałby jej pan? O tym romansie?

– Pewnie nie. Gdy mówiłem o tym Timowi poprzedniego wieczora, byłem pijany.

– Rozumiem. – Dundee ponownie wziął do rąk zeznanie. – Mówi pan, że kiedy brat pana obudził, trzymał w dłoniach strzelbę pana Stansfielda...

– Zgadza się. Charles zostawił ją przy drzwiach wejściowych w holu.

– Ale pan Stansfield uparcie twierdzi, że nie była nabita, gdy ją tam odkładał.

– Ja także jestem o tym przekonany. Poszedłem wczoraj po południu z Charlesem do lasu, żeby ją wypróbować, i pamiętam, jak ją rozładował i niósł przewieszoną przez ramię, gdy szliśmy w stronę samochodu. Nie widziałem, żeby później ją jeszcze ładował.

– Więc w jaki sposób została nabita? Brat pana nie strzelał, prawda?

– Raz mu się zdarzyło. Jakiś czas temu przyjechał na kilkudniową konferencję nauczycieli w Londynie i zatrzymał się u mnie. Pewnego popołudnia zostałem zaproszony na prasowe otwarcie klubu strzeleckiego i zabrałem go ze sobą. Nauczył się tam podstaw, ale nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek później miał do czynienia z bronią.

- Kiedy to było, panie Barlow?
- Nie jestem pewien... dziesięć lat temu? Może dwanaście.
- Jak nazywał się ten klub?
- Nie pamiętam. – Richard strzepnął popiół na spodek na stole. – To było gdzieś w Surrey, jak sądzę. A może w Kent. Nigdy tam więcej nie byłem.
- Więc twierdzi pan, że brat mógł naładować broń.
- Dlaczego by nie? Nie jest to zbyt trudne, kiedy raz ktoś pokaże, jak to się robi.
- Doskonale. Co się stało potem?
- Ma pan to w moim zeznaniu.
- Mimo wszystko chciałbym, żeby mi pan jeszcze raz opowiedział.

Richard odpałił kolejnego papierosa od tego, który się kończył, nim zgasił go na spodku.

– Tim stał się bardzo pobudzony. Krzyczał na mnie i machał bronią na wszystkie strony. Próbowałem go uspokoić, bo najwyraźniej stracił nad sobą panowanie. Oczywiście nie wiedziałem wtedy, czy broń jest nabita, ale nie zamierzałem ryzykować, odbierając mu ją. Hałas musiał obudzić Robertę i zeszła na dół. Nie wiem dlaczego, ale wyglądało na to, że gdy Tim ją zobaczył, rozszło się jeszcze bardziej.

Zrobił przerwę.

– Następných kilka chwil to już było czyste szaleństwo, bo bardzo bałem się zarówno o Robertę, jak i o siebie samego. Ona i ja znaleźliśmy się blisko siebie. Oboje naraz próbowaliśmy z nim rozmawiać, błagając, by odłożył broń. Pomyślałem, że jeśli uda nam się przesunąć bliżej fortepianu, będę mógł wciągnąć ją ze sobą pod spód. Teraz nie wydaje się to najlepszym pomysłem, jednak w takich okolicznościach trudno jest jasno myśleć. Problem w tym, że oznaczało to zarazem poruszanie się w stronę drzwi do holu. A widząc to, Tim wpadł w istną histerię, więc zatrzymaliśmy się. Płakał – nawet raz się zaśmiał – a ja zdałem sobie sprawę, że coś w nim musiało pęknąć. Wtedy do pokoju weszła Naomi i zaczęła na niego krzyczeć. To na wszystkim zaważyło. Wycelował strzelbę prosto w nas oboje i wiedziałem, że zamierza strzelić. Chwyciłem Robertę, by powalić ją na podłogę, ale...

Ponownie zamilkł, tym razem na dłużej. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie słychać było wyrzuty sumienia.

– Powinienem być po prostu przewrócić ją i upaść na wierzch. Chodzi o to, że trzymałem ją prawie jak tarczę. I przez to – dotknął swojej twarzy, gdzie nieznaczne rany zostały opatrzone przez lekarza – to ona przyjęła całą siłę uderzenia.

Spuścił głowę, a Dundee czekał w ciszy. W końcu rzekł:

– Rozumiem, że jest to dla pana bardzo trudne, panie Barlow. Jednak musimy...

– Wiem. – Richard podniósł głowę. – Nie szkodzi. Wydobywanie z ludzi informacji to także mój zawód. I tak nie ma tego już zbyt wiele. Naomi krzyknęła i rzuciła się w stronę Roberty. Ja byłem zbyt zszokowany, by zrobić cokolwiek, stałem tylko i patrzyłem. Tim... niech pomyślę. Przez chwilę nie ruszał się, a potem podszedł i stanął obok Naomi i Roberty. Powiedział „Nimmy” – nazywał ją tak od dziecka – a ona tylko na niego spojrzała. Tuliła do siebie córkę. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, po czym Tim odwrócił broń i włożył sobie lufę do ust. To wszystko. Nie zwlekał i nie było sposobu, by którekolwiek z nas go powstrzymało.

Dundee skinął głową. – Dziękuję, panie Barlow. Jeszcze tylko kilka szczegółów. Na broni znaleziono pańskie odciski palców. Czy podniósł ją pan później?

– Nie, ale najprawdopodobniej pozostały tam od południa, kiedy byłem z Charlesem w lesie. Pewnie znaleźliście tam też odciski palców jego syna...

– A pani Stansfield? Czy wyszła z wami albo dotykała broni po strzelaninie?

– Nie, ale to ona kupiła tę strzelbę Charlesowi pod choinkę. Musiał iść z nią jako posiadacz licencji, ale Naomi przechowała ją aż do Bożego Narodzenia. Brzmi to trochę niemądrze, jednak tak właśnie zrobili. Oczywiście dotykała jej podczas pakowania.

Dundee zauważył, że Richard Barlow ma gotową odpowiedź na każde pytanie. Nie było to oczywiście przestępstwem, ale zdolność do przypomnienia sobie tego wszystkiego po tak wstrząsającym wydarzeniu była niezwykła.

– Właśnie otrzymałem wstępny raport lekarza sądowego – powiedział. – Nie wygląda na to, by pański brat włożył sobie broń do ust.

– Jestem pewien, że tak właśnie było – upierał się Richard – ale pamiętam, że ręce mu drżały. Kiedy pociągał za spust, mógł poruszyć strzelbą, tak że wypaliła mu w twarz. Wiem, że zamknąłem oczy, gdy dotarło do mnie, co się święci.

– Tak więc utrzymuje pan, że brat w napadzie nie hamowanej wściekłości na pana przypadkowo zabił waszą siostrzenicę, a następnie zastrzelił się sam.

– Tak właśnie było. Nie wiem, co powiedziała wam moja siostra, ale nie sądzę, by była w stanie mówić o tym z sensem.

– Nie w tej chwili – potwierdził Dundee, wstając. – Sądzę, że na tym etapie nie mamy powodów, by pana dłużej zatrzymywać, panie Barlow, i na pewno chciałby pan już wrócić do rodziny. Jednakże muszę prosić, by pozostał pan do naszej dyspozycji, w razie gdybyśmy chcieli pana ponownie przesłuchać... Kiedy

planował pan powrót do Londynu?

- Zamierzałem wrócić dzisiaj, ale zostanę tu chyba jeszcze trochę.
- W razie czego mamy pański adres. Dziękuję, panie Barlow.

W swoim gabinecie Dundee przejrzał jeszcze raz wszystkie oświadczenia, słowa obdarte z łez i cierpienia, które im towarzyszyły. Nie było w historii Richarda Barlowa nic, co wzbudzałoby wątpliwości: kłótnie, napięcie, nadmiar alkoholu. Charles Stansfield twierdził, że zdawał sobie sprawę z pewnego napięcia pomiędzy żoną a jej braćmi, choć nie był w stanie podać jego przyczyny. Brakowało jedynie zeznania Naomi. Problem w tym, że najwyraźniej zapadła w katatoniczny trans, odmawiając rozmowy z kimkolwiek; rodzina utrzymuje, że jest w takim stanie, odkąd tylko Richard wyprowadził ją z salonu. Jej lekarz kategorycznie stwierdził, że nie jest gotowa na to, by ją przesłuchać, i nie potrafił powiedzieć, kiedy jakakolwiek rozmowa z nią będzie możliwa; podano jej środki uspokajające i zabrano do szpitala.

– A zatem? – Dundee zwrócił się do swojego sierżanta. – Wypadek i samobójstwo? Morderstwo i samobójstwo? Dwa morderstwa? Wybieraj.

– A pan co o tym sądzi?

– Jest tego tyle, że można podejrzewać wszystko. Miła, szanowana, praworządna rodzina spędza razem święta, a na zakończenie dwoje ludzi łąduje w kostnicy w kawalkach. To nie jest sprawa, w której tak łatwo można zrozumieć, co się stało. Jednak powiem ci jedno. Nieszkodliwi nauczyciele w średnim wieku nie zaczynają wymachiwać bronią, jeśli nie mają naprawdę ważnego powodu. A ja chciałbym ten powód poznać.

– Pokłócił się ze swoim bratem.

– O romans, który ich ojciec miał w latach pięćdziesiątych? – rzekł Dundee sceptycznie. – Musi w tym być coś jeszcze. Rzecz w tym, że gdy takie rodziny zewrą szyki, cholernie trudno jest się przez nie przedrzeć. W tej chwili nasz jedyny świadek naoczny podaje całkiem prawdopodobną historię, pasującą do faktów, które mamy.

– A co z tą sprawą nielegalnego handlu bronią, w którą rzekomo zamieszany był Charles Stansfield?

Dundee pokręcił głową. – Zapomnij o tym. Służby specjalne mówią, że zjawił się u nich, jak tylko zaczął coś podejrzewać. Jest zupełnie czysty. W każdym razie, gdyby rzeczywiście chodziło o to, na celowniku znalazłby się on, a nie jego córka i szwagier. – Postukał w dokumenty na biurku. – A wersja Richarda Barlowa jest jak najbardziej do przyjęcia.

– Wierzy mu pan?

Dundee wzruszył ramionami. – Nie jestem pewien. Bardzo jestem ciekaw, co powie nam pani Stansfield, kiedy będzie w stanie rozmawiać. Póki co musimy prowadzić przesłuchania dalej. Być może stało się tak, jak nam powiedział Richard...

HSA581702

PAHOME

AP

21:04

POLICJA Zwłoki (wznowienie)

Nadkomisarz Michael Dundee oznajmił dziś wieczorem, że Richard Barlow został zwolniony po złożeniu zeznań. Agencja Prasowa otrzymała oświadczenie, w którym napisano, że policja wyjaśniła już, co doprowadziło do obu zgonów, i sprawa jest teraz w rękach koronera.

Śledztwo trwa, ale nie przewiduje się żadnych aresztowań.

Raporty z dochodzenia w sprawie przyczyn śmierci Roberty Stansfield i Tima Barlowa zawierają oficjalne wyjaśnienie tego, co się stało; oba są oparte prawie wyłącznie na słowach wygłoszonych przez Richarda przed sądem. Za każdym razem koroner wywierał na niego silny nacisk, lecz on nie zmienił zeznania, które złożył policji. Naomi, jedyny naoczny świadek poza nim, przebywała na oddziale psychiatrycznym prywatnego szpitala w Hampstead, zaś lekarze owego oddziału wydali zaświadczenie, że powoływanie jej na świadka nie wchodzi w grę. Po werdykcie Michael Dundee został poinstruowany, by zamknąć sprawę dotyczącą obu zgonów; często o tym myśli, ale nigdy nie udało mu się znaleźć powodu, by wznowić śledztwo.

Naomi nadal przebywa w szpitalu. Po tym, jak ją przyjęto, personel szpitala zauważył, że stawała się nerwowa, gdy nazywano ją panią Stansfield; ustąpiło to po tym, jak Charles zasugerował, by zwracano się do niej Naomi Barlow. Nadal nie mówi, ale od czasu do czasu zatrzymuje ludzi, najczęściej kogoś zupełnie przypadkowego – pielęgniarkę, sprzątaczkę, odwiedzającego, konserwatora, który przyszedł naprawić światło – i wypowiada z uporem jedno zdanie: „Zamordowałam swojego ojca”. Choćby nie wiadomo jak się ją podchodziło, odmawia powiedzenia czegoś więcej. Jej psychiatra rozmawiał o tym z Charlesem, który powiedział mu wszystko, co sam wiedział. Jako inteligentni ludzie obaj uznali, że w jakiejś niedostępnej części jej umysłu musiało nastąpić pomieszanie faktów związanych ze śmiercią Harolda, kiedy była wrażliwą nastolatką, z traumatycznym

przeżyciem tego, co stało się Robercie i Timowi, i z tym, że ojciec Charlesa umierał w tym samym czasie w domu opieki. Kiedy Charles wspominał o tym Richardowi, ten przyznał mu rację, dodając, że według niego nie można brać na poważnie niczego, co powie Naomi.

Florence mieszka teraz przy Devon Lane; kiedy Charles sprzeda dom, chce kupić jej mieszkanie w pobliżu szpitala, w którym znajduje się Naomi. Odwiedza swoją córkę każdego popołudnia, obie siedzą w jej pokoju albo spacerują pod rękę po szpitalnym parku, gdy jest ładna pogoda. Nieustannie do niej mówi, ale nigdy nie otrzymuje odpowiedzi; nikt nie ma pewności, czy Naomi w ogóle wie, gdzie się znajduje. Florence odkryła, że w miarę jak jej żal staje się łatwiejszy do zniesienia, narasta jej poczucie winy. Była tak pewna, że ona i Harold dobrze wychowali swoje dzieci, ale skoro doszło do czegoś tak okropnego, w którymś miejscu musiała popełnić błąd, i wyrzuca sobie, że nie poświęcała im więcej uwagi po śmierci ojca.

Claire nie utrzymuje już kontaktu z rodziną męża i pozwoliła sobie nawet na miłość do mężczyzny, którego znała od kilku dobrych lat; pewnego dnia mu o wszystkim powie. Nie opłakiwała Tima, a w jej domu nie ma już nic, co by jej o nim przypominało; nawet zdjęcia małego Harry'ego zostały wyrzucone. Nikt nie potrafi tego zrozumieć, a kilkoro z jej przyjaciół sądzi nawet, że albo zwariowała, albo stała się niewybaczalnie okrutna. Jednak dzieci w żłobku w Wilmsford nadal bezwarunkowo wielbią ciocię Claire.

Richard dalej pracuje dla *Post*, ale nie jest już redaktorem działu informacji. Daphne Byron została przegłosowana przez zarząd, kiedy chciała go zwolnić, zaś jego mianowano zastępcą redaktora naczelnego – stanowisko to budzi podziw ludzi z zewnątrz, ale w dziennikarskim świecie jest uznawane za posadę bez znaczenia dla podstarzałych dziennikarzy, którzy stali się zbędni. Wymaga się od niego tylko tego, by dla zasady pokazywał się w redakcji, zaś większość czasu spędza, pijąc ze swoimi rówieśnikami, wspominając dawno zapomniane historie i czasy swej wielkości. Jego następcą traktuje go z góry, za co Richard szczerze go nienawidzi. Tak więc każde z dzieci Harolda Barlowa na swój sposób nie żyje.

Przez kilka tygodni po świętach ojciec Charlesa wydawał się zdziwiony i zaniepokojony faktem, że Naomi i Roberta już go nie odwiedzają, jednak wkrótce stan jego otępienia zaczął się pogłębiać i umarł spokojnie.

Syn i wnuk byli jedynymi żałobnikami na jego pogrzebie. Charles Stansfield przestał prowadzić zapiski w dzienniku; nie ma teraz w jego życiu nic, co w jego przekonaniu warto byłoby upamiętnienia.